Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 31 (1375) ROK XXVII 4 SIERPNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- Bohaterstwo i fiasko
- Wakacyjny fotoplastykon
- Taniec w tunelu
- Spojrzenie na Kołobrzeg
- Umysł wyzwolony

PRZED CZTERDZIESTU LATY

Kiedy rodził się ustrój Polski Ludowej

STEFAN BANASIAK

1. SPRAWA GRANIC

Pod koniec wojny trzy wielkie mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej wizję odrodzonej Polski zawarły w trzech słowach. Stwierdziły mianowicie, że Polska winna być silna, demokratyczna i niepodległa. Niepodległość zapewnić miały nowe, dogodne do obrony granice i brak tarć wewnętrznych na tle narodowościowym.

Wstępnie te sprawy uzgodnione zostały na przełomie listopada i grudnia 1943 r., na konferencji w Teheranie. Na wschodzie postulowano oprzeć granicę według linii Curzona przy równoczesnej wymianie na zasadach dobrowolności mniejszości narodowych pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim. Przewidziano oparcie granicy zachodniej o Odrę przy przesiedleniu całej ludności niemieckiej z Polski na obszar Niemiec. To stanowisko wielkich mocarstw spotkało się z bardzo poważnymi zastrzeżeniami Rządu Emigracyjnego, natomiast było ono zbieżne z koncepcją lewicy (PPR, PPS), która opowiadała się za prawem narodów do samostanowienia i naprawienia krzywd wyrządzonych przez Niemców narodowi na przestrzeni wieków, a w szczególności podczas wojny i okupacji hitlerowskiej.

Mocarstwa zachodnie dążyły, ażeby na takim obszarze państwa polskiego przejął władzę rząd polski przebywający dotychczas na emigracji w Londynie. Po powstaniu PKWN, a następnie ustąpieniu w końcu listopada 1944 r z funkcji premiera Stanisława Mikołajczyka, państwa te zaczęły uzależniać poparcie w sprawie granic Polski od uzgodnienia i zaaprobowania rządu polskiego. 1.II. 1945 r. minister Eden postulował premierowi Churchillowi, że: *„w sprawie granicy na linii Odry powinniśmy zachować stanowisko elastyczne i przyjąć jako linię postępowania zasadę, że Rząd Jego Królewskiej Mości nie wyraził zgody na żadną określoną linię zachodniej granicy, jako że nie potrzebujemy czynić tych samych koncesji w stosunku do Polaków lubelskich, jakie byliśmy gotowi uczynić p. Mikołajczykowi w celu rozwiązania problemu polskiego"*.

Rodząca się władza ludowa, PKWN, który nie nazywał siebie rządem lecz tylko Komitetem, od samego początku podjęła usilne starania o zapewnienie dla Polski korzystnego obszaru i bezpiecznych granic. W końcu lipca 1944 r. podczas rozmów przedstawicieli

3

Byłem łapiduchem

JERZY KWIECIŃSKI

Moim skromnym zdaniem, dzisiejsze wyobrażenia o postawach i przeżyciach ludności Warszawy w czasie pamiętnego powstania są z grubsza prawdziwe. Przede wszystkim nikt nie może zakwestionować tak licznych wówczas, zwłaszcza u młodzieży, przejawów odwagi i brawury, a nierzadko autentycznego bohaterstwa, nikt też nie zaprzeczy, że ogół warszawiaków dawał niezliczone dowody hartu moralnego i pogody ducha. Gdyby nawet, przyjmijmy, nie były to postawy ilościowo przeważające, to jako aktywniejsze, bardziej dynamiczne od lękliwych musiały nadawać ton codziennemu życiu powstańczej Warszawy.

Częściej jednak niż się o tym mówi (a zwłaszcza pisze) ujawniały się też przyziemne ludzkie cechy: egoizm, chciwość, zakłamanie — prawie jak w normalnym życiu. Przywary te były zresztą udziałem raczej dorosłej części społeczeństwa, jak zawsze bardziej skłonnej niż młodzież do kompromisów z własnym sumieniem, ale także poczuwającej się do odpowiedzialności za życie młodych, przynajmniej tych najbliższych.

Sądzę, że dla dobra prawdy o tamtych dniach nie powinno się pomijać i cieni, żadne bowiem mistyfikacje nie wychodzą nigdy na zdrowie. Wspomnienia oczywiście zacierają się, idą w zapomnienie fakty słabiej naznaczone emocją, inne za to rysują się tym jaskrawiej i każdy snuje swoją własną opowieść na marginesie zbiorowych dziejów. Czy powinien ją zachować tylko dla siebie?

A więc — takie sobie wspominki, bez zachowania chronologii wydarzeń, spisane trochę bez ładu i składu, ale w intencji wierne faktom.

I.

U nas, w rejonie Żurawiej i Kruczej, czyli na południe od Alei Jerozolimskich powstanie wybuchło chyba na kwadrans przed piątą po południu. Zanim rozległy się strzały, których odgłosy stały się dla warszawiaków już czymś powszednim, pojawiło się w bramie i na podwórzu kilku chłopców z biało-czerwoną opaską na ramieniu i bodajże w wojskowych furażerkach. Każdy pojął, że się zaczęło.

O tym, że powstanie ma wybuchnąć i że po prostu musi mówiono od dawna, jako o sprawie przesądzonej i powszechnie akceptowanej. I nikt nie pytał, może nie miał nieraz odwagi głośno zapytać — dlaczego musi. A może nie warto? Czy nie lepiej byłoby nam przycupnąć, gdy się front będzie przetaczał i ewentualnie rzucić się na Niemców, gdy nie będą zdolni do większego oporu? Co innego, gdyby znaleźli czas i sposobność, żeby nas masowo likwidować! Wtedy nie pozostawałoby nam nic do stracenia, a nawet walka byłaby mniej kosztowna niż bierność.

Ale to tylko tak niektórzy i tylko po cichu, bo wszelkie w tej kwestii wahania i rozterki poczytywane były za niegodne, a niekiedy traktowane z podejrzliwością. Co to za jeden, że nie myśli tak jak wszyscy? Jednoznacznie patriotyczna była tylko teza, że straty się w ogóle nie liczą i że dla dobra ojczyzny powinniśmy być gotowi zginąć do „ostatniego Polaka".

A co stałoby się z Polską, gdyby nie pozostał przy życiu ani jeden Polak. Gdzie byłoby jej miejsce na mapie? Na to odpowiedź była tylko jedna, że patriotyzm nie kalkuluje na sposób kupiecki, a najważniejsze jest postępować zgodnie z honorem. No, na honor nie ma u nas mocnych, przynajmniej w deklamacjach. A mało kto się przecież domyślał, że gen. Tadeusz Bór-Komorowski rozpoczął powstaniem wielką grę polityczną.

Toteż kiedy „wybiła godzina" nie odczułem zaskoczenia, tylko niepokój, czy moment jest najlepszy. Przez ostatnie dwie noce przycichły odgłosy zbliżającego się frontu, a niemieckie jednostki znów jechały na wschód. Ale niepewność prędko ustąpiła miejsca nadziei, na ulicę wolną od Niemców wyległy radośnie podniecone tłumy tu i ówdzie pojawiły się w oknach narodowe flagi, zabrano się do stawiania barykad z przewróconych pojazdów;

5

Dlaczego odeszli z ŁKS?

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

1. JAN TOMASZEWSKI REZYGNUJE

Najpierw wybuchła „bomba" z Janem Tomaszewskim. Na początku czerwca, tuż przed wyjazdem ŁKS na piłkarski weekend do Finlandii, popularny „Tomek" poprosił o zwolnienie go z klubu. Kibice, a zwłaszcza ci z jedenastki przy al. Unii, byli zaszokowani. Czyżby kolejny konflikt na linii Tomaszewski—Jezierski?...

Cofnijmy się w czasie. Na początku lutego 1984 r., tuż przed rozgrywkami wiosennej rundy futbolowej ekstraklasy, odbyła się rozmowa w trójkącie: Tomaszewski, Jezierski, Gutowski. „Tomek", człowiek impulsywny, mający swoje trenerskie ambicje, miał nieco inny pogląd na tok przygotowań do sezonu. Ustalono więc, że drogi Jezierskiego i Tomaszewskiego rozchodzą się w czerwcu i na tym kończy się ich szkoleniowa współpraca. Aby jednak nie było szkody dla drużyny stwierdzono wyraźnie, że Leszek Jezierski jest szefem, on odpowiedzialny jest za trening i inne sprawy związane z drużyną, natomiast Jan Tomaszewski i Zygmunt Gutowski będą li tylko wykonawcami poleceń członka Rady Trenerów Polskiego Związku Piłki Nożnej. I gdzie tu mowa o konflikcie? Ot, po prostu wymiana fachowych uwag dwóch dżentelmenów, którzy wyrośli już ze sposobu działań, które umownie nazywa się „wzajemne podgryzanie".

„Tomek" jednocześnie nie miał za dużo czasu, by aktywnie uczestniczyć we wszystkich wyjazdowych spotkaniach jedenastki ŁKS, ponieważ rozpoczął studia na AWF w Warszawie i rozliczne sesje egzaminacyjne zabierały mu również trochę czasu. Nie krył także, że chciałby objąć funkcję pierwszego trenera jedenastki ŁKS, natomiast dla Jezierskiego widziałby rolę „menażera", coś na wzór angielskich klubów. Tak przedstawił swoje warunki przedstawicielom Zarządu ŁKS i cierpliwie czekał na odpowiedź.

Tymczasem ŁKS-owska dyplomacja zaczęła działać. Coraz częściej słyszało się opinię, że choć do końca rozgrywek w rundzie wiosennej pozostało ok. 12 meczów i naprawdę nie było wiadomo, jaki los spotka drużynę, to jednak Jezierski i Tomaszewski opuszczą zespół. Argumenty: „Tomek" nie może pracować sam, z Jezierskim proszę bardzo! A oni przecież ustalili sobie, że ich drogi się rozchodzą. Zatem? Trzeba pożegnać się z nimi dwoma. Innej drogi nie ma — głosiła kawiarniana plotka. I jak się później

10

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak.
Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103. Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach. Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2166. E-2.

Odgłosy

Przegląd prasy

40 rocznica wybuchu powstania w Warszawie 1 sierpnia 1944 roku spowodowała duże zainteresowanie pism tym, historycznym już wydarzeniem. Nie jest to zwykłe „odfajkowanie" kolejnej rocznicy, co u nas się zdarza dość często. A nie jest dlatego, że wybuch powstania w Warszawie nadal budzi silne kontrowersje. Opinie są podzielone. Historycy i publicyści nadal zadają pytanie: czy powstanie musiało wybuchnąć w ogóle i jeśli tak, to czy w tym właśnie momencie?

W „ARGUMENTACH" (nr 31 z 29 lipca 1984 r.)

EDMUND MĘCLEWSKI PRZYZNAJE SIĘ, ŻE NIE ZMIENIŁ ZDANIA

w sprawie konieczności wybuchu powstania w Warszawie w 1944 roku. Pisze on w artykule pt. *„To już czterdzieści lat temu":*

„Bo jakże! Istnieje armia — podziemna, ale wszak armia uzbrojona, kiepsko bo kiepsko, ale dysponująca bronią, front podchodzi pod samą Warszawę, a z nim możliwe wyzwolenie... Więc jak? Czekać, aż ktoś inny, armia niepolska wyzwoli naszą stolicę?! Żeby to moje pokolenie wstydziło się po koniec historii narodu w odległej wieczności?! Tak na rzecz patrząc — Powstanie musiało wybuchnąć — wymagała tego godność narodowa polska. Tego poglądu nie zmieniłem i nie zmienię. Ale czy to wyczerpuje sprawę?"

Edmund Męclewski powołuje się na nadaną w latach sześćdziesiątych w RFN audycję telewizyjną, gdzie obok dowódców niemieckich z okresu powstania w Warszawie wystąpił również ówczesny dowódca Armii Krajowej — gen. Tadeusz Bór-Komorowski. On też na pytanie prowadzącego program takiej udzielił odpowiedzi:

„... popełniliśmy błąd, nie nawiązując kontaktu z dowództwem Armii Czerwonej przed powzięciem decyzji o wybuchu Powstania. Stąd nie wiedzieliśmy, że jej oddziały frontowe, które doszły nad Wisłę — są u kresu sił, przebyły wszak olbrzymi szmat drogi walcząc, poważnie wyprzedziły dostawy zaopatrzenia w amunicję, sprzęt, żywność... Wisła stanowiła poważną przeszkodę, wzięcie jej z marszu wobec potężnej tu obrony niemieckiej nie było możliwe, nie można było o tym nawet marzyć... Popełniliśmy błąd".

W sierpniu 1944 roku Konstanty Rokossowski był jeszcze dowódcą 1 Frontu Białoruskiego, dowództwo 2 Frontu Białoruskiego objął dopiero pod koniec 1944 roku, dowodził więc wojskami, które w lipcu 1944 roku dotarły nad Wisłę, a 14 września zajęły przedmieście Warszawy — Pragę.

„Wtedy właśnie — napisał K. Rokossowski w swoich wspomnieniach „Żołnierski obowiązek" — *był najbardziej sprzyjający moment do rozpoczęcia powstania w stolicy Polski. Jeśli nastąpiłoby jednoczesne uderzenie wojsk Frontu ze wschodu, powstańców zaś w samej Warszawie (ze zdobyciem mostów), to można byłoby w tym momencie liczyć na wyzwolenie Warszawy i jej utrzymanie. Do czegokolwiek więcej, nawet w najbardziej sprzyjających warunkach, wojska Frontu z pewnością nie były zdolne".*

Historycy są na ogół zgodni, że

POWSTANIE MUSIAŁO WYBUCHNĄĆ

„...gdyby nawet dowództwo Armii Krajowej nie podjęło decyzji o rozpoczęciu powstania — powiedział Tomaszowi Nałęczowi docent dr hab. Piotr Matusak z Wojskowego Instytutu Historycznego („ŻYCIE WARSZAWY" z 25 lipca 1984 r.) — *to i tak doszłoby do spontanicznych wystąpień przeciwko wycofującym się Niemcom. Wyraźne bowiem były symptomy rozkładu systemu okupacyjnego, z drugiej zaś strony narastało niezadowolenie z takich choćby posunięć, jak zarządzona na 27 lipca 1944 „branka" stu tysięcy warszawiaków, z przeznaczeniem ich do robót fortyfikacyjnych. Najbardziej „zapalnym" elementem była młodzież warszawska. Przez całą okupację przygotowująca się i walcząca w ograniczony sposób z nadzieją, że nadejdzie czas ostatecznej rozprawy z wrogiem".*

Piotr Matusak nazywa Powstanie Warszawskie największą polską bitwą II wojny światowej i uważa, że *„najwięcej napisano na temat genezy powstania i okoliczności towarzyszących podjęciu decyzji o rozpoczęciu walki. Problem został wszechstronnie już wyjaśniony, zarówno jeśli chodzi o aspekty polityczne, jak i militarne".* Dodałbym do tego jedno zastrzeżenie, że wiedza ta jest oparta na dostępnych obecnie materiałach archiwalnych bo czy wszystkie zostały już udostępnione, takiej pewności nie mam.

Jest też i druga sprawa. Otóż warto byłoby zdać sobie sprawę, jak ta wiedza historyczna funkcjonuje w świadomości społecznej? Czy już wyzbyto się mitów i uprzedzeń? Czy fakty wpływają na kształtowanie się tej wiedzy, czy też legendy i uprzedzenia? Zresztą Piotr Matusak nie bez powodu powiada, iż *„kolejne syntezy powstania winny być już dziełem następnego pokolenia badaczy. Już nie zaangażowanych bezpośrednio w dojenne wydarzenia... Posiadających większy dystans. Bardziej patrzących na powstanie poprzez pryzmat dokumentów i źródeł, niż poprzez filtr własnych obserwacji, wspomnień, sympatii, ale też i uprzedzeń".*

Dobrze więc się stało, że różne wydawnictwa, bo i MON, i PIW, i KAW zapowiedziały ciekawe publikacje, w tym również historyków piszących na emigracji. To być może pozwoli — tym bardziej, że już z perspektywy 40 lat — na racjonalne, chłodne, historyczne, a nie emocjonalne spojrzenie na ten ważny fragment naszych dziejów. Powstanie Warszawskie — jakkolwiek by je oceniać — wywarło wpływ na rozwój naszej najnowszej historii.

„ŻYCIE LITERACKIE" (nr 31 z 29 lipca 1984 r.) przyniosło obszerny fragment książki Kazimierza Kąkola przygotowywanej właśnie dla warszawskiego oddziału KAW. Fragment ten nosi tytuł: *„Przed Powstaniem Warszawskim"*, a redakcja zapowiada ciąg dalszy publikacji. W tej to publikacji Kazimierz Kąkol przytacza bilans sił, co nie jest przecież bez znaczenia dla oceny decyzji o rozpoczęciu walki w tym a nie innym czasie.

„Według danych z 29 lutego 1944 roku — pisze K. Kąkol — *liczba żołnierzy podziemia, wchodzących w skład Armii Krajowej, wynosiła na terenie Warszawy 38 160. Jeśli uwzględnić liczbę 11 000 żołnierzy obwodu podmiejskiego, to razem w okręgu Warszawa AK mogło stanąć do walki około 50 tys. żołnierzy (49 160). Wyposażenie tych żołnierzy w broń i amunicję przedstawiało się żałośnie. Według stanu na tenże dzień 29 lutego 1944 okręg Warszawa dysponował ogółem 20 ciężkimi karabinami maszynowymi, 98 ręcznymi karabinami maszynowymi, 604 — pistoletami maszynowymi, 1 836 — karabinami, 2 665 — pistoletami, 2 — armatkami przeciwpancernymi, 2 — „piatami", 12 — karabinami przeciwpancernymi, 50 000 granatów ręcznych; 5 000 — butelek zapalających. Tak więc zaledwie 10 proc. żołnierzy miało co wziąć do ręki..."*

Jak jednak wielka musiała być wola walki, jak wielkie bohaterstwo, jeśli tak słabo uzbrojona armia powstańcza przez 63 dni stawiała opór hitlerowskim dywizjom, dysponującym nie tylko czołgami, ale i samolotami oraz artylerią. Tego bohaterstwa i poświęcenia polskiej młodzieży nikt nie może zdyskredytować i pomniejszyć. O tym nie wolno zapominać.

Współczesność życi się nie tylko wspomnieniami i potrzeba jej nie tylko ocen tego, co dawniej się działo. Potrzeba jej też ocen tego, co dzieje się współcześnie. A dzieje się wiele i to wiele niedobrego. Oto „Tygodnik Zamojski" wystąpił przeciw temu, aby

ZAMIENIAĆ TURYSTÓW W HANDLARZY

Izabella Wlazłowska napisała reportaż pt. *„Po złote runo"*, w którym opisała jedną z wycieczek lubelskiego „Orbisu" do Turcji. Bohaterem tego reportażu był m. in. Dyrektor-Pilot. Miał on oczywiście swego prototypa, czyli konkretną postać. Były dyrektor lubelskiego „Orbisu" — Stefan Borak rozpoznał w Dyrektorze-Pilocie siebie i skierował sprawę do sądu. Relację z zakończenia procesu przynosi „RZECZYWISTOŚĆ" (nr 30 z 22 lipca 1984 r). Autorem jest Ryszard Nowosadzki a tytuł relacji brzmi: *„Tygodnik Zamojski" przed sądem".*

Jak zeznali świadkowie, wyprawa, którą pilotował Dyrektor-Pilot miała charakter wyłącznie handlowy. Była to — jak oświadczyła przed sądem jedna z jej uczestniczek — wyprawa Zamość — Istambuł — Zamość. Miano po drodze zwiedzić Bukareszt, Sofię, Saloniki, ale nic z tych planów nie zrealizowano, A na pretensje świadka Dyrektor-Pilot oświadczył, że to była wycieczka handlowa, a na turystyczną trzeba wybrać się po raz drugi.

W toku procesu okazało się, że zarzuty dotyczące zalegalizowania zbiórki dolarów na łapówki dla tureckich celników, kontrabanda i inne naganne oraz karalne czyny znalazły potwierdzenie. W tej sytuacji sąd *„oddalił pozew Stefana Boraka przeciwko redaktorowi naczelnemu „Tygodnika Zamojskiego" Zdzisławowi Kazimierczukowi i redaktor Izabelli Wlazłowskiej".* Sąd oddalił pozew, bowiem — jak pisze Ryszard Nowosadzki — *„powództwo nie zasługuje na uwzględnienie, ponieważ większość materiału zawartego w artykule (co wykazał przebieg procesu) odpowiada prawdzie. Potwierdzony został handlowy, a nie turystyczny charakter wycieczki i taki w niej udział dyrektora Stefana Boraka..."*

Niebywale interesujące są stenogramy konferencji prasowych min. Jerzego Urbana, zamieszczane w „RZECZYPOSPOLITEJ" (nr 179 z 27 lipca 1984 r.). W ostatnim stenogramie

JERZY URBAN OŚWIADCZA

iż nie on reprezentuje urodę Polaków, a pani Jolanta Karska w Miami. Oświadczenie to złożył niejako prywatnie, po zamknięciu konferencji prasowej, a związane ono było z licznymi artykułami w prasie zachodniej poświęconej osobie Jerzego Urbana.

W niektórych publikacjach, np. w „Die Welt", wypomniano żydowskie pochodzenie J. Urbana, nazywając go jednocześnie *„antysemitą"*. Jerzy Urban żałuje, iż nie posiada pieniędzy na proces o zniesławienie, ale też nie bez racji przypomina autorowi „Die Welt", *„że nie wspomniano o tym, że moi dziadkowie, większość ich dzieci, a także cała pozostała rodzina została wymordowana przez faszystów narodowości niemieckiej, gdyż to wydaje mi się większym ewenementem jako element moich dziejów osobistych niż, że dziadek był optykiem".*

Jerzy Urban dodał też, iż zauważył, *„że głównym źródłem ujemnych charakterystyk mojej skromnej osoby jest mój dawny przyjaciel, red. Dariusz Fikus... Wydaje mi się* — powiedział dalej J. Urban — *że opinie te są słabej wiarygodności, skoro ten Fikus właśnie z ohydnym Urbanem przyjaźnił się 20 lat".*

Nie wszyscy zachodni korespondenci czują się przyjemnie na konferencjach z min. Jerzym Urbanem. Ale to przede wszystkim ich wina.

Nie wiem natomiast, jak się czuł Tadeusz Chróścielewski, gdy przeczytał

NAJNOWSZY ŻART „KARUZELI"

która — jak to wynika z zamieszczonego sprostowania — pomyliła autorów. Ale niech tekst sam mówi za siebie:

„W numerze 11 „Karuzeli" zamieszczone zostały dwa wiersze WŁADYSŁAWA KATARZYŃSKIEGO: „Zdarzenie" i „Refleksje", omyłkowo przypisane TADEUSZOWI CHRÓŚCIELEWSKIEMU..."

Redakcja oczywiście przeprasza i Autorów i Czytelników, ale z blisko pół miliona egzemplarzy tego już nie wyskrobie. A mówią niektórzy, że „Karuzela" nie jest pismem satyrycznym. Bzdury mówią!

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

WĘGIERSCY GOŚCIE W ŁODZI

bawili bezpośrednio po uroczystościach 40-lecia PRL w Warszawie. Na czele węgierskiej delegacji stał członek Biura Politycznego KC WSPR, wicepremier **Istvan Sarlos.** Goście węgierscy spotkali się z kierownictwem łódzkiej instancji partyjnej i władz administracyjnych Łodzi oraz zwiedzili „Verę".

LUBLIN UDEKOROWANO

Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski z okazji 40 rocznicy Manifestu PKWN. Lublin przed 40 laty był największym miastem wyzwolonej Polski i siedzibą ówczesnych władz państwowych i politycznych. Mówiło się wówczas o „Polsce Lubelskiej". Ale i Lubelszczyzna była w czasie okupacji wielkim skupiskiem sił partyzanckich, tak polskich, jak i radzieckich.

RADZIECKI PROM KOSMICZNY

powinien wystartować i powrócić na Ziemię już w 1985 a najdalej w 1986 roku. Trwają bowiem intensywne prace nad skonstruowaniem takiego pojazdu kosmicznego, który mógłby startować w kosmos i powracać na Ziemię po kilka razy. W 1983 roku czyniono już próby ze startem promów kosmicznych i zarejestrowane zostały one jako rakiety „Kosmos 1443" i „Kosmos 1445". Jeden z promów lądował na Oceanie Indyjskim a drugi na Morzu Czarnym.

W ZUPEŁNIE NOWY SPOSÓB

potraktowało XII plenarne posiedzenie KC Związku Komunistów Jugosławii przygotowanie uchwały. Posiedzenie to było poświęcone sprawom ideologicznym partii, poddało krytyce wady występujące w funkcjonowaniu partii oraz jej polityce kadrowej. Nie przyjęto jednak uchwały. Plenum odbyło się w czerwcu 1984 roku, a dopiero od 13 lipca prasa jugosłowiańska rozpoczęła publikowanie w odcinkach projektu uchwały. Projekt ten będzie poddany pod dyskusję w całej partii. Uwagi tak zgłoszone w trakcie obrad XIII Plenum KC ZKJ, jak i później, które padną w dyskusji zostaną wzięte pod uwagę przy opracowywaniu ostatecznej wersji uchwały.

Projekt wysuwa na czoło zadania komunistów w walce o realizację wieloletniego planu stabilizacji gospodarczej w Jugosławii, dalszego rozwoju systemu samorządowego, usuwanie występujących przeszkód i trudności, jak też mówi o udziale komunistów w realizacji polityki kadrowej, aby w rezultacie której na stanowiska w administracji i partii byli wysuwani ludzie zdolni, konsekwentni, wykształceni i zaangażowani.

Dyskusja nad projektem uchwały ma potrwać kilka miesięcy, a gotowa uchwała powinna zostać przyjęta pod koniec 1984 roku.

DZIAŁALNOŚĆ KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W CHORWACJI

spotkała się z krytyką Socjalistycznego Związku Ludu Pracującego Chorwacji. Na posiedzeniu kierownictwa tego Związku zarzucono części kleru chorwackiego, że nie akceptuje panującego ustroju w Chorwacji, występuje przeciw temu ustrojowi. Wyraża się to między innymi w tym że niektórzy chorwaccy księża nie używają pojęcia „Jugosławia", w kościołach śpiewa się hymn chorwacki jako hymn kościelny. Wszystko to nie służy integracji narodów Jugosławii, a podtrzymaniu nacjonalistycznych nastrojów.

Na posiedzeniu tym przypomniano, że kler chorwacki zawsze utrzymywał dobre stosunki z panującymi i nie popierał walki narodu chorwackiego o wyzwolenie społeczne i narodowe. Przypomniano też, że nadszedł już najwyższy czas, aby w pełni realizować postanowienia protokołu o normalizacji stosunków między Kościołem katolickim a państwem w Jugosławii, który został podpisany między Jugosławią a Watykanem w 1966 roku. Wyrażono też nadzieję, że spodziewana wizyta Jana Pawła II w Jugosławii przyczyni się do poprawy stosunków między państwem a Kościołem katolickim.

ALBANIA PODPISAŁA UMOWĘ

o współpracy między własną telewizją a telewizją austriacką. Jest to pierwsza tego rodzaju umowa Albanii podpisana z krajem zachodnim. Zezwala ona ekipom telewizyjnym z Austrii na stałe filmowanie w Albanii.

Albania rozpoczęła od 1984 roku nadawanie programu telewizyjnego w kolorze, a w 1985 roku przystępuje do produkcji własnych kolorowych odbiorników telewizyjnych.

BUŁGARSCY STATYSTYCY OBLICZYLI

iż w ciągu 10 miesięcy 1983 roku, to jest od stycznia do końca października, odwiedziło Bułgarię 5,4 miliona turystów zagranicznych. Było to więcej niż w 1982 roku o 119 360 osób. W tym czasie wzrosła liczba turystów z Polski, Węgier, NRD, Belgii i Szwecji. Czynnych było wówczas 648 hoteli z 105 200 miejscami, to jest o 1,6 proc. więcej niż w 1982 roku.

Wszystko wskazuje na to, że w tym roku nastąpi dalszy rozwój turystyki w Bułgarii, ale na dokładne dane trzeba poczekać do przyszłego roku.

INTERSHOP W NRD

jest odpowiednikiem naszego „Pewexu". Przedsiębiorstwo to powołane zostało do życia w 1962 roku, ale dopiero od niedawna rozwinęło swoją działalność. Sprzyja temu ustawa dewizowa z 1973 roku, która zezwala obywatelom NRD na posiadanie dewiz, a od 1974 na kupowanie w Intershopach. Szacuje się, że obroty w Intershopach wynoszą co najmniej miliard marek RFN. Sieć tych sklepów zwiększyła się od 1978 roku w dwójnasób.

A. B. SEKATOR

Kiedy rodził się ustrój Polski Ludowej

Dokończenie ze strony 1

PKWN z rządem radzieckim przy uzgadnianiu granicy polsko-radzieckiej wystąpiły różnice poglądów w sprawie państwowej przynależności Puszczy Białowieskiej. W końcu negocjacji obie strony poszły na połowiczne ustępstwa, o czym świadczy przebiegająca obecnie przez puszczę granica międzypaństwowa. W toku tych obrad rząd ZSRR zobowiązał się popierać w przyszłości zachodnią granicę Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Konferencja jałtańska obradująca w lutym 1945 r., potwierdziła niezbędność przesunięcia granicy Polski na zachód. Nie określono jednak konkretnej linii, lecz szefowie rządów stwierdzili, iż *„Polska powinna uzyskać znaczny przyrost terytorialny na Północy i Zachodzie"*.

Obszary postulowane do odzyskania przez Polskę na początku 1945 r., były wyzwalane w stanie silnego wyludnienia, gdyż Hitler stosując taktykę „spalonej ziemi" nakazał wywozić lub niszczyć urządzenia oraz ewakuować ludność przed frontem. Z około 9 mln Niemców cywilnych zamieszkujących na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej pozostało ok. 2,5 mln, a pozostali przemieszczeni zostali na zachód od Odry i Nysy Łużyckiej, na południe od Sudetów lub drogą morską do Danii i północno-zachodnich Niemiec.

Powstała sytuacja, której nie przewidywało żadne z polskich ugrupowań politycznych, iż zmiany granic związane zostaną z przemieszczeniem milionowych rzesz ludności. Analogii można dopatrzyć się w braku możliwości wyobrażenia sobie przez ugrupowania niepodległościowe i rewolucyjne przed pierwszą wojną światową, by nastąpił równoczesny upadek trzech zaborców.

Wola wielkich mocarstw o przesiedleniu Niemców z Polski w związku z ustanowieniem nowych granic miała ułatwione warunki realizacji w wyniku przedfrontowej ewakuacji i samorzutnej ucieczki na Zachód kilku milionów Niemców.

Działający w pierwszej połowie 1945 r. Rząd Tymczasowy nie oczekiwał na dalszy bieg wydarzeń w sprawie obszaru i granic Polski, lecz podejmował możliwe wówczas inicjatywy celem zabezpieczenia interesów narodu polskiego. Ponieważ w sprawach terytorium byłej Rzeszy Niemieckiej nie mógł podejmować jednostronnych decyzji rząd ZSRR bez wspólnych ustaleń z sojusznikami zachodnimi, a termin ostatecznej decyzji w sprawie granicy polsko-niemieckiej niemożliwy był do przewidzenia, umożliwiono tworzenie polskiej administracji i osiedlanie ludności polskiej na terenach postulowanych w oparciu o lokalne uzgodnienia pomiędzy dowódcami frontów Armii Czerwonej: I Ukraińskiego, II Białoruskiego i III Białoruskiego a pełnomocnikami Rządu Tymczasowego.

17.V.1945 naczelny dowódca WP wydał rozkaz o obsadzeniu granicy na Odrze i Bystrzycy przez 5, 7, 8, 10 i 12 dywizje piechoty II Armii WP do 10.VI. 1945 r. W trakcie dyslokacji wojsk nadszedł 27 maja nowy rozkaz o obsadzeniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. W drugiej połowie czerwca jednostki II Armii zaczęły chronić nową granicę i kontrolować ruch ludności.

Z przyczyn historykom jeszcze nie znanych zmieniały się parokrotnie stanowiska w sprawie przynależności państwowej Szczecina. Polska grupa operacyjna na czele z inż. Piotrem Zarembą (znanym profesorem politechniki) dotarła do tego miasta 28 kwietnia, a nowopowstałe władze polskie miasto musiały opuścić 16 maja. Powtórnie zezwolono Polakom objąć władzę w Szczecinie 6 czerwca, a 19 czerwca po raz drugi musieli je opuścić. Ostateczne, po raz trzeci, objęcie miasta nastąpiło 6 lipca 1945 roku.

Według pierwszego projektu uchwały poczdamskiej granica polsko-niemiecka miała biec wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej, w tej sytuacji Szczecin pozostałby poza obszarem państwa polskiego. W sprawie przekazania Szczecina Polsce zabrał głos Stalin i po wymianie stanowisk z Harry Trumanem uzgodniono, iż *„byłe niemieckie terytoria na wschód od linii biegnącej od morza Bałtyckiego bezpośrednio na zachód od Świnoujścia, a stąd wzdłuż rzeki Odry do zbiegu jej z zachodnią Nysą i wzdłuż zachodniej Nysy do granicy czechosłowackiej... będą pod administracją Państwa Polskiego i ze względu na to nie będą uważane za część radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech"*.

Interpretacji wymagał zwrot *„bezpośrednio na zachód"*. Obecnie oznacza to około 6 km, ale dla wykonania decyzji poczdamskiej powołana została mieszana komisja składająca się z przedstawicieli władz polskich i przedstawicieli radzieckich władz okupacyjnych. Wytyczyła ona w terenie i wykreśliła na mapie 1:25 tys. granicę w rejonie Szczecina pomiędzy Polską a radziecką strefą okupacyjną. 4 października 1945 r. Polska objęła tereny położone na zachód i północ od Szczecina.

Do istotniejszych spraw dotyczących granic Polski po II wojnie światowej należą:

— dyskusja w Poczdamie w sprawie poprowadzenia granicy polsko-niemieckiej działem wodnym pomiędzy Kwisą a Nysą Łużycką,

— rezygnacja Polski w 1948 r. z traktowania Zaolzia jako obszaru spornego,

— wymiana w 1950 r. terytorium o obszarze 480 km, w rejonie Sołokii na obszar wraz z miastem Ustrzyki Dolne,

— wytyczenie granicy na północ od Brześcia i na byłym obszarze Prus Wschodnich.

Ukształtowanie się obecnych granic Polski i przemieszczenia mniejszości narodowych z Polski poza jej granice oraz przesiedlenie się, reemigracja i repatriacja Polaków z zagranicy do państwa polskiego przyczyniły się do ukształtowania współczesnego społeczeństwa polskiego, wyróżniającego się w Europie jednolitą strukturą narodową.

2. POLITYKA ROLNA

Reforma rolna była programem w okresie wojny wszystkich ugrupowań politycznych z wyjątkiem skrajnej prawicy, która widziała możliwość poprawienia struktury polskiego rolnictwa tylko kosztem gospodarstw poniemieckich (chłopskich i obszarniczych zarówno na ziemiach dawnych, jak i tez na terenach odzyskanych). Najradykalniejsze stanowisko w sprawie reformy rolnej zajmowała rewolucyjna część ruchu ludowego opowiadając się za przejęciem ziemi gospodarstw rolnych powyżej 35 ha obszaru. Na rzecz reformy rolnej przejęte byłyby więc gospodarstwa wielkochłopskie, co mogłoby wytworzyć poczucie zagrożenia i niepewności w innych grupach chłopskich, a w szczególności u właścicieli gospodarstw średniorolnych.

PPR w swej deklaracji z 1.II. 1943 r., postulowała przejęcie na rzecz reformy rolnej gospodarstw powyżej 50 ha, a w kolejnej deklaracji programowej z listopada 1943 r. zapowiadając wywłaszczenie bez odszkodowania majątków obszarniczych i dóbr martwej ręki, zrezygnowano z wyszczególnienia obszaru gospodarstw rolnych.

Dekret o reformie rolnej PKWN z 6.IX.1944 przewidywał granicę 50 ha użytków rolnych na terenie województw wschodnich i centralnych, a 100 ha ogólnego obszaru na terenie województw: Śląskiego, Poznańskiego i Pomorskiego.

W 1944 r., ujawniły się istotne rozbieżności w sprawie reformy rolnej pomiędzy partiami robotniczymi a ludowcami reprezentowanymi w PKWN. W stanowisku PPR i PPS przeważał wpływ motywów polityczno-społecznych (przekazanie ziemi wszystkim potrzebującym służbie folwarcznej, bezrolnym, małorolnym oraz części rolników średniorolnych). Dążono, aby poprzez nadziały ziemi pozyskać i związać chłopów z władzą ludową i nowym ustrojem. U ludowców (kierownikiem Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych był Andrzej Witos) przeważały motywy ekonomiczne: utworzenie zdrowych ekonomicznie gospodarstw średnioobszarowych, zapewniających należyte warunki bytowe parcelantom, które dostarczałyby dużą produkcję towarów na zaopatrzenie ludności pozarolniczej i ewentualny eksport.

W pierwszych latach po wyzwoleniu ujawniły się w sferze teoretycznej rozbieżności, bez większego wpływu na realny proces społeczno-gospodarczy, pomiędzy PPR a PPS dotyczące spraw spółdzielczości na wsi. PPS mająca bogate tradycje i doświadczenie w budowie ruchu spółdzielczego popierała idee produkcyjnych kooperatyw, niezależnie od spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu. PPR natomiast bacznie obserwując nastroje społeczeństwa zachowywała duży dystans wobec spółdzielczości produkcyjnej, ze względu na silne przywiązanie chłopów do posiadania ziemi oraz uprzedzenia formowane od dwóch dziesięcioleci przez różne ośrodki kształtowania opinii publicznej wobec treści związanej z silnie upowszechnionym w naszym kraju skrótem terminu rosyjskiego — „kołchoz". Rozbudowana natomiast została szybko organizacja zaopatrzenia i zbytu — Związek Samopomocy Chłopskiej.

Podczas przeprowadzania reformy rolnej zamierzano pozostawić około 1 mln ha ziemi na ośrodki kultury rolnej (gospodarstwa zarodowe, nasienne, wysokotowarowe, zakłady doświadczalne szkół rolniczych), a także na potrzeby pozarolnicze: osiedla mieszkaniowe, ogródki działkowe, zakłady opiekuńcze, dla szkół, komunikacji, wojska itd. W praktyce, w wyniku reformy rolnej, osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych i przepływu ludności ze wsi do miast, praktycznie zniknął głód ziemi na wsi. Przede wszystkim na terenach odzyskanych osiedlanie się w charakterze parcelantów stało się mało atrakcyjne. Wobec tego część nie rozparcelowanej ziemi pozostała w rękach państwa. Tak powstał sektor państwowy w rolnictwie obejmujący w pierwszych latach Polski Ludowej około 2,5 mln ha. Był on wówczas nazywany Państwowymi Nieruchomościami Ziemskimi. Ta część rolnictwa polskiego zepchnięta została na koniec podczas odbudowywania życia gospodarczego. Gospodarstwa te przez szereg lat były zaniedbane, nie doinwestowane oraz miały przypadkową, a nieraz fatalną obsadę kadrową.

W 1949 roku PNZ przemianowano na PGR, a w dziedzinie ideologicznej i politycznej nadano im czołową pozycję w rolnictwie polskim, jednakże bez istotniejszych zmian materialnych i kadrowych przy równoczesnym narzuceniu im zewnętrznego komenderowania przez czynniki mało kompetentne. Po 1956 roku nastąpiły w PGR istotne zmiany w sferze organizacyjnej, a poprawa warunków ekonomicznych została zapoczątkowana dopiero pod koniec lat 60.

W polityce wobec rolnictwa indywidualnego daje się w minionym 40-leciu wyodrębnić 5 etapów. Pierwszy z nich obejmuje pierwsze 4 lata po wyzwoleniu, drugi — okres planu 6-letniego, trzeci — okres 1957—1970, czwarty — lata 70 i piąty — lata trwającej obecnie dekady. Okresy 1, 3, 4 cechuje u rolnika poczucie stabilności i perspektyw rozwojowych gospodarki indywidualnej. Okres drugi — był kursem na kolektywizację i wiązał się ze stagnacją gospodarstw indywidualnych. Okres czwarty w sumie był korzystny dla rolnictwa indywidualnego. W latach 70 dokonano dużego postępu inwestycyjnego w gospodarstwach chłopskich, rozwinięto mechanizację upraw i częściowo hodowli. Nastąpiła też poprawa warunków bytowania ludności rolniczej. Naruszone zostały jednak silnie regionalne proporcje w strukturze produkcyjnej i zdrowe zasady opłacalności. Wysysanie siły roboczej ze wsi, wprowadzanie emerytur warunkowanych zmianami w prawach własnościowych oraz ogólna polityka wobec wsi tworzyły odczucie, iż rozpoczyna się kurs na pegieeryzację rolnictwa indywidualnego. Piąty okres jest nie zamknięty, obejmuje bieżącą politykę wobec rolnictwa indywidualnego. Nie wdając się w szczegóły tej polityki oraz uwzględniając ustawodawstwo ostatnich lat można stwierdzić jednak, iż polityka ta nie jest w pełni wykrystalizowana, nawet w sferze teoretycznej, a akty prawne są w niejednorodny sposób interpretowane. Generalnie przyjmuje się trwałość indywidualnych gospodarstw rolnych, a rozbieżności dotyczą perspektywicznej struktury tych gospodarstw, ich liczby, metod ustalania opłacalności (czy opłacalne mają też być gospodarstwa najgorzej prowadzone), kryteriów ustalania poziomu życiowego ludności rolniczej itd.

3. SPRAWY PRZEMYSŁU

W 40-letnich dziejach Polski Ludowej polityka wobec przemysłu jest równie interesująca i bogata. Uwieńczona jest licznymi sukcesami, ale też nie wolna od błędów i związanych z nimi strat. Wykorzystywano w niej polskie tradycje, prowadzono własne poszukiwania i eksperymenty, zapożyczano doświadczenia od innych narodów, zamieszkujących dosłownie różne strony świata — ze wschodu, z zachodu i z południa.

Podczas wojny w zasadzie wszystkie ugrupowania konspiracyjne opowiadały się za aktem nacjonalizacji przemysłu. Także prawica polityczna widziała potrzebę przejęcia na rzecz państwa obcego kapitału, majątku obywateli polskich narodowości niemieckiej, transportu, przemysłu zbrojeniowego, niektórych obiektów gospodarki komunalnej. Najbardziej radykalny program nacjonalizacji reprezentowały partie robotnicze — PPR i PPS postulując znacjonalizowanie całego kluczowego przemysłu.

Dokonanie aktu nacjonalizacji wymagało jednak oceny stanu przemysłu, ustalenia praw własnościowych itp., co było zadaniem niełatwym po kilkuletniej okupacji hitlerowskiej i zniszczeniach frontowych, a także odradzającej się dopiero polskiej administracji państwowej i gospodarczej. Niezbędny był na to czas i minimum stabilizacji w kraju. Sprawa nacjonalizacji przemysłu była też aktem politycznym, a więc rzutowała na powstawanie i utrwalanie władzy ludowej. Miała też reperkusje zagraniczne, kształtowane przez rządy kapitalistyczne, działalność burżuazyjnych organizacji gospodarczych i przebywających na Zachodzie obywateli polskich. Toteż w swym Manifeście PKWN zapowiedział: *„Majątek narodowy, skoncentrowany dziś w rękach państwa niemieckiego oraz poszczególnych kapitalistów niemieckich, a więc wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, transportowe oraz lasy, przejdzie pod Tymczasowy Zarząd Państwowy"*.

Na tej podstawie od chwili wyzwolenia kluczowy przemysł był w dyspozycji państwa ludowego i służył interesom całego społeczeństwa. Istniały jednak luki w przepisach prawnych oraz sposoby uzyskania stwierdzenia, iż dany obiekt nie jest niezbędny dla państwa. Istniały więc możliwości wszczęcia postępowania sądowego o reprywatyzację. W kraju podjęto wiele takich postępowań zakończonych wyrokami sądowymi korzystnymi dla dawnych właścicieli. Jakkolwiek przypadki reprywatyzacji nie zagrażały bezpośrednio nowemu systemowi gospodarczemu państwa, to mogły one wywołać odczucie niepewności u zwolenników nowego ustroju, a nadzieje na powrót do stosunków kapitalistycznych w środowisku burżuazyjnym i drobnomieszczańskim.

Decyzją ministra sprawiedliwości wstrzymano postępowania sądowe, a pod koniec grudnia 1945 r. KRN przystąpiła do obrad nad projektem ustawy o nacjonalizacji przemysłu. Główne rozbieżności podczas tych obrad pomiędzy partiami robotniczymi a PSL dotyczyły wielkości nacjonalizacji oraz sprawy wypłaty odszkodowania za znacjonalizowane obiekty. W sprawie rozmiaru zatrudnienia, czyli wielkości zakładów przewidzianych do nacjonalizacji, partie te zajmowały stanowiska zgodne ze swymi ideowymi i politycznymi programami, tzn. PSL postulowało granicę 100 pracowników, a więc większy zakres dla prywatnego posiadania, a PPR i PPS granicę 50 pracowników, czyli większy zakres znacjonalizowania. Przedmiotem spornym były 1342 przedsiębiorstwa zatrudniające 93 tys. robotników.

W sprawie odszkodowania za znacjonalizowane obiekty gospodarcze partie te postępowały sprzecznie ze swymi założeniami programowymi, natomiast zgodnie z doraźną taktyką polityczną. I tak PSL powołując się na ciężkie położenie społeczeństwa sprzeciwiało się wypłaceniu kapitalistom odszkodowania, chociaż akt nacjonalizacji bez odszkodowania mógł prowadzić do represji ekonomicznych (blokada polskiego majątku za granicą, przejęcie statków, zerwanie umów gospodarczych), antypolskich wystąpień politycznych za granicą oraz zaostrzenia się walk politycznych wewnątrz kraju. Te niebezpieczeństwa PSL bagatelizowało, a być może, że ich pragnęło.

PPR i PPS natomiast opowiadały się za odszkodowaniem za znacjonalizowane przedsiębiorstwa, pragnąc w ten sposób uniknąć komplikacji dla Polski na arenie międzynarodowej oraz łagodzić wewnętrzne walki klasowe.

Po wejściu ustawy o nacjonalizacji odszkodowania dla obywateli Polski nie były nigdy realizowane, natomiast rokowania z państwami kapitalistycznymi do 1956 r., nie były prowadzone w warunkach owczesnych napięć międzynarodowych znanych jako zimna wojna. Dopiero w latach 1957—58 uregulowane zostały w drodze dwustronnych umów rządowych sprawy odszkodowania dla kapitału francuskiego, brytyjskiego, belgijskiego, holenderskiego i państw skandynawskich. W lipcu 1960 r., w Waszyngtonie podpisana została umowa o warunkach spłaty należności za znacjonalizowane w Polsce mienie USA. Polska zobowiązała się zapłacić 40 mln dolarów amerykańskich w ciągu 20 lat, czyli po 2 mln rocznie do 1980 roku. Stany Zjednoczone natomiast przywróciły Polsce klauzulę najwyższego uprzywilejowania w stosunkach handlowych, zgodziły się na sprzedawanie Polsce nadwyżek zbożowych (za prezydentury J. Kennedy'ego był nawet przypadek zakupywania zboża w USA za złotówki polskie, czyli rozliczeń dokonywano na zasadzie eksportu wewnętrznego) oraz odblokowały mienie polskie znajdujące się w USA. W swojej więc konsekwencji stanowisko PPR i PPS w sprawie odszkodowania za znacjonalizowane obiekty przemysłowe było korzystne zarówno w 1946 roku, jak też i w latach późniejszych.

W rozwoju przemysłu Polski Ludowej daje się wyodrębnić kilka generalnych spraw:

1. — jakie mają być kierunki rozwoju, czyli jego struktura (baza surowcowa, tradycje, międzynarodowy podział produkcji, wpływ sytuacji międzynarodowej, potrzeby społeczne, przyszłościowe perspektywy),

2 — jakie winno być tempo rozwoju przemysłu:

a) dążenie do likwidacji zacofania oraz równanie do czołówki światowej,

b) zapewnienie środków bytowania dla przyrostu naturalnego narodu,

c) uwzględnianie potrzeb bezpieczeństwa narodu,

d) w jakich rozmiarach obecnie żyjące pokolenia mają obowiązek tworzyć wyższą bazę materialną dla przyszłych pokoleń (problem często podnoszony w okresie Planu 6-letniego) i odwrotnie, czy bieżąca konsumpcja może odbywać się kosztem wysiłku poprzednich pokoleń (sprawa ewentualnej dekapitalizacji majątku narodowego w obecnej dekadzie).

4. SYSTEM PARTYJNY W POLSCE LUDOWEJ

W powstawaniu władzy ludowej i w pierwszym okresie odbudowy państwowości, życia gospodarczego i kulturalnego brały udział cztery partie: PPR, PPS, SL i SD. Reprezentowały one wszystkie podstawowe klasy i warstwy społeczeństwa polskiego. W środowisku robotniczym działały PPR i PPS, na wsi — SL i PPR, a w środowisku inteligenckim — PPS, PPR i SD.

Po powstaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, latem 1945 roku, podjęły działalność w systemie władzy ludowej (rządzie, radach, władzach administracyjnych) dalsze partie: Stronnictwo Pracy oraz formalnie nowo powstała partia ludowa, choć faktycznie było to organizacyjne skupienie dawnej SL-ROCH oraz nurtu prawicowego z działającego już od roku Stronnictwa Ludowego.

Próba legalizacji Stronnictwa Narodowego nie uzyskała aprobaty władz państwowych, a podejmowane starania o utworzenie trzeciej partii socjalistycznej (obok PPR i PPS) przez Zygmunta Żuławskiego i trzeciej partii ludowej (obok SL i PSL) przez Stanisława Bańczyka zakończyły się niepowodzeniem.

W pierwszych latach Polski Ludowej ukształtował się binarny system partyjny: dwie partie robotnicze, dwie partie ludowe oraz dwie partie środowiska inteligenckiego i drobnomieszczańskiego. Ośrodkami polaryzacji inicjatywy politycznej były: PPR — zmierzająca do umocnienia w nowym ustroju elementów socjalistycznych i PSL — orientując się na mocarstwa zachodnie i kształtowanie postępowego systemu burżuazyjnego, przy czym program PSL daje się odtworzyć głównie na podstawie działań opozycyjnych.

W tym sześciopartyjnym układzie ścisła współpraca występowała pomiędzy PPR, PPS, SL i SD, jakkolwiek w konkretnych sprawach i w poszczególnych okresach pojawiały się wśród tych partii różnice stanowisk, tarcia czy też działalność konkurencyjna. Istnienie takiego układu partyjnego wynikało z nie zakończonej jeszcze walki politycznej o ewolucję ustroju społeczno-gospodarczego w Polsce.

Po wyborach 1947 roku i przyjęciu w sposób otwarty budownictwa socjalistycznego dualizm partyjny stracił racjonalne podstawy istnienia. Rozpoczęła się droga ku zespoleniu poszczególnych nurtów politycznych: robotniczego (zjednoczenie PPR i PPS w 1948 r.), ludowego (zjednoczenie SL i PSL w 1949 r.) i inteligencko-drobnomieszczańskiego (rozwiązanie się w 1950 r. Stronnictwa Pracy i akces jego członków do SD). Ukształtował się system trzech partii politycznych, w którym czołową pozycję zajęła PZPR, obejmująca swym zasięgiem środowisko robotnicze, rolnicze i inteligenckie. Minione trzy dziesięciolecia z występującymi w nich wydarzeniami politycznymi nie zniszczyły tego układu i świadczą o jego trwałości. Polski system partyjny wytrzymał więc próbę czasu, a w ostatnich latach wyraźnie się umacnia i utrwala.

W dziedzinie wpływów politycznych i zasad współpracy w ciągu tych dziesięcioleci było szereg zmian, w tym też sytuacje kwalifikujące się do negatywnej oceny (w szczególności z okresu pierwszej połowy lat pięćdziesiątych). Istotny jest jednak generalny kierunek rozwoju, który po 1956 roku cechuje atmosfera zaufania, jedności w sprawach ogólnospołecznych celów oraz coraz ściślejszych form współdziałania.

STEFAN BANASIAK

Niejaki Trebitsch-Lincoln, z pochodzenia Rumun, a właściwie obywatel świata — zwany w dwudziestoleciu międzywojennym, największym awanturnikiem XX wieku — osiadł w swoim czasie w Anglii, gdzie naturalizował się i w dwa lata po uzyskaniu obywatelstwa odważył się kandydować do Izby Gmin. Na atak przeciwnika w kampanii wyborczej: „Panie Lincoln, pan dopiero dwa lata jest Anglikiem" — nie speszony awanturnik odpowiedział: „Ja jestem Anglikiem z wyboru, a pan tylko z woli taty i mamy!". I przeszedł do Izby. Posłował tam dwa lata, potem się obraził, wyjechał do Chin, oddał się w służbę podejrzanego generała, zbił sporą forsę, musiał uciekać i znów wybrał sobie inną ojczyznę.

Moim zdaniem ów przegrany Anglik „z woli taty i mamy" zasługiwał bardziej na mandat mimo że nie był tak wyszczekany jak Lincoln. Stała za nim nie tylko rodzina, ale setki lat tradycji, zakorzenienia, przekazywane przez pokolenia przywiązanie do kraju. Był Anglikiem naprawdę.

No bo cóż to jest właściwie patriotyzm? Definicji jest wiele. Oczywiście istnieje tu pewna determinanta urodzenia, pokoleń, tradycji, pewnego rodzaju niezależne od woli istnienie w tym a nie innym kraju — ale to wszystko tworzy pewien model psychiczny i nie tylko psychiczny.

Znany z literatury oficer Mołnysz-Uły z „Szosy Wołokołamskiej" Aleksandra Beka powiada swoim żołnierzom: *„ojczyzna to twoja matka, twoja zagroda, te drzewa we wsi, ta mowa, której uczył ojciec..."* i on właśnie miał rację.

ROBERT GLUTH

Umysł wyzwolony

Generalizując, to naprawdę każdy człowiek jest skazany na swoją ojczyznę, a to skazanie nie bierze się z pierwszego pokolenia, tylko ciągnie się przez całą historię. Jest to jedyna rzecz, której nie można zmieniać jak rękawiczki. To na pewno jest pewna niewola, ale niewola tak serdeczna, dla której bez żalu przelewa się krew, a innym razem serce podchodzi do gardła, gdy Irenie Szewińskiej grają „Jeszcze Polska nie zginęła", a innym razem znów pazurami by się broniło tego a nie innego kawałka ziemi. Nawet ci, którzy kiedyś tam porzucili w końcu tę nie najpiękniejszą ziemię czują szaloną nostalgię i proszą, gdy się zestarzeją, aby ich prochy spoczęły w jakimś mazowieckim piachu. To jest bardzo irracjonalne. Na pewno. Ale mili moi — szynka nie jest irracjonalna, plastyk nie jest irracjonalny, ale szynką i plastykiem dusza żyć nie może.

Jeden na antypodach ma łzy w oczach, gdy usłyszy nazwisko Józefa Piłsudskiego, inny — gdy usłyszy nazwisko Władysława Gomułki, a wszyscy łkają jak bobry na przedstawieniu „Halki" czy przy delikatnych mazurkach Fryderyka Chopina.

Wyznam, że dla mnie Polska, to nigdy nie były wielkie inwestycje wybudowane wspólnym wysiłkiem narodu, ale ludzie. Sam na własny użytek nazwałem wszystko co wybudowano takim śmiesznym określeniem „infrastruktura ludzi". Niektórzy moi koledzy powiadają, że ja to jestem taki reporter typu amerykańskiego. Co to znaczy? Krótko mówiąc, jestem facetem, którego nie zadowalało pisanie etatowe w dzienniku, dwóch tygodnikach i współpraca z sześcioma innymi. Postanowiłem sobie pisząc do wielu gazet chodzić „w naród", brać się za różne prace, poznawać ludzi od podszewki i pisać o nich. W międzyczasie pracowałem jako robotnik, ekonomista, dyrektor, oficer WP itd. W ten sposób poznałem ludzi i ich problemy.

Po długim namyśle wybrałem trzech ludzi, z którymi w różnym stopniu się zaprzyjaźniłem, a trzeba przyznać, że stanowią oni bez wątpienia „kamienie milowe" czterdziestolecia Polski Ludowej.

ALEKSANDER ZELWEROWICZ – CZYLI REWOLUCJA KULTURALNA

To był rok 1947, początek roku. Starzy łodzianie pamiętają, że w gmachu niedaleko ulicy Worcella mieścił się Centralny Robotniczy Dom Kultury. Potem tam była operetka, a obecnie w dawnym kinie „Lutnia", jest teatr. Dom ten (CRDK) znajdował się pod patronatem organizacji młodzieżowej OM TUR. Tuż po wojnie domisko miało scenę: widownię bardzo zaniedbaną, ale publika pochodziła z autentycznych, zapalonych synów robotniczych, autentycznych łodzian, ich ojców i dziadków.

Któregoś dnia zimowego na wypłowiałych pluszowych krzesłach zasiadła widownia zupełnie inna niż teraz do teatru przychodzi, w nie dopasowanych garniturkach, bidniutkich unrowskich ciuchach — ludzie, którzy po raz pierwszy mieli do czynienia z teatrem. Na malutkiej scenie stały dekoracje, które nie tylko nie miały nic wspólnego z obecną wyrafinowaną scenografią, lecz przypominały umowne XVI-wieczne symbole jakichś chałup — nie chałup. Serie z karabinu maszynowego robiło się za pomocą terkotki. Ale nie myślcie, że tam na scenie wygłupiali się domorośli artyści. Tam, wśród tego prymitywu stanął prawdziwy Aleksander Zelwerowicz. Człowiek, który grał za pięć kilogramów cukru i za kilogram mąki. Chryste Panie! To był jego największy, najwspanialszy dzień. On dał z siebie wszystko. Bo to był tak gigantyczny talent, że mógł grać w remizie strażackiej i rzuciłby na pysk całą widownię. Szła sztuka radzieckiego autora „Niespokojna starość" (znana również pod tytułem „Delegat floty"). Zelwerowicz grał w sposób wstrząsający starego profesora Poleżajewa, którego młode cwaniaki, zawistne o to, że chce ofiarować swoje osiągnięcia nowej władzy, niszczyły — a w końcu asystent rzucił jego rękopis, tak że wszystkie kartki rozsypały się po widowni. Ludzie! Cała widownia zbierała te kartki płacząc, klnąc, pocieszając profesora, a on grał na widowni, na proscenium, na scenie. Te oczy wpierw rozżalone, potem gniewne, w końcu zwycięskie. Zaryzykuję twierdzenie, że wszystkie późniejsze eksperymenty — rozszerzenie sceny na widownię — wzięły z tego początek. Wszystkie późniejsze dęte happeningi, wszystki udziwnienia Wajdów, wszystko wykluło się z tego jaja.

Publiczność przeżywała sztukę jak autentyczny kawał życia, bo przecież tym ludziom dano nie tylko pierwszy kontakt z teatrem, ale z wydarzeniem aktorskim na miarę Europy.

Co to było potem! Blisko pięćset ludzi po przedstawieniu szło ulicą i śpiewało. Tak. Śpiewało.

Ale nie to jest najistotniejsze. Zelwerowicz wziął autentyczny, serdeczny udział w tym, co później musiało się stać: powstały zespoły robotnicze, znaleźli się raczkujący naśladowcy, a o to mu chodziło. Minęło wiele lat i sam prowadziłem w 1959 roku robotniczą scenę „Piwnica 59".

Chwała Zelwerowiczowi — największemu aktorowi Polski — ale nie można zapomnieć o ogromnej galwanizacji ruchu autentycznie robotniczego, którego w pewnym okresie zazdrościło nam wiele krajów europejskich. Z biegiem lat powstawały w najmniejszych miasteczkach sceny robotnicze, wybitni aktorzy partyjni obejmowali patronat nad tym ruchem. Niechże jakiś kalifornijski aktor temu zaprzeczy.

ZBYSZEK CYBULSKI – ANIMATOR KULTURY

Kiedy się tak zastanawiamy nad sportowcami, piosenkarzami, kompozytorami, rzeźbiarzami najdoskonalszymi w czterdziestoleciu — i kiedy od razu pierwszy zapytany Polak mówi: „Szewińska, Dunikowski...", nagle pada nazwisko Cybulski. No jasne, ten człowiek to nie tylko aktor, ale przecież to także styl, słownictwo, specyficzny gest, a przede wszystkim symbol kolejnych młodych pokoleń. Ze Zbyszkiem przyjaźniłem się i to bardzo. Nie zliczyć godzin, które z nim spędziłem. A Zbyszek przecież to nie tylko, jak się rzekło, aktor, to wręcz instytucja. Istnieje przypuszczenie, że ta dualistyczna postać Maciek Chełmicki — Zbyszek Cybulski staje się w miarę odległości czasu coraz bardziej powszechnym mitem młodzieżowym, powracającą legendą, sposobem bycia.

Ale kto na dobrą sprawę zna całą prawdę o Cybulskim? Ten człowiek, owszem, bywał za granicą i kręcił tam zdecydowanie słabe filmy. Bo generalnie na obcym bruku żył kompletnie niewytłumaczalną tęsknotą. Za tym złym czy dobrym krajem. Gdybym tak miał ocenić Zbyszka, z którym hektolitry kawy wypiłem w „Honoratce", to muszę powiedzieć, że bardzo klął na to nasze Mazowsze — ale biada temu, kto przy nim źle o Mazowszu powiedział.

U szczytu kariery, gdzieś w roku 1960 za niewielką wówczas, raczej symboliczną dla tak wielkiego aktora sumę, Zbysio spotkał się z moją podopieczną młodzieżą robotniczą w podziemiach „Pałacyku" ZMS w Łodzi. Spędził razem z nami dokładnie 11 godzin. W zimie. Sala była pełna i mimo jego zmęczenia pytaniom nie było końca, a na wszystkie odpowiadał, uczył początkowych nie zmanierowanych gierek, a gdy wychodziliśmy w późną noc, otulony chudziutkim misiem zatrzymał się i powiedział straszne zdanie, którego nie byłem w stanie wówczas docenić: *„Robert, jak ja bym strasznie nie chciał umierać zimą"*. A w niedługi czas później właśnie to się stało.

Przed jego którymś wyjazdem do Paryża zapytałem go w kawiarni Grand-Hotelu, co by życzył Łodzi (właśnie zbliżał się któryś jubileusz „Dziennika Łódzkiego"). Zbyszek powiedział tak: *„Życzę Łodzi maleńkich, ciepłych kafejek, ogromnego ruchu robotniczego i studenckich teatrów amatorskich i więcej fantazji"*. Te cudne słowa Zbyszka oczywiście poleciały wraz z jego zdjęciem w „Dzienniku". On oprócz pracy w telewizji, teatrze i filmie, znajdował czas jedynie dla swojego jedynego, absolutnego hobby. To była animacja ruchu amatorskiego.

ANTONI ROGUCKI – CZYLI ZMIANA KRAJOBRAZÓW

Kiedy w roku 1973 pracowałem w „Tygodniku Morskim", a znany byłem tam właściwie jako sprawozdawca z kolejnych etapów budowy Portu Północnego, gruchnęła wiadomość, że po babraniu się przez niejakie przedsiębiorstwo „Budowa Rafinerii Gdańsk" — na plac budowy wchodzi absolutny fachman — „Petrobudowa" z Płocka.

Pojechałem tam, odczekawszy najazd dziennikarzy gdańskich, żeby mieć święty spokój i nie zadawać optymistycznych pytań. Zastałem przerażające hałdy błota na 220 hektarach w widłach Martwej Wisły i Rozwójki. To był krajobraz ze strasznego snu. Nieliczni ludziska brodzili po pachy w zwałach szlamu i tam wykonałem historyczne już zdjęcie gościa prawie tonącego w tym błocku. Tytuł przyszłego reportażu natychmiast mi przyszedł do głowy: „Nieco powyżej zera".

Ale niedaleko szosy sztutowskiej dobrnąłem do fińskiego baraku i spotkałem w nim trzech facetów przy biurku, stanowiącym jedyne umeblowanie pokoju. Na środku leżał papier pergaminowy, na nim trochę szynki i parę bułek. I wtedy oczy zatrzymały mi się na gościu, w którego gestach było coś atamańskiego, i niewiele myśląc podszedłem właśnie do niego: *„Dzień dobry panie dyrektorze, melduje się Robert Gluth z „Tygodnika Morskiego"*. I na to usłyszałem: *„No patrzcie chłopaki, to jest prawdziwy dziennikarz, od razu mnie poznał"*. Ja go na oczy w życiu nigdy nie widziałem przedtem. To chyba jakiś instynkt mi podpowiedział, że to właśnie ON — Antoni Rogucki — legenda Polski Ludowej, twórca Nowej Huty, twórca Rafinerii w Płocku i teraz biorący się za swą ostatnią wielką robotę. Miał przed sobą grafik wypełniony chyba do jednej trzeciej. W wolne rubryki wpisywał po konsultacji z pozostałymi towarzyszami ludzi, którzy z dnia na dzień awansowali jak na Dzikim Zachodzie. Ot, kierowca, który mnie przywiózł, chłopak cwany, którego ojciec tam już pracował... został kierownikiem bazy transportowej (drobiazg, około trzystu samochodów). Dla wyjaśnienia, chłopiec miał maturę, kilka lat nienagannej szoferki i nieprawdopodobny spryt. Tam się stawiało momentalnie na ludzi i zanim państwowo-prywatny włoski koncern ENI przysłał makietę rafinerii — to już po trzech miesiącach z terenu został wybrany humus, nawieziony piach z Wyspy Krakowieckiej, zaangażowano angielskie brygady wibroflotów, teren zniwelowano, zbudowano oczyszczalnię ścieków, wybrano tereny pod budowę gigantów-zbiorników, tereny pod mniejsze zbiorniki, zaangażowano kilkunastu podwykonawców, ustalono namiestnika — dyrektora Mieczysława Lewandowskiego, przeprowadzono drogi dojazdowe, zaangażowano „Mostostal" oraz przedsiębiorstwa robót kolejowych... Gdy po pięciu miesiącach przyjechałem, wznoszono już giganty zbiorników, budowano zaplecze socjalne, wznoszono masyw rafinerii... I tylko żądano rąk do pracy. Zapadła decyzja: zwrócić się do ministra obrony narodowej Wojciecha Jaruzelskiego — o wyspecjalizowane jednostki wojskowe.

Ale nie myślcie, że wszystko było takie cacy cacy. Ileż było handryczenia o opóźnienia dostaw, szczególnie z hut śląskich. Wszystkie te ataki skrupiały się na głowie dyrektora Lewandowskiego i podpisanego niżej Roberta Glutha, bo rozwścieczyli się na dobre działacze ze Śląska za publiczne wytknięcie opóźnień w zaleceniach uchwały Prezydium Rządu. Gdyby nie I sekretarz KW Tadeusz Bejm, który walnął pięścią i powiedział: *„Ja tu jestem gospodarzem, a rafineria musi być"* — to by było całkiem kiepsko. Największy „kawał", któryśmy zrobili wspólnie z inżynierem Lewandowskim, to „rozbrojenie" przeraźliwie wlokącej się budowy nad Jeziorem Żarnowieckim. Tam wisiał pert opiewający na dziesięciolecia radosnej twórczości elektrowni atomowej. A Szwedzi doszli do wniosku, że to wspaniały poligon dla ich „Volvo" i sprowadzili gigantyczne wozidła 40-tonowe, na dobrą sprawę za symboliczną opłatę. Idiotyzm całego przedsięwzięcia polegał na tym, że do tych wozideł doszlusowano ładowarko-koparki o małym gabarycie rodzimej produkcji. W rezultacie ludziska leserowali, wozidła stały, bo zanim coś takiego załadowano, to czas mijał. Tymczasem na ogromnym poligonie rafinerii gdańskiej sytuacja była odwrotna: solidne ładowarki obsługiwały nie tak znów wielkie „Kamazy". W efekcie kierowcy dostawali lewych obrotów, padali z wyczerpania. W ogóle paranoja.

Z poduszczenia fachowców rafineryjnych opublikowałem entuzjastyczny reportaż znad Jeziora Żarnowieckiego, cudując na temat szwedzkiego sprzętu. Efekt był piorunski: wszystko sprowadzono do zdrowego rozsądku i wielkie wozidła dopasowano do wielkich ładowarek. Oczywiście przy budowie rafinerii.

Zresztą każdy mój reportaż „rafineryjny" jednał mi dziesiątki wrogów. Odnośna uchwała Prezydium Rządu była jak się rzekło lekceważona przez kooperantów i dlatego też Lewandowski brał po każdym reportażu 10 egzemplarzy „Tygodnika Morskiego", wsiadał do samochodu i jechał pieklić się do Warszawy. On był odpowiedzialny za całość budowy i jej terminowość, a ja po odpowiednich rozmowach stanowiłem „głos opinii publicznej". Naturalnie terminowa praca i ta prowokacja opinii publicznej były dziełem Roguckiego i Lewandowskiego. Ja od siebie dodawałem tylko pasję i niejaki talent reporterski.

Byłem jedynym dziennikarzem uprawnionym nawet do budzenia Antoniego Roguckiego o godzinie 24 w nocy międzymiastową z Płockiem, żeby nie tyle ratować własną skórę, ale żeby posługując się gigantem umysłu Roguckiego, który cały czas sterował tą budową — wiedzieć kogo się czepić.

Jak się już nieraz rzekło, Rogucki był kochany przez załogę, a wielu wrogów miał wśród urzędników. Ale zbudował jedną z najlepszych w Europie gigantycznych rafinerii. I to jest sens naszej chwały, ludzie, którzy całe życie poświęcili po to, aby Polska była Polską.

Bo to jest Polska właśnie.

Przystojna. Czterdziestoletnia.

Bohaterstwo i fiasko

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Powstanie Warszawskie było bohaterskim zrywem narodu, szczególnie młodzieży, która widząc zbliżającą się klęskę hitlerowskich Niemiec chciała wziąć odwet za lata poniżenia, poniewierki, za szubienice, rozstrzeliwania i obozy koncentracyjne. Żołnierze Polski podziemnej z niecierpliwością czekali takiego momentu.

„Na kawałku bibułki — wspomina Elżbieta Ostrowska w książce „W ALEJACH SPACERUJĄ „TYGRYSY" — *przyniesionym rano przez łączniczkę alarmową, czytam: „Ustalono „W" dn. 1 sierpnia godz. 17.00". Litery zakręciły się przed oczami, kurcz zacisnął gardło: „Ustalono „W"... ustalono „W", godzina 17.00". Dopiero po chwili uświadamiam sobie: 1 sierpnia?... to dzisiaj! Dziś jest 1 sierpnia, na pewno! Rozkaz „W"! Już nie się nie zmieni... Dziś... za kilka godzin!"*.

To była radość, że nadszedł ten oczekiwany moment. Później, kiedy wybiła godzina „W", godzina 17.00 1 sierpnia 1944 roku, była radość, że oto znienawidzeni Niemcy zniknęli z ulic, że biegają po nich chłopcy z biało-czerwonymi opaskami, że na domach wiszą biało-czerwone sztandary, że na kawałku okupowanej jeszcze Polski pojawiła się bronią wywalczona wolność.

Inne wszakże były racje polityków. 14 lipca 1944 roku Komenda Główna Armii Krajowej w meldunku nr 243 tak określała polityczne cele powstania:

„Mimo że nie zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne z Sowietami, AK nie może pozostać bezczynna w wypadku cofania się Niemców, a wkraczanie Sowietów lub w wypadku rozkładu sił niemieckich i zagrożenia okupacją sowiecką, AK musi stoczyć ostateczną walkę z Niemcami...

Myślą przewodnią naszej ostatecznej walki jest:

a. zadokumentowanie przed światem naszego nieugiętego stanowiska wobec Niemców i niezłomnej woli walki z nimi,

b. wyrwanie Sowietom złośliwego atutu do zaliczania nas w poczet cichych sprzymierzeńców Niemców lub nawet tylko neutralnych w stosunku do Niemców,

c. wzięcie pod swe dowództwo tej części społeczeństwa, która jest żądna odwetu na Niemcach, a nie wchodzi w skład AK, celem skierowania jej na drogę dążeń niepodległościowych i oderwania od czynników sowieckich.

Bezczynność AK w chwili wkraczania Sowietów na nasze ziemie nie byłaby równoznaczna z biernością kraju. Inicjatywę do walki z Niemcami da w tym wypadku PPR i znaczny odłam społeczeństwa może się przyłączyć do tego ruchu".

Ale też w tym samym meldunku jego autorzy przyznają, że *„w obecnym stanie przeprowadzenie powstania, nawet przy wybitnym zasileniu w broń i współdziałaniu lotnictwa i wojsk spadochronowych, byłoby okupione dużymi stratami"*. A mimo to padł sygnał do powstania. Dlaczego?

W wydanej obecnie przez PIW książce J. M. Ciechanowskiego „POWSTANIE WARSZAWSKIE...", która przed kilkoma laty ukazała się w Londynie, autor tak odpowiada na pytanie: dlaczego?

„...tragiczny i zakończony klęską epilog „Burzy" na kresach nie skłonił Bora-Komorowskiego do zaniechania jej, czy choćby zrewidowania jej celów i metod. Wręcz odwrotnie, niepowodzenia na Wołyniu, w Wilnie i we Lwowie przekonały krajowych sztabowców, że aby w pełni zaznaczyć i uwypuklić polityczne aspekty „Burzy", potrzebny jest jeszcze większy wysiłek i ofiara, choć wiedzieli oni, że ich wystąpienia na wschodzie w istocie zapoczątkowały proces całkowitej likwidacji AK".

Jaka była więc koncepcja powstania? Dowództwo AK znało przecież stan liczebny i uzbrojenie swoich oddziałów. Nie skoordynowano działań z nacierającą Armią Czerwoną. Przeciwnie, chciano ją postawić wobec faktów dokonanych. Liczono zatem na pomoc z Zachodu. Na skoordynowanie działań powstańczych z akcją lotniczą zachodnich sojuszników oraz na desant spadochroniarzy polskich.

Felicjan Majorkiewicz został zrzucony do Polski jako cichociemny z przeznaczeniem do prac w sztabie KG AK. Jest on autorem pamiętnika „LATA CHMURNE, LATA DUMNE". W pamiętniku tym pod datą 15 sierpnia 1944 roku zanotował:

„Otrzymaliśmy istotne wiadomości w depeszy od Naczelnego Wodza, dlatego należy mieć nadzieję, że akcja pomocy w zrzutach lotniczych ruszy na większą skalę, po przełamaniu zasadniczych oporów. Ponadto Naczelny Wódz przekazał co następuje:

— wsparcie naszej walki przez brygadę spadochronową jest nierealne i to pomimo usilnych starań i interwencji. Na przeszkodzie stoi długość trasy i uprzednio powzięta decyzja użycia polskiej brygady w zaplanowanej operacji we Francji. Jeżeli można mieć jakąś nadzieję, to w zakresie najwyżej wzmocnionej kompanii; — co do dotyczy wsparcia lotniczego i bombardowań, to zgodnie z Układem Teherańskim Wielkiej Trójki ZSRR posiada wyłączne prawo operacji na polskim teatrze wojny.

— sprawa przyznania praw kombatanckich dla żołnierzy AK jest w trakcie załatwiania na drodze dyplomatycznej".

Felicjan Majorkiewicz nie bez racji stwierdza, że informacje te *„powinny być znane przed wybuchem powstania"*.

Nie ma jednak sprzeczności między tym, że był to bohaterski zryw narodu i że było to jednocześnie fiasko polityki określonych sił w Polsce. Słabo uzbrojeni powstańcy walczyli przez 63 dni przeciw doskonale wyposażonym, w czołgi i najcięższą broń wojskom niemieckim. Przeciw dziesiątkowanym oddziałom powstańców Niemcy używali armat kolejowych, broni rakietowej, zwanej „krowami", dział pancernych, czołgów i „goliatów" — samobieżnych, sterowanych min. I nie mogli złamać oporu powstańców. Brak amunicji, pożary, brak żywności, brak broni i coraz bardziej zacieśniający się obszar, na którym bronili się powstańcy, zmusił dowództwo powstania do kapitulacji. Ale żołnierze płakali, oni chcieli walczyć dalej, choć wiedzieli, że muszą przegrać, że już przegrali.

Jerzy Kirchmayer w książce „POWSTANIE WARSZAWSKIE" tak pisze:

„Faktem najbardziej ogólnym i najbardziej bezspornym jest, że powstanie zakończyło się całkowitą klęską wojskową, polityczną i materialną. Nie trzeba przysłaniać tego faktu zwalaniem winy na innych — na Armię Radziecką, na rząd i dowództwo anglosaskie, na PKWN i I Armię Polską. Trzeba stanąć na stanowisku, że kto poniósł klęskę, ten jest winien, ponieważ jego przewidywania były mylne, ponieważ nie obliczył swoich sił, powziął zły plan działania, nie uwzględnił warunków czasu, nie wytrzymał nerwowo itp.".

Dziś, po 40 latach, z jeszcze większym uznaniem czcimy pamięć bohaterskich powstańców Warszawy, ale nie możemy powstrzymać się przed racjonalną, chłodną oceną fiaska polityków.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dokończenie ze strony 1

płyt chodnikowych, ulicznej kostki a także rozmaitych skrzyń, desek, nawet mebli!

II.

Raptem, ni stąd, ni zowąd padł przy wznoszonej barykadzie nieznajomy mężczyzna, z głowy broczyła krew. Od razu rozległy się głosy, że to strzelał ten podejrzany typ spod takiego a takiego numeru, wyglądający nawet na Niemca i że trzeba z nim zrobić porządek. Okazało się jednak, że strzały padają z dachu wysokościowego budynku „Telegrafu" przy Poznańskiej, gdzie od dawna znajduje się załoga obsługująca „zenitówkę" i stamtąd kropi z karabinu, jak się ktoś znad barykady wychyli.

Przypadła mi opieka nad rannym, ulokowanym w stróżówce. Jako konspiracyjny medyk, a oficjalnie absolwent dwuletniej Szkoły Pomocniczego Personelu Sanitarnego, prowadzonej przez doc. Zaorskiego umiałem praktycznie bardzo niewiele, z pewnością mniej niż ludzie po autentycznych kursach dla personelu sanitarnego. Ale któż inny mógł się zajmować tym pierwszym rannym, jak nie ja i pewna starsza oraz nobliwa dama, która w czasie pierwszej wojny służyła ochotniczo jako sanitariuszka. Punkt opatrunkowy dopiero się tworzył, po drugiej stronie ulicy, w lokalu baru „Narcyz" przy Żurawiej 19.

Tymczasem niemiecki snajper strzelał systematycznie z dachu „Telegrafu" wzdłuż całej Żurawiej i raził celnie wszystkich nieostrożnych przez najbliższe dni i tygodnie. Dyżurowałem przez noc przy prowizorycznie opatrzonym, nieprzytomnym rannym mężczyźnie, nie mającym żadnych dokumentów, mierzyłem mu zanikające tętno, a kiedy zdrzemnąwszy się na krześle otworzyłem po chwili oczy, stwierdziłem, że nie żyje. Pochowaliśmy go pod zerwaną płytą chodnika.

I ta noc, i następne były jasne od łun, widocznych w różnej odległości ze wszystkich stron. Płonęły dziesiątki i setki domów.

III.

Jednej z pierwszych nocy (czy może już pierwszej?) zaczęto na rozkaz powstańczych władz przebijać w fundamentach domów podziemne przejścia do sąsiednich kamienic, tworząc pod śródmieściem całą sieć komunikacji pieszej w obrębie poszczególnych kwartałów zwartej zabudowy. Tylko pomiędzy kwartałami, rozdzielonymi jezdnią, musiało się wychodzić na powierzchnię, żeby przemknąć się pod osłoną barykady na drugą stronę ulicy. W pobliżu nas jedynie przez Aleje Jerozolimskie na wysokości Kruczej trzeba było susem przebiegać bez żadnej osłony, była to bowiem przez cały czas powstania arteria całkowicie kontrolowana przez Niemców, których czołgi utrzymywały stałą łączność pomiędzy umocnionymi punktami, jak Muzeum Narodowe czy Bank Gospodarstwa Krajowego, trzymali też w swoich rękach Most Poniatowskiego.

Nie musiałem przebiegać Alej, toteż nie próbowałem, choć niektórzy próbowali z czystej ciekawości, kule były jednak zwykle szybsze.

W obrębie kwartałów ludzie odbywali stałe podziemne spacery, odwiedzali znajomych, poszukiwali krewnych, wyruszali na handel albo przewiedzieć się, co tam „na mieście" słychać. Jako łapiduch często musiałem przemierzać te piwniczne ciągi, co chwila następować na nogi tych, co od chwili wybuchu przenieśli się na stałe wraz z podręcznym dobytkiem do piwnic, które już przed powstaniem służyły im nieraz jako schrony w czasie nalotów. Wiedli tu teraz przez okrągłą dobę swój podziemny żywot w migocącym świetle karbidówek czy świec, w stęchliźnie i duchocie, wśród kwaśnego zapachu oddechów i odoru moczu. Niektórzy przez całych dziewięć tygodni aż do dnia kapitulacji nie wychynęli z piwnicy nosa.

Nierzadko wprawdzie dom zawalał się od pocisku artyleryjskiego czy bomby lotniczej i grzebał ludzi żywcem, ale przynajmniej nie groziła zabłąkana kula czy obstrzał z granatników, co każdej chwili mogło się przytrafić na podwórzu. Ponadto tu na wierzchu powietrze też było nieszczególne, zwłaszcza gdy *„wysiadła" elektrownia i wodociągi, a z przepełnionych podwórkowych ustępów zaczęła się wydobywać na powierzchnię cuchnąca maź.* Kto delikatniejszy, to i nos chusteczką zatykał.

IV.

Ale wybiegam naprzód, bo już nazajutrz zorganizowano punkt opatrunkowy w „Narcyzie", gdzie się zameldowałem jakiemuś młodemu lekarzowi, którego po paru godzinach odwołano do szpitala przy Wspólnej, a jego następca też długo nie zagrzał miejsca, aż wreszcie przyszedł na stałe dr Manczarski. Pomagałem pod dyktando w rozmaitych zabiegach z zakresu „małej chirurgii", robiłem zastrzyki, bandażowałem. Pewnej nocy rozpalono w pobliżu ogień, aby wskazać miejsce radzieckim samolotom dokonującym zrzutów. Niemcy skierowali w tę stronę *obstrzał granatników, na szczęście dla nas niecelny*, bo opatrywaliśmy akurat rannych, a „Narcyz" miał od ulicy szyby do samej ziemi. Każdy pewnie myślał, jak by tu zejść z posterunku, schować się do lepiej osłoniętych pomieszczeń (przynajmniej mnie nachodziła taka pokusa), ale ze wstydu przed innymi nikt nie zszedł. Zrzuty były, ale tylko część trafiła do nas, a część wiatr zapędził na pozycje niemieckie.

Pracowałem więc w „Narcyzie", lekarze zwracali się do mnie kurtuazyjnie per „panie kolego", pielęgniarki tytułowały mnie „panem doktorem", ale w gruncie rzeczy najlepiej nadawałem się na łapiducha.

Rannych przybywało, zwłaszcza cywilów obojga płci. Ciężkie przypadki, wymagające poważnej operacji kierowaliśmy na Wspólną. Pierwszy ranny, którego tam z jakimś młodym człowiekiem zaniosłem na czymś w rodzaju noszy, miał postrzał w brzuch i zachodziła konieczność pilnej operacji. Przez szpitalne podwórze wił się długi i kręty wąż ciężko rannych, leżących na czym popadło. Byli to ci, co nie zmieścili się już na korytarzu. Przyłapałem w budynku przechodzącego akurat chirurga, zacząłem mu objaśniać stan naszego rannego, prosząc, żeby go natychmiast brać na stół. „A gdzie on leży?" — zapytał lekarz, a kiedy dowiedział się, że na końcu kolejki, odpowiedział zmęczonym, jakby obojętnym głosem: „Będzie musiał umrzeć". Zacząłem protestować, coś tam wykrzykiwać, a wtedy lekarz się uniósł. „Zrozum pan, do cholery, że operujemy czwartą dobę prawie bez przerwy, a musimy przecież brać po kolei, bo wszystkie zabiegi są jednakowo pilne. Do waszego rannego nie dojdziemy wcześniej niż jutro. Nie przerobimy! Zrozumiano? A teraz odmarsz!".

V.

Noce były rozgorączkowane, niespokojne, podszyte lękiem, czy Niemcy do nas się nie przedrą i z miejsca nie wykończą. Musieliby co prawda sforsować wpierw barykadę w poprzek Kruczej, chroniącą nas od strony Alej. To ludzi uspokajało.

Kiedyś wysłano mnie z zastrzykiem do chorego na zapalenie płuc, mieszkającego przy Nowogrodzkiej, w pobliżu Kruczej. Dotarłem na miejsce piwnicami, wylazłem na puste podwórko i przez uchyloną bramę kamienicy zobaczyłem tę naszą barykadę, wyjątkowo masywną, która miała już poza sobą odparty jeden czy drugi atak. Dwaj chłopcy z posterunku też mnie dostrzegli, ale widząc opaskę z czerwonym krzyżem przestali się mną interesować i powrócili do obserwacji przedpola. W powrotnej drodze od chorego przysiadłem się do obrońców barykady. „Czy was tu tylko dwóch?" — wyrwałem się z niestosownym pytaniem. Jeden z nich, widocznie starszy rangą (zresztą chyba osiemnastolatek) wyjaśnił mi, jakby napawając się moim niepokojem. „Wystarczy chwilowo dwóch. Jeżeli Niemcy spróbują atakować, to zaraz nadbiegną posiłki." Domyśliłem się, że gdzieś względnie blisko trwa w pogotowiu grupa bojowa, która nie mogąc być na wszystkich frontowych pozycjach naraz (mało było uzbrojenia), wspomaga tylko posterunki bezpośrednio zagrożone. Zresztą jestem dziś pewny, że Niemcy rzeczywiście nie zdawali sobie sprawy, jak wiele barykad ma niewystarczającą obsadę.

W parę dni potem, kiedy poszedłem spać do piwnicy obudził mnie tupot nóg i zobaczyłem kilkunastu naszych chłopców zmierzających pośpiesznie w stronę barykady. Nie zwierzyłem się nikomu z obaw, że nim posiłki dotrą na miejsce, tamci dwaj (czy jacyś dwaj inni) mogą przez ten czas zginąć i barykada padnie. Kiedy po kilku godzinach wracali powolnym kro-

Byłem łapiduchem

kiem zagadnąłem znajomego podchorążaka: „No i jak"? „W porządku. Teraz nieprędko znów zaatakują".

VI.

Muszę się znów cofnąć w czasie — do następnego dnia po wybuchu powstania, kiedy na podwórzu kamienicy sąsiadującej z „Narcyzem" obserwowałem, wraz z mieszkańcami pobliskich domów szkolenie ochotników, prowadzone przez młodziutkiego oficerka, jeśli pamiętam — podporucznika, paradującego — o dziwo! — w nowiutkim, jak z igły albo też świetnie zachowanym przedwojennym mundurze i wyglansowanych butach z cholewami. Oficer wpajał swoim podkomendnym bezcenną umiejętność czołgania się, polegającą m.in. na nieunoszeniu tyłka. Jak się komuś tyłek uniósł, podporucznik podbiegał do delikwenta i okładał go po wystającej części jakąś rózgą czy trzcinką, dla oczywistego dobra młodych ludzi. Ale metoda wychowawcza nie znalazła uznania u widzów, zaczęły się rozlegać szmery, pomruki, a potem okrzyki na temat sanacyjnych paniczyków i przedwojennych dygnitarzy, którzy zgubili Polskę, za co do władzy już nigdy nie powrócą, bo „jak nasi z Londynu wrócą, to ich nie dopuszczą".

Zapominamy dziś o tym, że większość Polaków, związanych w czasie okupacji organizacyjnie czy sympatiami z AK wcale nie pragnęła powrotu przedwojennego systemu władzy, a o Piłsudskim czy Rydzu-Śmigłym nie słyszało się ciepłych słów, jako o tych co spowodowali odejście Sikorskiego z wojska. Ogół był zresztą w sprawach politycznych odnoszących się do konspiracyjnego podziemia słabo zorientowany, a moi rówieśnicy wiązali się z tą czy inną organizacją podziemną na zasadzie koleżeńskich czy rodzinnych kontaktów, często przez przypadek, nie zastanawiali się przy tym, co reprezentują sobą inne organizacje. Grunt, że walczą.

Toteż kiedy na drzwiach zajętego po kimś mieszkania przeczytałem wywieszkę Polska Armia Ludowa, nic mi to nie mówiło. Rosły, w średnim wieku mężczyzna o ujmującej powierzchowności przedstawił mi się jako kapitan taki a taki (nazwiska nie pamiętam), poznałem też jego zastępcę czy adiutanta w stopniu porucznika. Nie wiem, ilu zwerbowali ochotników, bo w lokalu nie widywało się nikogo, nie dysponowali zresztą żadnym uzbrojeniem, a ze swoim dowództwem nie zdołali jak się zdaje nawiązać po wybuchu powstania żadnego kontaktu.

Kiedyśmy raz rozmawiali usłyszałem nadchodzące z oddali odgłosy jakichś dziwnych skrzypień czy ryków, a wtedy mój kapitan wraz z towarzyszem wykrzyknęli wielkim głosem „Krowa!", po czym rzucili się do drzwi, w których zastygli czegoś nasłuchując. Patrzyłem jak osłupiały, a kiedy opuścili swoją pseudokryjówkę dowiedziałem się, że pociski upadły daleko od nas. W ten sposób dowiedziałem się o miotaczu pocisków zwanych krową lub szafą, siejącym podobno wielkie spustoszenia. Obaj panowie jednak stracili wiele w moich oczach na powadze (choć i ja później zachowywałem się nieraz podobnie) i może tylko dlatego nie dałem się zwerbować do PAL, mimo iż nazwa od początku bardzo mi się podobała.

VII.

Bodaj drugiego dnia powstania zjawił się u nas radziecki starszy lejtnant w mundurze. Podobno uciekł z jenieckiego transportu i ukrywał się przed powstaniem, a teraz napraszał się, żeby dać mu broń, ale AK go nie przyjęło, pomagał więc nam we wszystkim, przy barykadach, podziemnych przejściach, znoszeniu rannych. Kiedy zapalił się dach pobliskiego domu, poleciał na górę z mokrymi szmatami i jakimś tasakiem, a po chwili padł od kuli snajpera i spalił się na dachu. Nie wiem, czy ktoś odnotował jego nazwisko, czy kiedykolwiek zawiadomiono jego rodzinę.

VIII.

Humor zrodzony w chwilach grozy ma posmak wisielczy i cyniczny. Jak wiadomo, łączników przenoszących kanałami meldunki, przeciskających się przez różne zakamarki i dziury werbowano spośród dzieciarni i niewyrośniętej młodzieży. Kiedyś pojawiła się w naszym rejonie starsza, zgięta we dwoje drobniutka starowinka i ktoś palnął bez namysłu: „Łączniczka!", z czego wszyscy zarykiwali się do rozpuku. Odtąd każda starsza osoba drobnej postury nazywana była ku powszechnej uciesze łącznikiem czy łączniczką. Nudzące się w chwilach wolnych od strachu podwórkowe czy piwniczne towarzystwo prześcigało się w wymyślaniu niestworzonych historii, które łączyły w sobie makabrę i groteskę. Był to niezbędny dla psychicznego odprężenia wentyl bezpieczeństwa. Natrząsano się z faceta, opowiadającego z łkaniem, jak to w piwnicy u Fukiera bomba wbiła w ziemię żelazną beczkę wraz z drzemiącym nad nią mężczyzną, po którym tylko „tyciuteńki kawałek paltocika pozostał". Pytano ciągle opowiadającego, jak duży był ten „kawałek", targowano się na niby o każdy centymetr. Wstyd wspominać, ale tak przecież bywało.

Wędrując ulicami natknąłem się w pobliżu placu Trzech Krzyży na znajomą postać w lekarskim kitlu, w wojskowej furażerce. Był to neurolog z mojego rodzinnego miasta, żydowskiego pochodzenia o względnie „aryjskim" wyglądzie. Pomimo to ukrywał się przez całą okupację nie wychodząc z wynajętego pokoju przy ul. Brackiej, dokąd moja matka zanosiła mu ukradkiem jedzenie. Upajało go powstanie jako wyzwolenie od strachu, chodził do chorych pod najgorszym ostrzałem i kule się go nie imały. Po wojnie pracował w Łodzi pod zmienionym nazwiskiem. Lubił podróżować samolotem i czuł się zawsze bezpieczny. Zginął w katastrofie lotniczej.

IX.

Mijały tygodnie, ludzie ginęli od kul i bomb, pewnie rzadziej od chorób, nie słyszałem, żeby ktoś umarł z głodu. Z pewnością tylko nieliczni mogli mieć większe zapasy żywności, niewiele też chyba mogło jej być w zdobycznych magazynach, ale przez dłuższy czas nie brakowało kaszy, a zwłaszcza cukru, stosunkowo długo była dostępna konina, która po ugotowaniu przybierała sinawe zabarwienie i obsiadały ją roje much, nie dających się odpędzić. Raz znajomy żołnierz, któremu robiłem opatrunek, zaofiarował mi po paru dniach porcję pieczonej koniny, wyjątkowo delikatnej w smaku. Jak mnie ktoś potem zapewniał, miał to być pies, znany mi, wychudzony bernardyn, którego parę dni przedtem widywałem wraz z jego panem. Pan nagle zniknął, może zginął na innej ulicy. Mięso było stanowczo lepsze od końskiego, a może byłem wyjątkowo głodny...

Kiedy już głód zaczął silniej doskwierać, może pod koniec sierpnia, wybuchł nagle pożar na I piętrze oficyny przy Żurawiej 16, w dowództwie odcinka AK. Jak się okazało pożar wybuchł od nie zdmuchniętej świecy, pozostawionej przez pijanego oficera prowiantowego, w dowództwie bowiem mieścił się zakonspirowany przed żołnierzami magazyn żywności dla wąskiego grona. Żołnierze, którzy ugasili pożar o mało co nie odprawili samosądu nad swoimi oficerami. Ostatecznie żarcie zabrali.

X.

Im dłużej trwało powstanie, tym częściej ludzi ogarniało zniecierpliwienie przy wysłuchiwaniu chorału „Z dymem pożarów", nadawanego w audycji polskiej radia BBC. Zresztą zachodni przywódcy tłumaczyli się przed polskimi słuchaczami (i wcale nie kłamali), że powstanie wybuchło bez porozumienia z nimi, że nie są w stanie udzielić powstańcom skutecznej pomocy. Owszem, kilkakrotnie nadlatywały samoloty brytyjskie i kanadyjskie, czasem z polską załogą i po wykonaniu bojowych zadań leciały dalej na wschód, na radzieckie lotniska wojskowe, ale było jasne, że to za mało. Nawet ludzie o poglądach tzw. umiarkowanych zaczęli wyglądać ocalenia ze wschodu.

Pewnego dnia gruchnęła wieść: „Sowieckie czołgi w Alejach!". Wylegli ludziska na ulicę Kruczą, patrzą, rzeczywiście stoi frontem do nich czołg jak malowanie. Nagle, jak nie huknie! Zafurczało nad głowami, pocisk przeleciał dalej, gdzieś do Pięknej i pewnie ludzi tam natłukł, jeśli też do nich dotarła plotka i wylegli na ulicę.

Siedzieliśmy w kilkanaście osób na klatce schodowej wokół przybysza ze spalonego o parę ulic domu. Przedstawiał się jako major (Zieliński?) ze sztabu Sikorskiego do przewrotu majowego. Jakieś powody uniemożliwiły mu przedostanie się w czasie tej wojny na zachód. My „cywile" psioczyliśmy na „Ruskich", że są już tak blisko nas, po zdobyciu prawobrzeżnej Warszawy, a reszty nie wyzwalają. Na to major lakonicznie: „Bo nie mogą". Oburzyliśmy się na taką, jak nam się zdawało, brednię, a major rozpostarł na ścianie kawał papieru i wyrysował nam linię frontu w rejonie Warszawy, zgodnie z komunikatami obu walczących stron i zakonkludował, co następuje.

Bitwa o Warszawę będzie stoczona, a właściwie już się zaczęła, na północny wschód w widłach Bugo—Narwi, a na południe na jakimś lewobrzeżnym przyczółku wiślanym. Jak długo jednak Niemcy utrzymują przewagę na skrzydłach, tak długo Rosjanie nie mogą pchać się tutaj, w sam środek worka. A poza tym on uważa, że Rosjanie ze względów wojskowo-politycznych śpieszą się, ile sił do Niemiec, żeby spotkać się z zachodnimi sojusznikami jak najdalej w głębi Niemiec, a w każdym razie dojść na czas do jakiejś linii spotkania, jeśli taka została już ustalona. Żadne względy lokalne, w rodzaju powstania, wobec którego Zachód zgłosił desinteressement, bo to strefa działań Armii Czerwonej, nie mogłyby powstrzymać radzieckiej ofensywy, która się najwidoczniej na jakiś czas wyczerpała. A zresztą Bór-Komorowski i tak wolałby pójść do niemieckiej niewoli niż skapitulować przed „czerwonymi".

Takiej to lekcji wysłuchaliśmy w milczeniu, a potem każdy przeżuwał ją po swojemu. Zrozumiałem, że powstanie upadnie i że front postoi na Wiśle jeszcze przez czas dłuższy.

* * *

Rankiem 2 października 1944 r., dokładnie po 9 tygodniach udręki i grozy, o których każdy mógłby spisać tomy, dowiedzieliśmy się o podpisaniu kapitulacji. Według umowy szpitale wojskowe, wraz oczywiście z personelem i rannymi, miały pójść do niewoli, do Rzeszy, a szpitale cywilne, czyli PCK miały jeszcze pozostać, a potem być ewakuowane w obrębie Generalnego Gubernatorstwa. Nie wiem, czy na skutek decyzji kierownictwa naszego szpitala ze Wspólnej 27 (lub 29), czy też na poufne polecenie odgórne zostaliśmy przemianowani na szpital PCK. Ten akt przeprowadzono sprawnie i w całkowitej dyskrecji, mimo iż orientowali się w sprawie wszyscy, w liczbie kilkuset osób.

Po wyjściu wojska do niewoli, ludność która przyjęła kapitulację na ogół apatycznie, opuszczała Warszawę do 7 października, niepewna zresztą dalszych swoich losów. Nam przypadło jeszcze pozostać nie wiadomo, jak długo. Z powodu pożaru musieliśmy dwukrotnie przenosić ciężej chorych i rannych oraz sprzęt z miejsca na miejsce. Te pożary zresztą, to świadome podpalenia przez specjalne ekipy niemieckie. Plądrowaliśmy piwnice w poszukiwaniu jakiejś żywności czy leków, a w nocy dobijali się do nas pijani żołnierze różnych formacji. Pozostawaliśmy w opustoszałej i płonącej nadal Warszawie do 21 października, po czym zwieziono nas na rampę dworca, tzw. głównego, na wysokości placu Zawiszy i załadowano na towarowe wagony, przystosowane do przewozu rannych. Okazało się, że było nas razem w różnych punktach śródmieścia ok. dwu tysięcy osób. Rankiem 23 października dotarliśmy do Krakowa, gdzie rozlokowano nas w kilku budynkach przy ul. Kopernika pod nazwą Ewakuacyjnych Szpitali Warszawskich i tak dotrwaliśmy do wyzwolenia. Ale to już osobna historia.

JERZY KWIECIŃSKI

Autostopem do Głuchołaz

WITOLD LEWANDOWSKI

W najmniej oczekiwanych okolicznościach stałem się autostopowiczem. Ale skoro jeżdżą autostopem emeryci i dzieci, więc dlaczegóż i ja nie miałbym spróbować tej formy podróży. Póki co spakowałem swoje rzeczy. Opróżniłem lodówkę z wszystkich konserw (niewiele ich, to fakt) Nastawiłem budzik na piątą i położyłem się spać. Ostatnia noc przed wyjazdem w wygodnym łóżku.

Punktualnie o szóstej spotkaliśmy się na placu Niepodległości. Wszyscy obujczeni sprzętem, jakbyśmy co najmniej wyruszali na podbój któregoś z biegunów. Nadjechał tramwaj. Załadowaliśmy swoje graty i o siódmej byliśmy już na szosie za Pabianicami.

Usiedliśmy w rowie, na plecakach i zaczęliśmy „łapać" przejeżdżające samochody. Minęła godzina, dwie, trzy, cztery, a my jak siedzieliśmy tak siedzimy.

— *Szkoda, że nie ma z nami jakiejś zgrabnej blondynki* — marzył głośno Paweł. — *Wtedy szybciej byśmy się stąd ruszyli.*

Czas mijał nieubłaganie, a my dalej siedzieliśmy w rowie za Pabianicami.

— *Panowie, mam pomysł!* — przerwałem dłuższe milczenie. — *Schowajmy książeczkę, a wyciągnijmy tauzena, wtedy będą stawać jeden za drugim.*

Po godzinie zatrzymał się w końcu Żuk. Wprawdzie jechał tylko do Zduńskiej Woli, ale dobre i to.

W Zduńskiej Woli bezskutecznie poszukiwaliśmy choćby butelki oranżady. W końcu ugasiliśmy pragnienie wodą niezdatną do picia z ulicznego hydrantu. Napojeni, ruszyliśmy na rogatki miasta łapać dalej. Nie traciliśmy jeszcze nadziei, że dojedziemy w tym dniu, jeżeli nie do samych Głuchołaz, to chociaż gdzieś w pobliże. Ale wkrótce pozbyliśmy się wszelkich złudzeń.

— *No to co. Trzeba się rozejrzeć za jakimś noclegiem* — powiedziałem.

Wieczór był ładny i zapowiadał piękną pogodę na jutro. Chociaż ona nam dopisywała. Nie opodal naszego „koczowania" znajdował się maleńki zagajnik, a przed nim polanka. Tam właśnie postanowiliśmy spędzić noc. Już ruszaliśmy w drogę, gdy nagle podeszła do nas starsza kobieta i wręczyła nam dużą torebkę świeżych, pachnących truskawek.

Namiot postawiliśmy szybko i sprawnie. Na kolację zjedliśmy śledzika w pomidorach, popiliśmy zimną wodą i na deser wpałaszowaliśmy truskawki. Był to niewątpliwie mocny sprawdzian naszych żołądków.

— *Dobranoc panowie. Jutro będziemy już spali w Głuchołazach* — prognozował Jurek.

Nazajutrz mogliśmy się przekonać, że jego prognozy były tak samo trafne, jak prognozy w DTV. Przez cały dzień udało nam się dojechać zaledwie do Sieradza. Tym razem nie byliśmy w najlepszych nastrojach, choć Paweł próbował żartować.

— *Jak tak dalej pójdzie, to gdzieś za dwa tygodnie będziemy u celu. A już za miesiąc z powrotem w domu.*

— *Co proponujesz?*

— *Proponuję iść na dworzec i wsiąść do pociągu byle jakiego, byle w kierunku Głuchołaz*

Spieczeni na cudownego, czerwonego raczka, z tobołami na plecach, z książeczką autostopu w kieszeni, a z biletami do Wrocławia w rękach, wsiedliśmy do pociągu.

We Wrocławiu tramwajem udaliśmy się na słynną autostradę, gdzie przed laty nasi wspaniali kierowcy na swych cudownych maszynach Fiatach 125p bili rekordy świata. My mieliśmy skromniejsze zamiary. Chcieliśmy tylko jeszcze tego samego dnia być na miejscu.

— *Ruch jak w Boże Ciało w Łowiczu* — zauważył Paweł.

Rozsiedliśmy się wygodnie na plecakach i przystąpiliśmy do roboty. Niestety znów nam nie szło. Postanowiliśmy więc zmienić taktykę. Jeden łapał przez pół godziny, a dwóch siedziało w krzakach. Potem zmiana itd. Wkrótce taktyka święciła pełny triumf. Paweł „złapał" Trabanta, a my szybko wyskoczyliśmy z ukrycia. Facet trochę zdezorientowany chciał nawiać, ale Paweł trzymał już mocno otwarte drzwi.

Dojechaliśmy aż do Nysy, a nasz zbawiciel-kierowca wbrew pozorom okazał się niezwykle sympatycznym człowiekiem. Z Nysy już bez problemów dotarliśmy do Głuchołaz. Czereśniową drogą nazwaliśmy dwudziestotrzykilometrowy odcinek łączący Nysę z Głuchołazami. Tyle czereśni rosnących przy drodze jeszcze nie widzieliśmy. I nikt ich nie zrywał.

W Głuchołazach zameldowaliśmy się niemal w samo południe. Nie mieliśmy trudności ze znalezieniem naszych koleżanek, które były zaskoczone, ale i zadowolone z naszej wizyty. O wiele więcej kłopotów mieliśmy ze znalezieniem miejsca na rozbicie namiotu. W końcu zgodził się nas usadowić w swoim sadzie, pewien miejscowy, wysoko postawiony urzędnik. Postawił tylko jeden warunek.

— *Panowie nie zjedzcie mi wszystkich czereśni, porzeczek i agrestu!*

— Przystaliśmy na to chętnie.

Same Głuchołazy okazały się starym, zabytkowym miasteczkiem (15 tys. mieszk.), założonym już w 1222 roku u podnóża Gór Opawskich. W średniowieczu zjeżdżali tutaj liczni poszukiwacze złota, które występowało w korycie Białej Głuchołaskiej. Ponoć i dzisiaj można znaleźć jeszcze ziarenka cennego kruszcu, dochodzące do 0,7 mm średnicy. Nam niestety nie udało się wyłowić choćby najmniejszego ziarenka ani nawet złotej rybki.

Głuchołazy, to jakby dwa miasta. Jedna połowa brzydka i szara. Druga za to piękna. Zdrój, pełna zieleni, wód i uzdrowisk. Spotykaliśmy się najczęściej na rynku pod sędziwą lipą, zasadzoną w 1648 roku, dla upamiętnienia zakończenia wojny trzydziestoletniej.

Ponieważ pogoda dopisywała, chodziliśmy często na basen. W zasadzie był to zespół basenów z podgrzewaną wodą, położonych na północno-wschodnim stoku Przedniej Kopy (490 m n.p.m.), najmniejszej kulminacji Góry Parkowej. Wykładany białymi kafelkami basen, otoczony zielenią lasów jest na pewno jednym z najpiękniejszych, a kto wie czy nie najpiękniejszym kąpieliskiem tego typu w Polsce.

Pobyt w Głuchołazach minął nam szybko, ale i przyjemnie. Wyjeżdżaliśmy stąd z uśmiechem na twarzach i nie dziwiliśmy się już, dlaczego właśnie tutaj powstał „Order Uśmiechu", zaprojektowany przez 9-letnią wówczas głuchołaziankę (ładny wyraz, prawda?) Ewę Chrobak. Nauczeni jednak smutnym doświadczeniem nie wyszliśmy tym razem na „szos" machać książeczką, mimo że zmieniliśmy trasę naszego powrotu do Łodzi. Wsiedliśmy na dobry początek do autobusu PKS i dojechaliśmy do miejscowości Koźle. Stamtąd udało nam się już autostopem czyli wojskowym Starem dotrzeć do Opola. Tu zamierzaliśmy spędzić nocleg. Obiecieliśmy wszystkie hotele, motele, zajazdy i schroniska, ale niestety wolnych miejsc nigdzie nie było.

— *Nie ma, to nie ma. Idziemy spać na dworzec!* — zawyrokował Jurek.

W obskurnej poczekalni dworcowej miło spędziliśmy noc, słuchając ryczącej i zacinającej się szafy grającej z „najnowszymi" nagraniami. Rano „rzeźcy i wypoczęci" udaliśmy się pełni nadziei za miasto. Usiedliśmy na brzegu małego lasku i machaliśmy na zmianę. Machaliśmy, machaliśmy... i nic. Nie szło wybitnie.

Przez cały dzień zatrzymał się przy nas tylko milicjant, choć go wcale nie zatrzymywaliśmy. Akurat „łapał" Paweł, na którego wystawiona była książeczka, a my z Jurkiem dyskretnie schowaliśmy się do lasu, zostawiając swoje rzeczy obok Pawła. Czujne oko władzy zauważyło nas jednak.

— *A tamci dwaj, to co za jedni?* — spytał.

— *Nie znam ich. Pierwszy raz ich widzę.*

— *Sami podróżujecie.*

— *Tak, sam jak ten palec.*

— *Jak na jedną osobę, to dużo rzeczy wieziecie ze sobą.*

— *A... dużo, bo długo będę jeździł* — zająknął się nieco Paweł.

— *No dobra. Pożartowaliśmy, ale jutro rano nie chcę was tu widzieć. Przyjadę i sprawdzę* — krzyknął odjeżdżając.

Nadciągała burza. Pociemniało. Z ledwością zdążyliśmy rozbić namiot, zanim spadł ulewny deszcz. Błyskawice oświetlały nam wnętrze namiotu, tak że nie musieliśmy zapalać latarki. Pioruny waliły niedaleko nas.

Rano zwinęliśmy doszczętnie mokry namiot i już o piątej byliśmy przy szosie. Tym razem szczęście nam dopisało. Zatrzymał się Żuk, jadący do Częstochowy.

— *Pasuje?* — spytał kierowca.

— *Jasne!*

— *Tylko uważajcie chłopaki na zakrętach, żeby was rury nie przygniotły.* — Faktycznie rury przy każdej nierówności „równego" asfaltu toczyły się po całej skrzyni. Trenowaliśmy więc całą drogę szkołę uników przed atakującymi nas wściekle rurami. Istna corrida! A swoją drogą, jacy dziwni ludzie z tych kierowców. Ci, co mieli puste samochody nawet nie zwolnili, gdy ich zatrzymywaliśmy. Ten z kolei, który jechał z ładunkiem i to niezabezpieczonym, choć mu nie wolno było, zabrał nas. W Częstochowie Paweł chciał wręczyć miłemu kierowcy odpowiednią ilość kuponów z książeczki. Jednak bez powodzenia.

— *Panie, weź pan to w cholerę!* — odparł. — *Mnie to niepotrzebne. Możesz se pan tym tyłek wytrzeć* — zatrzasnął drzwiczki i odjechał w siną dal.

Wcześniej też żaden z kierowców nie chciał naszych autostopowych kuponów.

Fortuna sprzyjała nam tego dnia wyjątkowo, wynagradzając niejako wcześniejsze niepowodzenia. Trafił nam się kurs do Piotrkowa. Znowu Żukiem, ale za to z pierwszym, prawdziwie autostopowym kierowcą. Zabierał po drodze wszystkich, póki starczyło mu miejsca, a i kuponami nie gardził. Było więc ciasno, wesoło i śpiewająco.

Ostatni etap naszej wyprawy Piotrków—Łódź, postanowiliśmy przebyć pociągiem, ze względu na późną porę. Marzyliśmy tylko o jednym: o ciepłym łóżeczku we własnym domu. Na dworcu pożegnaliśmy się serdecznie. Autostopu mieliśmy dość. Przynajmniej na jakiś czas.

A gdybyśmy jeszcze kiedykolwiek zdecydowali się na tę formę podróżowania, to po pierwsze: wzięlibyśmy ze sobą przynajmniej jedną, zgrabną blondynkę do łapania" samochodów. Po drugie: zabralibyśmy ze sobą więcej gotówki i wałówki. Po trzecie: nigdy więcej nie jechalibyśmy tą trasą, lecz gdzieś nad morze, w góry lub na Mazury.

Ale czy to się uda?

EDWARD BRYL

Jak to bywa na urlopie

— Dzień dobry panie docencie — czyjś najwyraźniej ucieszony głos wyrwał Janickiego z drzemki. Przekręcił się na wznak i usiadł. Mrużąc oczy krótkowidza od słońca i wysiłku spojrzał na nadchodzącego intruza. Doktor Malewski uśmiechał się z zadowoleniem. Janicki odwzajemnił radość, bynajmniej nie z powodu nieoczekiwanego spotkania, ale widok zawsze nobliwego, dostojnego kolegi w maleńkich czerwonych slipkach, dyndającego nad nimi ogromnego brzuszyska, łysiny, z której zjeżdżał płócienny kapelusik z nadrukiem „levis" wprawił go w wyśmienity humor.

— Poznałem pański wóz, więc pozwoliłem sobie — mitygował się tamten nieszczerze, uważnie rozglądając się dookoła.

Janicki podnosił się powoli prezentując swoje wspaniale umięśnione ciało, okryte teraz świeżą opalenizną. Wyciągnął rękę w powitalnym geście. Patrzył z odrazą na zaczerwienione ramiona Malewskiego obłażące płatami skóry.

— Pan sam? — w głosie doktora zabrzmiał wyraźny zawód.

— Na razie — odparł z lekką ironią. Jak to dobrze — myślał, że Małgośka musiała odwalić tę rodzinną wizytę. Przynajmniej nie dostarczy powodu do plotek. Obrzydliwa, złośliwa gaduła. Pantoflarz, świętoszek! Z takim wyglądem to trudno mu się dziwić. Swoją drogą zazdrościł trochę Malewskiemu spokojnego, rodzinnego życia. On sam tak nie potrafił. Wszystko traktował lekko.

— Jak się czuje szanowna małżonka — zapytał kurtuazyjnie, gdyż wiedział, że Malewska ostatnio chorowała poważnie. Doktor obnosił się po zakładzie ze swoim zmartwieniem jak ze strusim jajem.

— Dziękuję! Coraz lepiej. Obecnie przebywa w sanatorium. Kolega przejazdem? Długo tu zabawi?

— Wpadłem do znajomych, dziś jadę. Chciałem się trochę opalić, wypocząć przed kurortowymi szaleństwami.

— Zrozumiałe!

Janickiemu wydawało się, że Malewski coś kombinuje. Tylko co? Ciekawe czy i tym razem uda mu się też wymyślić jakąś pikantną dykteryjkę. Teoretycznie był czysty. Tymczasem siedzieli na kocu gawędząc o sprawach zawodowych.

Leśniczówka S. nad jeziorem Nidzkim wcale nie była miejscem odosobnionym. Dookoła kręciło się mnóstwo turystów. Stały samochody, namioty, kajaki, pontony, nawet niewielka żaglówka. Wszyscy zaopatrywali się w żywność w pobliskich Mikołajkach. Na miejscu leśniczyna gotowała wspaniale, domowe obiady, co prawda stołówka mieściła się w stodole, prymitywna nad wyraz — ale czysta. Zapach siana, długie drewniane stoły, ławy nie przykryte niczym, świeżo szorowane do każdego obiadu. Na raz mieściło się około trzydziestu osób. Liczyło się głównie to, co podawano na talerzach. Drób, króliki — przyprawiane w najrozmaitszy sposób, zawiesiste zupy, całe bukiety warzyw, wspaniałe desery. Najeść się można było do syta. Lecz portfele opróżniały się w zawrotnym tempie. Janicki znał to miejsce od lat, kiedy panowała tu jeszcze względna cisza i spokój, a w leśniczówce jadało, co najwyżej dziesięć osób i to nie każdego dnia. Korzystając ze starej zażyłości z gospodarzami zatrzymał się u nich na parę dni, póki nie zjawi się Małgośka. Teraz siedział przy stole i obserwował towarzystwo.

Prostacy, skonstatował. Jednej inteligentniejszej gęby na horyzoncie. Sami badylarze, drobna inicjatywa. Dzisiaj tylko oni mają pieniądze, westchnął myśląc o wyjątkowo nikłej zawartości własnej kieszeni.

Na klepisku ganiały się wrzeszcząc opalone dzieciaki. Sąsiad z przeciwka coś szeptał na ucho długowłosej dziewczynie. Właśnie Janicki miał zamiar obejrzeć dokładniej jej niewątpliwe wdzięki, jako że prawie przeźroczysta bluzka z dużym dekoltem była okryciem raczej symbolicznym, kiedy we wrotach stodoły ukazał się Malewski. Tym razem ubrany w białe spodnie i luźną, opadającą koszulę. Na ręku niósł, trzyletniego może, kędzierzawego blondaska. Za nim dreptała z koszyczkiem drobniutka, młoda dziewczyna.

A tuś mi bratku, Janicki wietrzył skandalik. Pochylił się nisko i zasłonił gazetą. Tamci usiedli. Mały puszczony swobodnie skoczył ochoczo ku baraszkującej dzieciarni. Jego radość nie trwała jednak długo. Potknął się o jakąś nierówność i runął na ziemię wrzeszcząc przeraźliwie, tato, tato. Malewski z niebywałą przy jego tuszy zręcznością skoczył ku niemu i zatroskany oglądał rozbite kolano. Janicki uznał, że nadszedł czas rozrachunku, powetuje sobie teraz z nawiązką wszystkie docinki na temat niemoralnego prowadzenia się. Ochoczo ruszył naprzód.

— Może moja pomoc na coś się przyda?

Malewski spurpurowiał.

— Ja chcę do taty — awanturował się chłopczyk wtulając się całym ciałem w ramiona doktora.

Za plecami Janickiego stanęła owa drobna dziewczyna. Malewskiemu nabrzmiały żyły na szyi, kark pokrył się czerwonymi plamami. Opuściła go zwykła pewność siebie. Stał jak sztubak złapany na gorącym uczynku.

Nosił wilk razy kilka — zaczął Janicki.

— Pozwól Kazik, to jest kolega z pracy, docent habilitowany, pan Arkadiusz Janicki — przedstawił go zupełnie niepotrzebnie Malewski. Ratował się tą paplaniną, zacinał się ze zdenerwowania. — A to — zawahał się przez chwilę szukając odpowiedniego słowa — matka mojego syna, Katarzyna Mojewska, jak pan się orientuje, studentka trzeciego roku z mojego wydziału.

— Bardzo mi miło — skłonił się Janicki. — Ten obiad zjemy razem — zaproponował. Widział, że nieposzlakowanemu doktorowi ziemia usuwa się spod nóg.

Malewski powoli ociągając się szedł za nim. Janicki odwrócił się nagle i spojrzał mu głęboko w oczy.

— No to wreszcie jesteśmy kwita. Tyle, że ja nie myślę opowiadać dowcipów o pańskiej rodzinnej sielance — zasyczał prosto w ucho. Podał ramię Katarzynie, choć zupełnie nie była w jego guście.

Od dwóch dni Janicki z Małgosią siedzieli w małej nadmorskiej mieścinie, która w okresie lata zamieniała się w kurort. Ruszały wszystkie knajpy, rożny, zapełniały się prywatne kwatery, domy wczasowe. Pierwsza jaskółką nadchodzącego sezonu był karkołomny wzrost cen. Wynajęli domek u pani Zofii, tuż przy wydmach, na więcej nie było ich stać.

Nudzili się setnie, ponieważ lało jak z cebra. Przestawało padać jedynie wieczorami, wtedy wychodzili nad morze podziwiać zachody słońca. Później szli na tańce do knajpy. Dnie spędzali w łóżku nadzy, odarci ze słońca radości. I nawet seks już ich nie bawił. Nie byli parą zakochanych, każde miało swoje własne życie. Małgośka liczyła jedynie na pomyślną obronę pracy magisterskiej. Teraz zaczynali tęsknić do towarzystwa. Ona już by się zgodziła nawet na tę parę co poznali na tańcach, ale Arek wybrzydzał — nie ta sfera, nie będzie się zniżał.

Wsłuchiwali się zatem w odgłosy libacji wesołków kwaterujących również u pani Zofii. Górę i dół bocznego budynku zajmowały „wczasy rodzinne". Goście cały czas pili i nawet nie wiadomo, czy trzeźwieli na czas posiłków. W dwóch domkach campingowych w podwórzu królował seks, po dwie, trzy pary zamykały się naraz. Arek dałby dużo, żeby towarzystwo podejrzeć, Gośka też, ale zasłaniali szczelnie okna, musieli się więc zadowolić tylko tym, co słyszeli.

Od środy wreszcie przestało padać, wyszło słońce. Kto żyw popędził na plażę. Tłok panował okrutny, leżeli prawie jeden na drugim. Wiatr wznosił zapach ludzkiego potu i wszelakiej maści olejków, kremów do opalania. Wszystko zaczęło się od gry w piłkę ze studentami z pól namiotowych. Wieczorem zamiast na tańce poszli do nich. Arek wziął ze sobą wkupne — dwie półlitrówki.

Namioty stały ciasno jeden przy drugim, kołem, wejściami zwróconymi na plac, który tworzyły. Od zmroku brzęczały gitary, słychać było śpiew. Przysiedli się, dostawili swoje butelki do pokaźnej baterii, która stała na środku i włączyli się do zabawy. Kiedy w ruch poszły musztardówki, słoiczki, pieśni stawały się coraz głośniejsze. Pogaszono latarki. Wszyscy już byli zdrowo podchmieleni. Arkowi i Gosi też nic nie brakowało, gdyż gatunki alkoholi, od różnych wódek począwszy, a skończywszy na winie i piwie, zrobiły swoje.

Przy dyskretnym akompaniamencie gitary odbywał się striptiz. Długonoga dziewczyna zdejmowała skąpe szatki. Dookoła niej tańczył chłopak, boso, z gołym torsem, w postrzępionych spodniach. Rozbierała się powoli, jej potężny biust kołysał się w takt melodii. Księżyc oświetlał nagie połyskujące ciała. Kiedy już była zupełnie odsłonięta, bez niczego, chłopak spuścił spodnie, nie miał na sobie majteczek. Wziął ją gwałtownie, na oczach wszystkich. Na to hasło zaczęły kojarzyć się pary. Na splecioną już w najlepsze pierwszą dwójkę posypały się spodnie, spódnice, bluzki. Nagusy śmigały do namiotów, najodważniejsi pozostali na zewnątrz. Janicki dopadł przy wejściu rozłożystą dziewczynę. Małgosia w głębi namiotu zmieniła dwóch partnerów. Kiedy nadjechała zaalarmowana przez gapiów milicja, zabawa dawno ucichła. Wszyscy byli już w namiotach Na placu pozostała jedynie sterta odzieży. Janicki leżał teraz z Małgosią. Nie chciało się im wracać do domu. Zasnęli razem z innymi. Cuchnęło alkoholem, potem, wymiocinami. Brzęknęła gdzieś potrącona nieuważną ręką gitara, potoczyła się butelka.

Jednak największa przygoda spotkała docenta Janickiego pod koniec urlopu. Małgośka dawno już wróciła do swoich spraw, został sam. Znudzony popijał kawę w ekstrawanckim lokalu w rodzinnym mieście, gdy uwagę jego zwróciła atrakcyjna blondynka gawędząca z koleżanką przy barze. Spróbuję szczęścia, zadecydował I miał je. Zdumiony poznał własną żonę. Nic dziwnego, był krótkowidzem. Widocznie tego lata wzrok popsuł mu się jeszcze bardziej. Okulary przecież zakładał tylko do pracy. Twierdził, że go postarzają

Wakacyjny fotoplastykon

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Udało się! Tak można by najkrócej określić wielomiesięczne przymiarki, „podchody" i przygotowania do wymarzonej wakacyjnej wyprawy nad Morze Czarne. Los był tym razem łaskawy. Najpierw udany „skok" na bank (finanse!...), później tych parę niewinnych kolejek (skierowania, paszporty, vouchery benzynowe, dokumenty samochodowe etc...). Są to sprawy tak proste i łatwe, że możemy sobie darować ich opisywanie. Pozostało tylko dotrzeć do Złotych Piasków i szczęśliwie wrócić. No i ewentualnie nieco na miejscu odsapnąć. Też się udało!

Bywalcy czarnomorskich szlaków doświadczeń mają zapewne więcej od niżej podpisanego, ale tym z Czytelników, którzy wybierają się w najbliższych tygodniach na podobne eskapady — być może przyda się garść spostrzeżeń, ostrzeżeń, sugestii. A czasem choćby godnych pamięci „obrazków"...

TRASA, CAMPINGI

Każdy zmotoryzowany ma własne „patenty" w tej mierze, zwłaszcza, jeśli nie pokonuje tej długiej (w granicach 1800—2000 kilometrów) trasy po raz pierwszy. Ale — ostrzegano mnie, podaję „pałeczkę" dalej — przejazd przez Rumunię może być nieco kłopotliwy. Zastrzegam się, że opisywane przypadki spotkały tylko mnie, co nie musi być regułą. Obowiązkowe wykupienie 40 litrów paliwa za dolary lub — nieco taniej — po 200 złotych z „groszami" (w przypadku imprezy z biurem turystycznym) sprawy jeszcze nie wyjaśnia. Zamknięte stacje i oczekujące na dostawę sznury samochodów — to częste widoki. Za wręczane nam w hotelach bony zwykle, po dłuższej dyskusji, paliwo się dostanie, ale przeważnie nie „premium" tylko niecałe 90 oktanów, niechętnie też wydawana jest reszta. Chyba, że mamy paczkę papierosów, ale o tym jeszcze za chwilę.

Drogi, zwłaszcza pierwszej kategorii, są niezłej jakości, w boczne, choćby były na mapie, nie radzę się zapuszczać. Osobiście, dwa razy skończyła mi się trasa w łanie pszenicy czy kukurydzy. To co w jakiejś informacji (bodajże w „Życiu Warszawy" z ostatnich dni czerwca) określone zostało delikatnie wielce jako „lokalna specyfika ruchu drogowego" nie oddaje, niestety, gamy niespodzianek, na które trzeba być przygotowanym. Nie oświetlone pojazdy, niesygnalizowanie skrętu czy wyprzedzania, zajeżdżanie drogi — to typowe przykłady. Odradzam jazdę po zapadnięciu zmierzchu, a w dzień — najlepiej na światłach, z wyobraźnią, i ręką na sygnale...

I sympatyczne dzieciaki, wymachujące ku nam w każdej mieścinie. Czasem, nie wiedzieć czemu, w małej garści znajdzie się... kamień. W moim przypadku dwukrotnie szyba okazała się jednak mocniejsza, pozostały tylko skazy na szkle...

Idąc za radą bardziej doświadczonych turystów „przeskoczyłem" przez Rumunię za jednym zamachem, choć jest to średnio minimum 600 kilometrów (jadąc przez Czechosłowację i Węgry).

Polecam jeszcze po stronie węgierskiej doskonały camping w Segedzie (pole namiotowe, bary, restauracja, motel i bungalowy). Te ostatnie po 300 forintów, ale z natryskami, wc, umywalką w pokoiku; czystym, przyjemnym, ze świeżą pościelą, a to są atuty w trasie. Od przejścia w Nagylaku — przez Arad, Timisoarę, Drobetę — Turnu Severin (słynne „Złote Wrota"), Craiovą, Aleksandrię — do przejścia w Giurgiu. Ten ostatni odcinek, jeśli już bawimy się w turystyczny bedeker, bardzo trudny dziurawy, w miejscowości Smirdioasa droga wiedzie nieco inaczej niż by to wskazywała mapa, ale to już taka „lokalna specyfika". Po przekroczeniu granicy bułgarskiej możemy przenocować na *którymś* z kilku campingów w bezpośrednim sąsiedztwie Ruse.

O AKUMULATORZE I PAPIEROSACH

Przejście graniczne w Nagylak, węgiersko-rumuńskie. Po błyskawicznych odprawach w Cieszynie i Komarno tu zapowiada się dłuższy postój. Rumuni „prują" jakieś dwa jugosłowiańskie samochody do gołej blachy. Jeszcze kwadrans i zmierza ku nam zapracowany celnik, z którym wywiązuje się poniższy dialog w znanym nam dobrze polsko-niemiecko-rosyjsko-migowym narzeczu.

— Polen?
— *Tak, Polacy...*
— Mamaia, Bukuresztі?
— Nie, tranzyt, Bułgaria...
— Dobre, dobre; ile masz baterii?!
— *Jakich baterii?*
— No gdzie, pane baterie, akumulatory, bystra, bystra...

Tłumaczę, że mam tylko jeden. Macha lekceważąco ręką, każe podnieść maskę. Sprawdza, ostukuje całą komorę silnika. I wciąż swoje:

— Gdzie drugoj? Nu, dawaj bagaż!...

Wystawiam walizki, które go wcale nie interesują, niemal cały zagłębia się w „kufrze", gdzie znów grzmi pięścią w blachy. Przekomarzamy się parę minut. Wreszcie sprawa się wyjaśnia. Tłumaczy już z uśmiechem, że drugi akumulator to dobra rzecz, niedawno zatrzymali takiego Polaka, parę razy ich nabrał, ale go wreszcie rozgryźli. „Oplem" jeździł i miał dwie potężne baterie. W jednej znaleźli po dokładnych poszukiwaniach... 16 starannie zrolowanych skór lisich. Dlatego sprawdzają, czy „patent" za bardzo się nie rozpowszechnił...

— Nawet jeśli nie palisz, weź karton papierosów — radzili wszyscy w kraju. — Zagraniczne bez problemów sprzedasz, a i nasze życie ułatwią. Posłuchałem. Mieli rację.

Do Craiovej było z 5—6 kilometrów. Szeroko, równy asfalt, nikogo z tyłu i z przodu, „idę" dobrze powyżej setki. Milicjant z długim „lizakiem" wyskoczył z niewielkiej budki tak niespodziewanie, że z trudem wyhamowałem. Sroga mina, w garści krótkofalówka. Zabrał paszport, prowadzi do swej budki. No, nie będzie wesoło. Tłumaczy, że wlepi mandat, bo przekroczyłem szybkość; tam wcześniej, w lesie mają radar i mnie namierzyli. To teren zabudowany (?), wolno sześćdziesiąt, a ty — grozi mi palcem — jechałeś siedemdziesiąt dziewięć!!! Radary mają niezłe, to może jeszcze nie całkiem przepadłem. Więc rozkładam ręce „ciężko" zdziwiony. Zagadał coś do mikrofonu i rzeczywiście, słyszę potwierdzenie, że jechałem prawie osiemdziesiąt! I pisze mandat za 250 lei, jak nic pisze. Sięgam do kieszeni i tłumaczę teraz ja, że tę paczkę „Caro" to mam specjalnie dla niego, taki souvenir drobny. Zaprzyjaźniliśmy się serdecznie, odprowadził mnie do wozu i wśród wzajemnych poklepywań życzył szerokiej drogi.

A jeśli już o papierosach mowa, to tego samego dnia, na przydrożnym parkingu, byłem świadkiem małej kłótni dwóch rodaków, z których jeden, w tajemnicy przed kompanem, sprzedał w pobliskim mieście dwa kartony „Kentów". Dobrze sprzedał, kupujący nawet specjalnie o cenie nie dyskutował. No i został Polonus pięknie „wpuszczony w maliny"; w rozliczeniu dostał dwa banknoty a 500 lei, wiele lat temu wycofane z obiegu...

SŁOŃCE, WODA !...

...i wino, czyli prawie esencja Bułgarii, choć wino jeszcze z ubiegłorocznych zbiorów, bo to dopiero czerwiec. Natomiast słońce praży, że trudno już wytrzymać, chyba że masz azbestową skórę. Ale piwo, w kilku gatunkach, własne i importowane, nawet w poślednim barze zawsze podają zimne (zamrażarki im się nie psują czy co?), licencyjnego „szwepsa" — takoż, ba, wodę sodową w oszronionej szklanicy ci wciskają.

Leżysz na plaży, paluchami leniwie w piasku przebierasz, piwko sączysz — żyć nie umierać. Ale gdzieś tam w środku szlag cię trafia. No bo tak: małe niby te Złote Piaski, a kilkadziesiąt hoteli strat raczej nie przynosi. Nie mówiąc już o restauracjach, barach, dyskotekach i wszelkiej maści kafejkach. Na plaży też bar, a jakże! Trzy, cztery proste dania, różne napoje chłodzące, lody, jest i wódeczka dla panów i likier miętowy dla pań. A masz i importowane papierosy, po trzy lewa za paczkę. Niby drogo, ale nikt cię nie zmusza przecież. Na tejże plaży możesz rowerem wodnym popływać, na nartach wodnych również, są natryski (czynne!) i — za przeproszeniem — ubikacja. Czysta, z papierem toaletowym. W głowie się nie mieści.

I tak leżysz i porównujesz. Jakąś naszą Ustkę, Mielno, Świnoujście czy Pobierowo. Te setki kilometrów wybrzeża, pięknych plaż — dziś brudnych, zaśmieconych. Ścieki wpływające do Bałtyku, te wszystkie „kurorty", których władze modlą się co roku, by nie było pogody, bo turysta, zwłaszcza nie zorganizowany, to stonka, zaraza, milion różnych kłopotów. Zamykasz oczy i widzisz śmierdzące jadłodajnie (sorry — punkty zbiorowego żywienia...), wbite coraz częściej w plaże tablice „zakaz kąpieli", kioski z jedzonkiem, gdzie kaszanka czy frytki są w cenie homara, a z napojów chłodzących otrzymasz wyłącznie podgrzewaną „cytrynadę". O publicznej toalecie wolisz nie myśleć — jest to wszak na wybrzeżu naszym, w tzw. sezonie, miejsce-koszmar...

A tu patrzysz z pewną zazdrością, jak Bułgarzy umieją z ciebie wycisnąć te swoje lewa. Plaża płatna, proszę bardzo, a może masz ochotę na chałwę, albo ananasy w puszkach? Wystarczy sięgnąć do kieszeni. Nawet jak wjeżdżasz do miasta, to musisz uiścić opłatę, taką „taksę klimatyczną". Wybór masz co się zowie: wycieczkę statkiem, a może wodolotem? Gorący, siarkowy basen w pobliskiej Drużbie też na ciebie czeka. Tylko wysupłaj parę groszy...

W pięknej Warnie na głównych deptakach i przed większymi sklepami, to się człowiek czuje niemal jak na Piotrkowskiej — zewsząd dobiega język ojczysty. Co prawda w wersji zubożonej — niemal wyłącznie rozmowy dotyczą zaopatrzenia, gdzie co przywieźli, po ile te tenisówki, jak „chodzą" funty i marki fińskie. Niesympatyczne to, powiem szczerze i często przechodząc obok takiej handlowej ekipy woli człowiek zamilknąć. Miejscowi „zawodnicy" też się rozwydrzyli. Zastąpił mi drogę któregoś dnia bułgarski osiłek, po uprzednim skontrolowaniu skąd samochód. Oparł się oburącz o maskę i z miną pewniaka wali:

— No, czego ty potrzebujesz, Polak? Ja ci załatwić, mów czego potrzebujesz?...

— Od ciebie niczego, synku... — warknąłem wściekły i wystartowałem ostro niemal go potrącając.

Sceny takie i podobne, niestety, powtórzyły się kilkakrotnie. Nie brak i naszych „pośredników" i to w najdziwniejszych miejscach. W siarkowej wodzie basenu w Drużbie też kiedyś przywiosłował do mnie jakiś ogorzały jegomość i z uśmiechem pyta czy interesują mnie dolary lub marki zachodnie. Ja mu grzecznie, że wyłącznie jeny. Odżeglował mając mnie zapewne za psychicznego.

W rozgrzanej słońcem Warnie miała też miejsce niesympatyczna

PRZYGODA W „SAMIE"

w którym szukaliśmy świetnego sera do szopskiej sałatki. Na wagę można go dostać bez kłopotu, ale czasami bywa też w puszkach. Ścisk ogromny, bo sklep przed chwilą otwarty, ludzis-

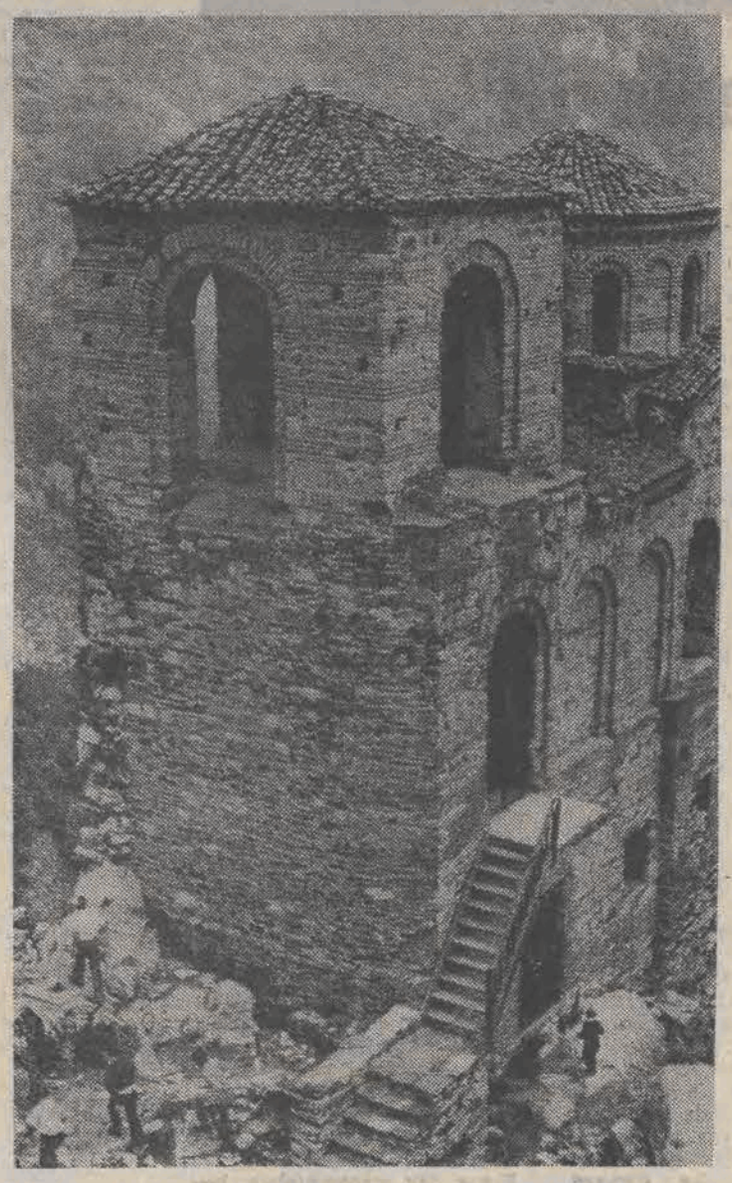

ka tłoczą się przed stoiskami z winem, „Słonecznym Brzegiem" i „Stołeczną". Pytamy o nasz ser. W torbie na ramieniu, w zewnętrznej, zapinanej na ekspres kieszeni mam wszystkie dokumenty, ale luzem — paszporty. W pewnym momencie czuję muśnięcie po torbie, jakby ktoś przepychając się, delikatnie o mnie zawadził. Nie przerywając rozmowy z ekspedientką, odruchowo sprawdzam kieszeń i — drętwieję. Zamek błyskawiczny otwarty, paszporty wystają, a portfela z dokumentami już nie ma. Bez zastanowienia walę ręką do tyłu. Łapę kogoś za ramię. Odwracam się. Przede mną stoi, zwrócona twarzą do regału, drobna dziewczyna, śniada, w wieku dwudziestu kilku lat, w zaawansowanej ciąży. Konsternacja, ale jeszcze nie czas na słowa przeprosin. — Oddaj portfel, który mi wyciągnęłaś, cwaniaczko! — syczę wściekły. Dziewczyna blednie i bez słowa otwiera swoją torbę, która jest kompletnie pusta, otwiera boczne zamki, wywraca kieszenie sukienki. Nie ma nic, ale ja wiem, że strzał jest celny; niewinna, nie zaczynałaby „rozmowy" od pokazywania pustych kieszeni. Więc już krzyczę głośno, by zamknięto drzwi wejściowe i do człowieka za ladą, by wezwał milicję. Robi się wokół nas zbiegowisko, przybiega jakiś młody Polonus z nożem typu finka w garści. Siny ze złości tłumaczę śniadej: — Ty jesteś kiepski złodziej, patrz, pieniądze mam w kieszeni, wzięłaś tylko dokumenty od samochodu, na cóż ci one, oddaj, to cię puszczę nim przyjedzie milicja! Ona nic, nic nie rozumie, tylko wywraca jeszcze raz swą pustą torbę. Komuś zdążyła mój portfel przekazać, tylko komu? Trąca mnie w ramię równie śniady wyrostek i bez słowa wskazuje placem pod regał. Obok toreb z kaszą leży i mój czarny portfel z zawartością, nienaruszoną, nawet najmniejszy świstek nie zginął. Gdybym zareagował sekundę później prawdopodobnie byłby już pusty. Dziewczyna wraz z chłopakiem znikają jak kamfora. Tym razem się nie powiodło, ale spróbują pewnie obok, dobrany duet. A może był jeszcze ktoś?

Jeśli nie straciliśmy jeszcze wszystkich lewa, to warto wybrać się, zwłaszcza gdy dysponujemy samochodem, na jakąś atrakcyjną eskapadę. Choćby do Neseberu, Burgas czy uroczego Veliko Tyrnowo. Mają Bułgarzy czym się pochwalić i skrzętnie to wykorzystują. Ale to już „de gustibus" i jeśli ktoś woli dwa tygodnie wylegiwać się na plaży to jego rzecz. Znajomi Polacy wybrali się zaś na organizowaną przez „Bałkan Tourist" jednodniową wycieczkę do Rumunii. Niech ich opowieść będzie jeszcze jednym przyczynkiem do bestselleru pt.

NASI ZA GRANICĄ

Autokar był mocno załadowany, chętnych wielu, większość stanowiły panie. Na znajomych patrzono jak na raroga, ubrani byli bowiem w krótkie majtki (toż upały niesamowite) i zabrali ze sobą małą torbę podróżną z napojami. A reszta — jakaś dziwna: w swetrach, płaszczach, niektórzy z parasolkami nawet, dźwigali wypchane nesesery. Jak na parugodzinną eskapadę to trochę przesada, no, ale może przewidzieli zmianę pogody? Na przejściu granicznym celniczka rumuńska weszła do autobusu i zakomunikowała krótko: — „Państwu się śpieszy, nie będziemy was długo trzymać, wybierzemy trzy osoby, jeśli nic podejrzanego nie znajdziemy, zaraz odjeżdżacie, zgoda?". Propozycja sympatyczna, ale każdy głowę spuścił, by na niego nie trafiło. Niestety, wytypowani „zawodnicy" nie byli w porządku; celnicy znaleźli naręcza jakichś srebrnych łańcuszków, torby leków, kilkanaście żelazek, różne grzałki, garściami wydobywali zestawy kosmetyków, nie mówiąc o stertach ciuchów. — „Przykro nam, ale państwo idziecie na osobistą" — zawyrokowali i zabrali pechową trójkę.

W autobusie powiało grozą. Ciasne wnętrze zamieniło się w zbiorową rozbieralnię, ludzie chowali pod siedzeniami jakieś precjoza, przylepiali gumą do żucia różne dziwne waluty, wszyscy byli szczupli, w jednej koszulinie na grzbiecie. Po kwadransie celnicy wrócili, już w większym składzie i oznajmili krótko: — Proszę wysiąść, wszyscy, tylko z dokumentami. Ale nikogo nie wzięto na ową rewizję osobistą, natomiast celnicy spokojnie zaczęli przetrząsać... wnętrze autobusu. Taki pech! Stoją ludziska w słońcu, z paszportami w garści, każdy blady z wściekłości, a tam w środku wozu turlają się te butelki wyborowe, te kryształy, „Biseptolu" wystarczyłoby dla dywizji wojska, co rusz któryś z celników pyta czyje te sto łańcuszków, ale kto to wie? Leżały na podłodze, nikt nie pamięta. Inny celnik powiewa plikiem lei — też nie ma właściciela, bo i skąd. Parę razy obracała ekipa Rumunów, nim oczyszczono autobus i wycieczka pojechała dalej. Poza kilkoma osobami, którym udowodniono jakieś grubsze wykroczenia i zatrzymano paszporty.

— I wie pan co? — kończyli opowieść nasi znajomi — ogołocili wszystkich, każdy płakał, jakie to poniósł straty. A gdy wieczorem wracaliśmy, to już po stronie bułgarskiej, wyciągali znów jakieś kiecki, naręcza bawełnianych podkoszulek, kupione w Rumunii. — Panie, jakim cudem, przecież teoretycznie wszystko im zabrano?!...

Błogie lenistwo, niestety, szybko minęło i trzeba było wracać. Za namową zmotoryzowanych, którzy nie raz już przemierzyli szlak, zmieniłem nieco trasę powrotną, i przez cudne Veliko Tyrnowo, Vracę, dotarłem do miejscowości Vidin, w północno-zachodnim narożniku Bułgarii. W sumie około 550 kilometrów po dobrych drogach, choć uważać trzeba bardzo, bo Bułgarzy w wielu miejscach przeprowadzają modernizacje nawierzchni, budują nowoczesne obwodnice i tam mogą być niespodzianki. Jedną z nich stanowił na przykład most, na którym raptownie kończył się asfalt, a dalej czekały na kierowcę szutrowe, kamieniste wyboje. Znaków ostrzegawczych nie było żadnych, z trudem udało mi się wyhamować na ostatnich metrach asfaltu. Okazało się, że kilometr wcześniej nawet zaznaczono objazd, ale skromną tabliczką... formatu A-4, z wytartym napisem.

We wspomnianym Vidinie można przenocować na jednym z dwóch campingów (również w niewielkich bungalowach, po 12—14 lewa), a rankiem — dodatkowa atrakcja — przeprawić się do Rumunii promem przez Dunaj (12—18 lewa, w zależności od liczby pasażerów samochodu). Co więcej, trasa może być jeszcze bardziej malownicza, jeśli wcześniej z głównego szlaku zboczymy na północ i pojedziemy do Vidinu wzdłuż Dunaju. Tyle, że tam niespodzianek drogowych może być procentowo więcej.

Aha, drobny szczegół: Bułgarzy na ogół ostrzegają przed radarem podobnie jak u nas, mrugnięciem światłami. Przyznaję, że parę razy uratowało mnie to przed wpadką, bo na terenie zabudowanym obowiązuje sześćdziesiątka i zwykle właśnie na skraju różnych miasteczek oczekuje na nas radar. Tym, którzy twierdzą, że u nas „drogówka" ima się różnych metod, by złapać kierowcę, a panowie z urządzeniem chowają się za domami, używają nie oznakowanych specjalnie pojazdów etc. chcę przytoczyć ładny bułgarski przykład. W jakiejś, nazwy nie pomnę, mieścinie ostrzeżono światłami, zwolniłem do przepisowej prędkości i ze zdziwieniem zauważyłem, że czujnik radarowy zamocowany był do... wózka inwalidzkiego, który stał na poboczu drogi. Płacący opodal kierowcy kilkunastu pojazdów świadczyli dobitnie, że tego podstępu nikt się nie spodziewał.

I to tyle spostrzeżeń sprzed kilkunastu dni, trochę bezładnych, ale może i one komuś się w drodze przydadzą. A więc — szerokiej drogi!

P.S. Kapitalną tablicę ostrzegawczą znalazłem przed jedną z górskich serpentyn w Czechosłowacji, w rejonie Żiliny. Znak ograniczał prędkość do 30 kilometrów na godzinę (rzeczywiście, nie było w tym przesady), a obok widniał napis, który mniej więcej można by przetłumaczyć: „Jeśli chcesz mieć swoje auto **do końca życia, wjedź w ten zakręt szybciej...**".

MICHAŁ S. DALECKI

Lny w słońcu bieleją

Kobieta len rozwiesza na konopnym sznurze
a ten rozpina między konarami brzóz
jak pojękującą wieków strunę
jak drog nieskończone dale za kapliczką
chusty ze lnu —

len do konopi ma się dobrze
już pozbawiona głowy chusta
schną z niej zamysły ciche troski —

koszule zgrzebne ze lnu tkane
i te pod pański frak krojone
chłopców koszule świąt ciekawe
paradne koszule zaduszkowych kobiet —

wszystkie już wolne od ciężaru ciała
chybocą miękko w pacierzy szeleście
jakby odprawiały spóźnione rekwije
nie ma już w płótnach ciał wstydliwych
dymiących nocą spóźnionych uścisków
ani też ciał wirujących w tańcu
ani z roboty do płótna przyrosłych —

bandaże rozwiesza kobieta
pasma lnu rozpamiętujące rany
nawijające swoje zadośćuczynienie
obłąkanym strumykom krwi —

czujne lny szeleszczą do posługi
potem dla zdrowia oddychają słońcem
i trzepią nad drogą pochodowe dumki —

sztandary na wietrze rozwiesza kobieta
madonna lnów w rozwianych legendach
polne wiatry zwołuje od pamięci bólu
od pożogi od zdrady i od rdzy bagnetu —

kobieta nie ustaje w wiekowej skrzętności
rozwiesza na konopiach coraz nowe płótna —

Ona — gdy tylko starym lnu spłachetkiem
z wiatrem uleci — ponad ziemią frunie
niby cień ptaka — bielszy od bandaży —

widzą go wszyscy choć w źrenicach piasek
a inni p a m i ę ć pod słońce i mówią:
u nas nad Wisłą — lnu nigdy za wiele —

WŁADYSŁAW PAWŁOWICZ

Synowi

Podaj rękę
jesteś słaby jak nić pajęcza
chociaż według ludzkiej miary
prawieś... olbrzym

podaj rękę
nauczę ciebie chodzić
po linie... życia
oprzyj się mocniej
na moim doświadczeniu
a przejdziesz bez strachu.

Nie wierzysz?
Patrzysz z góry
na moje metr pięćdziesiąt pięć
na krótki oddech na małym dystansie
niech cię to nie zwiedzie
twoim kłopotom choć wielkie
poradzę.

FELIKS RAJCZAK

Tamto

Tamte psy co wyły nocą
we wsi
pozdychały
Tamte krowy co pasałem na łąkach
zarżnięto i zjedzono
Tamte konie których rżenia
nasłuchiwałem wieczorami
wybiegły wiejską drogą
w siwe mgły
za czarny las
w gniadą zorzę

I znów idę przez wieś
psy szczekają
krowy ryczą
konie rżą

Dzieci mnie nie poznają

Witaj stara wierzbo
I ty o mnie zapomniij

Łowicz widziany z pociągu

Przeźroczyste wieże Łowicza
jak strąki polnego grochu
unosi w górę ziemia
nakryta pasiakiem

(Wiersze nagrodzone podczas II Nocy Poezji w Klubie Nauczyciela w Łodzi, 29—30 czerwca 1984.)

Są znaki na niebie i ziemi, że ekonomika nie jest w Polsce jedyną dziedziną życia, w której coś „drgnęło" jako zapowiedź wychodzenia z kryzysu. Mam na myśli tę dziedzinę, która nagle, w toku wprowadzania w przedsiębiorstwach reformy gospodarczej znalazła się na lodzie, ponieważ reprezentanci załóg doszli do wniosku, że ostatnią rzeczą, której człowiek pracy oraz jego rodzina potrzebują do szczęścia jest czynne uczestnictwo w zespołach amatorskich.

Jeszcze w ubiegłym roku sytuacja wydawała się beznadziejna bo niby jakim sposobem miałby ruch amatorski, pozbawiony środków z zakładowych funduszów, odzyskać swoją dawną kondycję... Ten rok jednak zdaje się świadczyć o tym, że kryzysowy „dołek" mamy już chyba poza sobą, a jako jeden z coraz liczniejszych ostatnio przykładów można tu przytoczyć tegoroczny, tradycyjny już przegląd konkursowy dziecięcych zespołów scenicznych, odbywający się w Dzielnicowym (bałuckim) Domu Kultury „Na Żubardzkiej", a wspomagany organizacyjnie i finansowo przez Łódzki Dom Kultury i Towarzystwo Kultury Teatralnej (w Łodzi).

Po prawdzie mecenat zakładów pracy nie zamanifestował w tej imprezie swojej egzystencji, tym mocniej więc musiała potrząsnąć swoją niezbyt chyba zasobną kiesą administracja terenowa, fakt jednak pozostaje faktem, że w pracy kulturalnej prowadzonej z dziećmi i młodzieżą pojawiły się oznaki wyraźnego ożywienia. Do wspomnianego przeglądu pod nazwą „Dziatwa 84" (teatrów animacji, odbywanego już po raz piąty), tym razem wspólnie z okręgowymi eliminacjami Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich — OFTA stanęło 16 zespołów. Zrozumiała z tego tytułu satysfakcja nie powinna nam jednak przesłonić pewnych mankamentów jakościowej natury, które, moim zdaniem, można było zauważyć w czasie dwudniowej rywalizacji młodocianych amatorów.

Co przy tym znamienne (i po części pocieszające), nie są to mankamenty, które wynikałyby głównie a w każdym razie wyłącznie, ze szczupłości środków materialnych, jakimi rozporządzają zespoły, lecz raczej z nadmiernego przywiązywania wagi do bogactwa środków finansowych i technicznych, jako rzekomych gwarantów powodzenia artystycznych przedsięwzięć, co jest chyba jednym z reliktów sposobu myślenia z niedawnej „epoki sukcesu".

Czy najważniejsze byłyby tu przykłady, wymieniane z imienia i adresu? Myślę, że chodzi przede wszystkim o rozpoznanie sytuacji, o dostrzeżenie tendencji zarówno pomyślnych, jak i niepokojących, toteż pokuszę się jedynie o wyrywkowe zestawienie aktywów i pasywów, zwłaszcza tych, którym, jak mi się wydaje, grozi popadnięcie w stan chroniczny.

Można więc odnieść wrażenie, że w zespołach nierzadko zaniedbuje się lub prowadzi nie dość umiejętnie pracę nad kulturą słowa, począwszy od braku

Co u młodych amatorów

Potentaci i ubodzy krewni

dbałości o logiczną interpretację tekstu, przez tolerancję dla błędów składniowych, skończywszy na niestarannej, po prostu nieprawidłowej wymowie. Nagminnie słyszy się połykanie spółgłoski „l", co chwila pada więc ze sceny „sucham" (wzdragam się tu napisać, jak brzmi odmiana przymiotnika „główny"). A jednocześnie raczy się widza ogromnie przesadnym artykułowaniem nosówek „ą" i „ę", co w połączeniu z ogólnym niedbalstwem wymowy przypomina kwiatek przypięty do kożucha. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że często trafia do zespołów materiał mało podatny na pedagogiczne oddziaływania, choć jest to przecież młodzież szkolna, na której wymowę powinni zwracać uwagę nauczyciele (nie tylko poloniści), no i oczywiście dawać sami dobry przykład...

Dalsza sprawa. Wspomniane już przeze mnie szafowanie „środkami bogatymi" przez zespoły korzystające z zawodowego scenografa sprawia, iż widowisko, wsparte też sprawnym wyposażeniem technicznym, oświetleniowym, i dobrymi nagraniami muzyki, staje się trudno porównywalne z przedstawieniem charakteryzującym się skromną prostotą środków, o dekoracjach i kostiumach i ew. lalkach sporządzonych własnym pomysłem i przemysłem.

Na dobrą sprawę, przedstawienia stworzone w tak diametralnie odmiennych warunkach pracy powinny być oceniane w odrębnej konkurencji, w przeciwnym bowiem razie, jak mi się wydaje, łatwo o wywołanie poczucia niezasłużonej krzywdy u niedostatecznie uhonorowanych zespołów — mniej zasobnych w środki materiałowo-techniczne — łatwo o kompleks „ubogich krewnych", pozbawionych szansy zmierzenia się z owymi potentatami jak równy z równym.

Jak wiadomo, w teatrze dziecięcym dużą rolę odgrywa muzyka, najczęściej w postaci piosenki, rzadziej we własnej realizacji instrumentalnej. Wydaje się, że w przypadkach, kiedy zespołu nie stać na oryginalne opracowanie kompozytorskie można by częściej niż się to dzieje korzystać z bogactwa polskiego folkloru, czy to in crudo czy w wartościowej stylizacji. W całym przeglądzie tylko jeden zespół poszedł tą drogą, dając piosenki „Miała babulenka", dalej popularnego niegdyś „Kubę — Jurka" i wreszcie „Bandoskę" z pierwszego repertuaru „Mazowsza".

Ale kierownicy zespołów często poczynają sobie zgoła inaczej i niezbyt chwalebnie. Korzystają we fragmentach lub w mocno uproszczonej wykonawczo wersji z rozpowszechnionych jeszcze przed kilkunastu laty polskich nagrań płytowych popularnych bajek muzycznych, często do tekstów Brzechwy. Od kilku lat słyszy się np. piosenkę wilka z „Jasia i Małgosi", wzorowaną na nagraniu Hańczy czy piosenkę Kopciuszka, nagraną bodaj przez Krafftównę. I wszystko byłoby piękne, gdyby z reguły nie zatajano autorstwa melodii i tekstów piosenek, jak gdyby sugerując, że jedno i drugie jest dziełem reżysera przedstawienia czy innego z realizatorów. A przecież i widzom, i jurorom należą się informacje ścisłe i kompletne.

Dziecięce pienia bywają w przedstawieniach na ogół dość żałosne, bardzo nikłe brzmieniowo, nierzadko nieczyste, ale to w znacznej mierze wina programu wychowania muzycznego w szkole czy raczej jego braku. Zwraca też uwagę, że tylko w jednym przedstawieniu śpiewano wielogłosowo, a reszta — unisono.

Listę zalet i braków amatorskich przedstawień dziecięcych można by jeszcze co nieco przedłużyć i zapewne każdy ich pilny obserwator miałby tu niejedno do dodania. Sądzę, że warto by w gronie animatorów amatorskiego ruchu teatralnego kiedyś o tym porozmawiać, żeby dopracować się bardziej jednoznacznych kryteriów oceny zespołów, zdać sobie sprawę z hierarchii i realności stawianych im wymagań, zwłaszcza w konkursowych szrankach.

Przyjmijmy bowiem optymistycznie, że obserwowane ożywienie tej tak ważnej dziedziny życia kulturalnego nie okaże się zjawiskiem przelotnym.

JERZY KWIECIŃSKI

LIST Z WYBRZEŻA

„Galeria El"

W pięknym gotyckim kościele, który kosztem wielu milionów złotych został podniesiony z ruin dzięki wysiłkowi władz i społeczeństwa Elbląga, znajduje się galeria malarska, której znaczenie przekroczyło już granice Polski Północnej.

Mowa o „Galerii El", najważniejszej obok Teatru Dramatycznego placówce kulturalnej Elbląga. Od lat kieruje nią dr Ryszard Tomczyk. Jest on jednym z tych zapaleńców we współczesnej sztuce polskiej, którzy z niczego potrafią stworzyć znaczące zjawisko społeczne. Tomczyk z wykształcenia jest teatrologiem (przygotował pracę doktorską o przeszłości sceny elbląskiej pod kierunkiem prof. Stanisława Kaszyńskiego), a jednocześnie zajmuje się także malarstwem. Nie jest to jednak jakieś niedzielne rysowanie, lecz profesjonalna twórczość, uwieńczona nagrodami na licznych wystawach.

Ryszard Tomczyk jako dyrektor „Galerii El" wykazał niepospolite zdolności organizacyjne. Nie tylko regularnie organizuje wystawy, prezentując społeczności Elbląga, co ciekawsze dokonania współczesnej sztuki polskiej, lecz także prowadzi szeroką akcję zmierzającą do zapoznania młodzieży z problematyką malarską. Jest więc propagatorem sztuki — w Galerii odbywają się spotkania z twórcami, prelekcje i odczyty na tematy związane z kolejnymi wystawami. Myślę, że ta działalność Tomczyka stanowi cenne uzupełnienie programu szkolnego dla młodzieży elbląskiej, która ma okazję poznać rzeczywistość polskiej plastyki.

Akcja popularyzatorska jest jednym z zadań „Galerii El". Głównym jej celem jest organizowanie wystaw nowoczesnej sztuki, tak polskiej jak też europejskiej. Tomczyk ma liczne kontakty międzynarodowe i dzięki temu udaje mu się sprowadzać do Elbląga dzieła uznanych twórców z RFN czy Francji. „Galeria El" wydaje swój własny biuletyn, w którym znaleźć można nie tylko podstawowe informacje o autorach poszczególnych prac, ale także artykuły problemowe czy też relacje o ważniejszych manifestacjach plastycznych w Europie.

Gdy byłem w Elblągu, Ryszard Tomczyk pokazał mi wystawę zatytułowaną: „Parafrazy malarskie tematu Kosmos — Materia". Było to raczej pokłosie konkursu malarskiego na ten temat. Niemniej mogłem się przekonać, jakie są upodobania Tomczyka jako menagera artystycznego. Obrazy były bardzo zróżnicowane pod względem poziomu. Niektórych nie byłem w stanie zaakceptować. Wynika to pewnie z faktu, że ponad wszystko cenię sprawność techniczną w malarstwie. Uważam, że bez znajomości warsztatu nie ma sensu przystępować do tworzenia obrazu. Może jest to tradycjonalizm, a może jakaś skala wartości...

Prace, jak wspomniałem, były bardzo różne. Mnie samemu najbardziej przypadły do gustu ciepłe w ujęciu kolorystycznym i sugestywne w wyrazie malarskim pejzaże Jadwigi Lesieckiej z Sopotu. Jest to znane nazwisko we współczesnej sztuce polskiej, jednak nie na tyle, na ile zasługują na to jej prace. Lesiecka uprawia malarstwo, w którym istnieją wyraźne motywy fabularne, gdzie toczy się dramat ludzi o trudno rozpoznawalnych twarzach.

Nie widziałem, niestety, innej wystawy zorganizowanej przez Ryszarda Tomczyka — „Apokryfy XX". Sam pomysł jednakże świadczy o tym, iż dyrektor „Galerii El" ciągle odwołuje się do naszej tradycji kulturowej, szukając jednocześnie malarskiego wyrazu naszych czasów.

Nie tylko malarstwo jest obecne w elbląskiej galerii, odbywają się tam wystawy rzeźby, prezentacje nowoczesnej fotografii czy wreszcie spektakle teatralne. Tomczyk bardzo ubolewa nad faktem, że nie udało mu się nawiązać stałej współpracy z Teatrem Dramatycznym. Teraz dyrekcję elbląskiej sceny obejmuje Stanisław Tym, który jest człowiekiem otwartym na różne propozycje i jestem przekonany, że będziemy świadkami ciekawych dokonań artystycznych, będących wynikiem współpracy Teatru Dramatycznego z „Galerią El".

Cóż na koniec? Chyba tylko to, że jest faktem wielce pocieszającym, że w małym Elblągu działa placówka artystyczna, która może być pozytywnym przykładem dla wielu podobnych galerii w większych miastach.

WIESŁAW NOWICKI

Ostatni ołtarz Zachodniego Imperium

Akcja „Dębów kapitolińskich" toczy się w niewiele lat po klęsce Syagriusza i chrzcie Chlodwiga, w Południowej Galii. Bohater, Klaudiusz Egidiusz o przydomku Postumus, symbolizującym, że jest pogrobowcem Imperium, to siostrzeniec Syagriusza. Zwycięski król Chlodwig nie szukał na nim pomsty, pozwolił mu żyć w okrojonych włościach i czcić starych bogów.

Klaudiusz Egidiusz nigdy nie był w Rzymie, stolicy świata. Wspaniałość Imperium zna z opowieści, z przekazów historycznych i literackich. Jedyną prawdziwą więzią, która łączy go ze świetnym, nie istniejącym już państwem cezarów, jest przywiązanie do starych bogów. Symbolem tej więzi jest dębowy gaj i ołtarz przy świętym źródle.

Klaudiusz jest już ostatnim, który składa tam ofiary. Czuje swoją anachroniczność, gdy dopełnia ofiarnego rytuału. Jest sam i jest osamotniony. Jego krewni, przyjaciele i sąsiedzi polegli z rąk Franków lub jeszcze wcześniej, walcząc z Alamanami.

Klaudiusz Egidiusz Postumus nie reprezentuje już — w sensie fizycznym — nikogo oprócz siebie. Jako ostatni wyznawca starych bogów jest nie więcej, jak reliktem, kuriozum. Jego świat nie istnieje, trwa tylko w jego pamięci. Ale Klaudiusz ma też poważne atuty: uosabia starą kulturę rzymską, wieki tradycji i świetności. Czym przyciągnąć go mogą nowi ludzie, barbarzyńcy, pierwsze pokolenie frankońskich chrześcijan, do niedawna jeszcze wyznawców nieskomplikowanych, prawie pierwotnych pogańskich bóstw? Ani swoimi prymitywnymi prawami, ani nie mniej prymitywnymi obyczajami i kulturą. Jakie wartości duchowe mogą przeciwstawić wyrafinowanej cywilizacji rzymskiej?

Chrystianizm Franków jest świeżej daty. Dopiero wznosi się pierwsze kościoły. Biskupi są żołnierzami. Wielkie dysputy teologiczne toczą się daleko, na Wschodzie. Tam powstają schizmy i rodzą się herezie, tam uczeni Ojcowie Kościoła rozpatrują subtelności dogmatów. A król Chlodwig ochrzcił się niedawno... I Frankowie w większości nie wykazują przysłowiowego fanatyzmu neofitów — z sentymentem wspominają starego Odyna, puszczają wianki w noc letniego przesilenia i stawiają miseczki z mlekiem dla gnomów. Owszem, są sprawy, które łączą Rzymian i Franków. Przynajmniej kilkanaście lat wcześniej, zostawszy sojusznikami, mogliby wspólnie pokonać Alamanów. Może istnieje więc jakaś płaszczyzna porozumienia między ostatnim Rzymianinem w Galii, a nowymi jej panami?

Tworzy się taka sytuacja, że Klaudiusz może wyjść ze swej, ubogiej już, samotni. Może być użyteczny barbarzyńcom. Rysuje się możliwość pewnego kompromisu. Za niewielką, jak się wydaje, cenę, może odmienić swoje życie, być znowu zamożny, i niewykluczone, że szczęśliwy.

Klaudiusz jest prawie gotów zapomnieć o swoich ideałach, zaprzeć się w sobie — Rzymianina. Jako przedstawiciel Chlodwiga, ochrzczony i ożeniony z Frankonką, ma jechać do Teodoryka do Rawenny, i do biskupa Rzymu. Do Rzymu! „Rzym jest wart chrztu" — mówi Klaudiusz. Paradoksy historii, paradoksy losów ludzkich!

Ale okazuje się, że cena, jaką ma płacić Klaudiusz za uzyskanie miejsca w nowym społeczeństwie, zostaje podwojona. Nie ma to już być tylko zachowanie pozorów, formalny akt chrztu. Zdobywcy żądają więcej: podniesienia przez niego samego ręki na ostatni symbol jego Rzymu — jego wiarę: żądają wyrąbania dębów, zasypania źródła, zburzenia ołtarza. Jednostka, postawiona w takiej sytuacji, ma alternatywę: przyjąć warunki zdobywców lub zginąć. Nie ma rozwiązań połowicznych.

Autor, nie akcentując związanych z tematyką aspektów socjologicznych procesów historycznych, stawia problem na płaszczyźnie psychologicznej, moralnej i etycznej. Kwestie takie, jak wolność sumienia i wyznania, poddane zostają próbie konkretu.

Piotr Kuncewicz nadaje swojej książce ton kameralnej, jednowątkowej opowieści — wszak pokazuje ona tylko mały wycinek świata, widziany oczyma jednego człowieka, zbieg zdarzeń, obracających się tylko wokół niego. Ale temat jest godny epickiego patosu. Pogranicze dwóch epok, upadek starego i podwaliny nowego świata. I można odnaleźć w książce dyskretnie zaznaczoną cechę bohaterskiego eposu.

Książka napisana jest nienagannym językiem. Zdania są formułowane precyzyjnie. Stylizacja sugeruje w wypowiedziach bohatera perfekcyjną składnię łaciny.

Sam gatunek literacki, po który sięgnął autor, nawiązuje do formy long short story, czy rosyjskiej powieści. Wybór jest bardzo trafny, ponieważ gatunek ten, bez rozciągania fabuły i wprowadzania wielowątkowości, umożliwia zagęszczenie postawionych kwestii, nasycenie sytuacji psychologicznej. Jeszcze jedna cecha tej formy, dobrze wykorzystana, podnosi walory artystyczne i ideowe utworu: jest to rzecz nie narzucająca gotowych formułek, gotowych wzorców, rzecz nie dopowiedziana do końca, rzecz bez pointy-morału, rzecz do przemyślenia...

EWA-KATARZYNA NOWAK

Piotr Kuncewicz. Dęby kapitolińskie. Wydawnictwo Łódzkie 1983. Str. 111. Cena 50 zł.

MAREK ADAM JAWORSKI

Taniec w tunelu 2

— Dzień dobry, panie redaktorze! — Na progu stał szczupły mężczyzna w wieku bliżej nieokreślonym. Sądząc po wysportowanej sylwetce, mógł mieć około trzydziestki, a po twarzy, pooranej zmarszczkami, około pięćdziesiątki. Doliński wypośrodkował i ocenił go na czterdziestkę, trafiając tym samym w dziesiątkę.

— Dzień dobry. Proszę siadać. Czym mogę panu służyć?

— Przede wszystkim chciałem pogratulować...

— Daj pan spokój! Dzisiaj kierować redakcją... — nie dokończył.

— Ale zawsze! Nowe czasy, nowi ludzie. Pszczoła jestem, członek zarządu regionu. Robotnik z krwi i kości.

— Miło mi pana poznać, ale, ja już pana gdzieś widziałem...

— Zgadza się. Pół roku temu, to było na wiosnę, wymieniałem gaźnik w pana maluchu.

— A rzeczywiście. Teraz dla odmiany szwankuje mi łańcuch rozrządu.

— To już nie do mnie, nie do mnie... Oddelegowany zostałem do pracy w regionie. Uczę się, wszyscy się uczymy. Nasz związek jest bardzo młody, brak nam doświadczeń, zresztą skąd je brać?

— Początki zawsze są trudne. — Doliński jakby się uśmiechnął, a może tym uśmiechem chciał ukryć lekkie podenerwowanie. — Pan ma do mnie jakąś konkretną sprawę?

— Tak. Z ramienia zarządu regionu obsłużę zebranie założycielskie w redakcji. Mamy tu już s w o i c h ludzi.

— „Swoich" Pszczoła mocno zaakcentował.

— Słyszałem. Chociaż przyznam się panu szczerze...

— Rozmawiamy przecież szczerze...

— Właśnie. Przyznam się, że nie lubię i nigdy nie lubiłem dzielenia ludzi na s w o i c h i o b c y c h.

— Ja również, ale to teraz mało ważne. Jestem u pana, redaktorze, po pierwsze po to, aby pana na to zebranie zaprosić, a po drugie ... — zawahał się — po drugie, by poznać pana opinię...

— *Opinie* na temat „Solidarności"? Za wcześnie jeszcze na to, chociaż pragnąłbym, aby nowy związek rzetelnie służył ludziom pracy i krajowi.

— No to zgadzamy się! Widzi pan, nasz związek po wielu utarczkach z władzami został wreszcie oficjalnie zarejestrowany i teraz mamy już pełną możliwość działania.

— Tak... Czy pan wie, że byłem... zaraz, kiedy to byłem... 20 października w Jastrzębiu na spotkaniu górników z Lechem Wałęsą.

— No i co?

— Posłuchałem trochę. Z niektórymi odpowiedziami na pytania zgadzałem się, co do innych miałem pewne wątpliwości. Pewne... Nie takie znów małe, no, ale nie ze wszystkim muszę przecież się zgadzać. Za dużo tych strajków, nic one ani panu, ani mnie, a przede wszystkim Polsce nie dadzą.

— Jak nie można inaczej? Rząd rzuca nam kłody pod nogi, musimy się bronić.

— A najlepszą obroną jest atak, prawda? Stara zasada sztuki wojennej.

— Ustabilizuje się wszystko. Musi, chociaż, jak mówią Chińczycy, przeszłość się nie skończyła, a przyszłość jeszcze nie nadeszła. Bo u nas na spotkaniu jeden naukowiec i przypomniał kilka takich złotych myśli.

— Złotych myśli to i ja znam wiele. Koreańczycy na przykład powiadają: gdy jest zbyt wiele orkiestr, nie wiadomo, według której tańczyć.

— Fajnie się z panem rozmawia, redaktorze. Chciałbym, aby i pan wsiadł do naszego pociągu. Teraz jest jeszcze luźno, może znajdzie się i siedzące miejsce, później może być gorzej.

— Panie Pszczoła, tutaj redakcja, a nie dekapel! Jeśli zaś chodzi o pociągi... Jest taki pisarz, może już dzisiaj trochę zapomniany. Grabiński... Otóż ten Grabiński pisał właśnie o pociągach, o katastrofach kolejowych i o takich różnych dziwnych rzeczach na żelaznych szlakach... Nie każdy pociąg dojeżdża do stacji końcowej.

— Nie wiem, panie redaktorze, ja jestem zwykłym robotnikiem. Całe życie pracuję i niewiele mam z tego. Jedyna radość to syn. Dostał się na medycynę, bardzo chciałbym, aby został lekarzem. Dobrym lekarzem.

— Więc jednak! Przed wojną raczej nie mógłby pan o tym marzyć.

Pszczoła zamilkł i zaczął bębnić palcami po stole.

— Ja, panie redaktorze — powiedział — jestem za socjalizmem. Ale socjalizm to nie prywatny folwark takiego czy innego dyrektora. Za dużo mamy w kraju dygnitarzy, którzy już zapomnieli, skąd wyszli. Trzeba im o tym przypomnieć... O, pana maluch to już się sypie, a znam takich na stanowiskach, co zmieniają samochody jak rękawiczki. Parzydzielą mu jeden, sprzeda go po roku, po dwóch z zyskiem, dostanie przydział na nowy i tak w kółko. Z tym musimy skończyć.

— Tutaj zgadzam się z panem.

Teraz Doliński zamilkł. Obaj chcieli coś do siebie powiedzieć, może nawet otworzyć się od wewnątrz, ale nic takiego nie nastąpiło. Pszczoła wstał, wyciągnął dłoń na pożegnanie:

— Do zobaczenia, redaktorze. Na zebraniu!

Doliński, kiedy już został sam w pokoju, podszedł do szafki i napełnił kieliszek. Wypił jednym tchem i z żalem stwierdził, że butelka po koniaku gruzińskim była już przeraźliwie pusta...

VII.

— Psiakrew, opona!

— Ale macie zapasową?

— Mam, ale nie wiem, czy daleko na niej zajedziemy, nadaje się do muzeum.

Półtawski spojrzał na zegarek. Pędzili ponad setkę, łamiąc wszelkie przepisy drogowe. Po drodze nawinęła się furmanka, nie mogli jej wyminąć, bo naprzeciw mieli skodę. Wtedy właśnie trzasnęła ta opona. Dobrze, że wtedy, bo musieli gwałtownie zwolnić. W innym wypadku trudno przewidzieć, jakby to się skończyło.

Zegarek nie kłamał: Półtawski już wiedział, że spóźni się na plenum Komitetu Centralnego. Siódme w tej kadencji.

Wyszedł z samochodu i zaczerpnął świeżego powietrza.

— Pomóc wam może?

— Dziękuję, sam sobie poradzę. Jeszcze nie takie czasy, towarzyszu sekretarzu, aby sekretarz musiał pomagać przy zmianie opony.

— Już nie raz zmieniałem w swojej zastawie. Nie przesadzajcie!

Do Warszawy dojechali bez żadnych dalszych niespodzianek, ale, jak przewidywał, obrady już się rozpoczęły. Przemawiał właśnie I sekretarz KC, Stanisław Kania.

— Określiliśmy wielokrotnie — wołał z trybuny z tą swoistą intonacją — pozytywny stosunek do „Solidarności". Przedstawiciele kierownictwa partii i rządu, w tym ja osobiście, spotykaliśmy się z jej czołowymi działaczami. Na podstawie tych spotkań i rozmów uważam, że istnieje realna możliwość, by wzajemne stosunki ułożyły się z pożytkiem dla dobra kraju.

— Ja tam nie wierzę w tę realną możliwość. Tak się zaczyna kontrrewolucja! — Półtawski usłyszał szeptem wypowiedziane słowa. Nie znał bliżej tych dwóch, którzy siedzieli naprzeciwko niego, chyba nie byli oni nawet członkami Komitetu Centralnego.

— Tendencja do narzucania swego stanowiska, a nawet do wywoływania ekscytacji — mówił dalej Stanisław Kania — przenoszona bywa również na ulice miast czy do różnych obiektów użyteczności publicznej w formie rozmaitych ulotek, napisów, haseł oraz różnego rodzaju naruszania przepisów i samowoli. Wszystko to świadczy, iż niektóre osoby i organizacje „Solidarności" wykraczają poza określony w statucie zakres swej działalności jako związku zawodowego. Stanowi to naruszenie prawa, uzurpowanie sobie atrybutów należnych wyłącznie władzy państwowej, a, jak wiadomo, w żadnym państwie, i w naszym również, dwuwładzy nie ma i być nie może. [...].

Dwaj towarzysze, siedzący naprzeciwko Półtawskiego, znów coś poszeptali między sobą. „Dawno tak trzeba było mówić". „Robić, a nie mówić" — dotarły urywane słowa.

W czasie krótkiej przerwy podszedł do Półtawskiego Kulebiak, stary działacz partyjny.

— Cześć, towarzyszu Półtawski!

— A co ty tak do mnie po nazwisku?

— Cześć, Olku! Zresztą co za różnica? Podobało ci się wystąpienie Kani? Zamierzasz zabrać głos z trybuny?

— A bo ja wiem, czy warto? Już się dosyć u siebie nagadałem.

— Ale kierownictwo partii trzeba informować o wszystkim. U was jak? Spokojnie?

— Jak wszędzie. Ale na pewno spokojniej niż na Wybrzeżu.

— I do was dojdzie ta fala.

— Może. Z gadania niewiele wyjdzie. Trzeba działać.

— Dobryś! Działać, ale jak? Wszystko nam się wymyka z rąk, najbardziej ciemne siły starają się wyjść na powierzchnię. Niezła krucjata szykuje się przeciwko naszej partii. Zobaczysz, ja ci mówię, dziś to jeszcze nic, to się dopiero zaczyna. A jak się skończy, to sam Pan Bóg nawet nie wie. Kiedyś było: hej, kto Polak na bagnety, potem — na bankiety, a teraz chyba na barykady z „Jeszcze Polska" na ustach. Polska, ale jaka? — wołał wieszcz. Wszystko to aktualne, choć podobno historia się nie powtarza.

— Kraczesz!

— Chciałbym się mylić! Biuro Polityczne — mówił dalej Kulebiak — proponuje zwołanie IX Zjazdu partii na przełomie pierwszego i drugiego kwartału przyszłego roku. Czy ta data nie wydaje się tobie zbyt przedwczesna?

— Wy tu, w Warszawie, wiecie lepiej. Ale jakim cudem przeprowadzimy tak szybko kampanię wyborczą?

— Właśnie. Ciągle się obawiam, abyśmy nie powtórzyli błędu Komunistycznej Partii Czechosłowacji z 1968 roku. Delegat delegatowi nierówny. A teraz jest tak, że ten, kto głośniej krzyczy, ma szanse na wybór. Objawiło nam się demagogów na pęczki. A za Gierka siedzieli jak mysz pod miotłą. Przydałaby się solidna weryfikacja w naszej partii.

— Wydaje się, że oczyści się ona sama. Już wielu z partii odeszło.

— Niech odchodzą, ale, niestety, tracimy i wielu przyzwoitych ludzi. Silny jest napór opozycji.

Przerwa się skończyła i rozpoczęła się dyskusja. Pierwszy przemówił Antoni Wróbel, członek KC, pracownik płockiej „Petrochemii".

— Z organizacji partyjnej, do której należy Kania. Dlatego wysłano go na pierwszą linię — sarkastycznie szepnął Kulebiak do ucha Półtawskiemu. Siadł obok niego, bo znalazło się akurat wolne miejsce. [...]

XI.

Właściwie nic się specjalnie tego dnia nie wydarzyło, ale Doliński wrócił do domu zmęczony, jak nigdy.

[...] W mieszkaniu był tylko syn, no i pies, który powitał go głośnym, radosnym szczekaniem, domagając się należnych mu pieszczot.

— Nakarmiłeś, Kaziku Ajaksa? — zapytał.

— Dostał kaszankę.

— A ty jadłeś obiad?

— Jakoś nie mam apetytu.

Doliński ze zdziwieniem spoglądał na syna. Wydawało mu się, że jest coś nienaturalnego w jego wyglądzie.

— Stało się coś?

— Bo ja wiem...

— Widzę, że masz jakiś kłopot.

— A kto dzisiaj nie ma kłopotów? Powiedziałbym ci, ale...

— Ale co?

— Ech... I tak ci zresztą muszę powiedzieć.

— Słucham.

— Prosto z mostu?

— No, wal i przestań mnie denerwować.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem, jak zacząć... Może od końca... Będziesz, tata, dziadkiem.

— ...Co?

Mogliby teraz zjawić się w pokoju Marsjanie, mógłby pies przemienić się w kota, Doliński i tak by tego nie zauważył. To, co usłyszał przed chwilą, było tak nieprawdopodobne, że bardziej przypominało sztubacki żarcik niż rzeczywistość. Kazik ojcem? No, nie...

— Słyszysz przecież. Będziesz dziadkiem. Wypadek przy pracy.

— Nie bądź bezczelny! Chyba to nie jest stosowna okazja do głupich dowcipów.

— Przecież się nie powieszę.

— Człowieku, to przechodzi ludzkie pojęcie. Jeszcze nie masz dwudziestu lat. Drugi rok prawa... Powiedz, że żartowałeś!

— Nie, tata, to prawda.

Kazik... Jedyny syn, z którym wiązał tyle nadziei! Tak się cieszył, kiedy przed rokiem dostał się na studia i to bez żadnej protekcji. Wszystkie egzaminy zdawał w terminie i to na samych piątkach. Kuł po nocach, niekiedy nawet trudno było go rano dobudzić. Wydawało się, że zupełnie nie interesuje się dziewczętami. Odwiedzali go tylko koledzy. Dopiero teraz, na jesieni, zaczęły się „ciche" telefony. To znaczy terkotał dzwonek, a kiedy Doliński podnosił słuchawkę, odpowiadało mu milczenie. Kiedy z kolei syn podchodził do aparatu, znajdującego się stale na korytarzu, wówczas wyciągał drut telefoniczny z gniazdka i przenosił telefon do siebie. Kto dzwonił, nie interesowało to nikogo. Ostatecznie każdy musi mieć jakiś odruch intymności.

— Może przygotować ci obiad? — wyczuł w głosie syna troskliwość.

— Zjadłem dziś co nieco w stołówce. Ale daj mi kawy.

[...] Usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku. Doliński wolno mieszał cukier.

— Opowiedz, jak do tego doszło?

— Jak miało dojść? Normalnie. W parku. Na ławce. Wieczorową porą.

— Tak nie będziemy rozmawiać!

— Przecież chciałeś znać szczegóły.

Doliński patrzył na syna ze zdziwieniem i z niedowierzaniem. Dopiero teraz zorientował się, że właściwie bardzo mało go zna.

Obaj, zalatani na co dzień, w gruncie rzeczy niewiele się widywali, każdy zajęty był własnymi sprawami. Ostatnio więcej rozmawiali o polityce, ale nie zawsze znajdowali wspólny język.

— Kazik — starał się mówić spokojnie, ale z trudem ukrywał napięcie — jesteś już pełnoletni i odpowiadasz za siebie, ty też ponosisz wszystkie konsekwencje swojego postępowania. Sprawa jest poważna. Z kim się zadałeś? Czy masz pewność...

— Czy mam pewność, że moje, chciałeś zapytać? Tak, mam pewność. Byłem jej pierwszym.

— Nie o to mi chodziło. Po prostu, czy masz pewność, że właśnie z nią chcesz sobie ułożyć życie? — zamilkł, bo zdał sobie sprawę z tego, że pytanie było po prostu głupie. Pewność! Czy nawet całkiem dorosły człowiek może mieć kiedykolwiek pewność?

Kazik potraktował jednak pytanie z całą powagą.

— Zakochałem się i chcę, aby dziecko przyszło na świat. O zabiegu nie ma mowy!

— Przecież o zabiegu nawet nie wspomniałem.

— Ale wolę cię uprzedzić!

— Więc co? Małżeństwo?

— Oczywiście!

— Jak to sobie wyobrażasz w praktyce? A właściwie powiedz, kim ona jest? Studentką?

— Na razie jeszcze uczennicą.

— Co? Z takim dzieckiem...

— Z nie takim znów dzieckiem! Ma osiemnaście lat i w tym roku zdaje maturę. To znaczy miała zdawać.

— Ona ciebie też kocha?

— Myślę, że tak. To jest miłość od pierwszego wejrzenia.

— Nigdy mi o niej nie mówiłeś... — powiedział Doliński z nutką żalu.

— Fakt. Ale kiedy miałem ci mówić? Żyjemy niby pod wspólnym dachem, ale każdy z nas obraca się we własnym kręgu. Ty masz redakcję, politykę, ja studia i też trochę polityki. A matka, jak matka. Zaganiana. Dom-szkoła, szkoła-dom. Tak to jest, prawda?

— Ale konsekwencje twego kroku będziemy ponosić wszyscy. Masz studia przed sobą. Nie wiem, jak to wszystko chcesz pogodzić.

— Dokładnie tego jeszcze nie przemyślałem. Ze studiów nie zrezygnuję z pewnością. Mogę dawać korepetycje z angielskiego.

— Powiedzmy. A gdzie zamierzacie zamieszkać? Tutaj?

— Na razie chyba tak. Jakoś zmieścimy się w moim pokoju.

— Co z jej maturą?

— Będzie zdawać jako eksternistka. Pomogę jej.

To już była rozmowa bardziej męska. Doliński czuł, że powoli opanowuje się. Kto wie, może myśl o tym, że zostanie dziadkiem, wcale nie była dlań taka niemiła?

— Tata, ale trzeba jakoś przygotować matkę. Ona nie będzie tym chyba zachwycona!

— Chyba! Dobry jesteś! Postawiłeś nas przed faktem dokonanym.

— Idę za twoim przykładem.

— To znaczy?

— To znaczy, że nie wierzę w to, iż ja jestem wcześniakiem.

— Nie rozumiem...

— Tata, teraz ty zaczynasz ze mną rozmawiać niepoważnie. Przyszedłem na świat siedem miesięcy po waszym ślubie. Obrączki i metryka urodzenia chyba nie kłamią. Owszem, zdarza się, że wystarczy tylko siedem miesięcy dojrzewać w łonie matki. Ale ja musiałem być fenomenem natury! Siedmiomiesięcznik, wcześniak, ale o wadze czterech i pół kilograma. Matka przechowuje w szkatułce taką małą opaskę, którą po narodzeniu miałem na ręku. I na tej opasce jest chemicznym ołówkiem wypisana moja ówczesna waga. Łyso ci, co?

Doliński roześmiał się. Nagle poczuł całkowite odprężenie.

Rzeczywiście syn okazał się świetnym detektywem. Nie na darmo zaczął studiować prawo!

— Tak, z matką — powiedział — będzie twardy orzech do zgryzienia. Jak my rozegramy tę partię?

— My?

— No my, mężczyźni, musimy trzymać się razem.

— Dobrze, ale to jeszcze nie koniec.

— Mianowicie?

— Musimy pomóc Majce.

— Ona tak się nazywa?

— Majka to od Marii. Jej rodzice nic przecież jeszcze nie wiedzą, a ona sama im tego nie powie.

— Więc co?

— Ty jesteś poważny facet. Pójdziemy do nich we dwójkę i jakoś wszystko załatwimy.

— To znaczy ja mam pójść z tobą i oświadczyć się o rękę tej Majki? Szybki jesteś zawodnik! A kim są jej rodzice?

— Popełniam mezalians, ale ty, członek partii, komunista w każdym calu, jakoś to zrozumiesz. Jej ojciec jest mechanikiem samochodowym.

— Nieźle. Nasz maluch będzie wreszcie pod stałą, fachową opieką.

— Tata, jeszcze ci wszystkiego nie powiedziałem.

— No to mów, do diaska!

— Jej ojciec działa w „Solidarności".

— Co?

— Nazywa się Pszczoła. Słyszałeś o takim?

— Kazik!... — Doliński przewrócił na stoliku szklankę z nie dopitą kawą. Uczynił to zupełnie niechcący...

c.d.n.

Narodziny odrębności

Powieść Anny Kajtochowej „Babcia" jest lirycznym wspomnieniem sielskiego dzieciństwa, w którym mityczna postać babci — opiekunki społegliwej i pierwszej życiowej przewodniczki — odgrywa rolę zasadniczą. Postać ta organizuje też w sposób niebagatelny narrację, staje się bowiem punktem odniesienia dziecięcych odkryć, zachwytów, marzeń, klęsk i przykrości — występuje zawsze jako surowa acz serdeczna korektorka dziecięcej wizji świata, ograniczonej zresztą zupełnie naturalnie do wiejskiej zagrody. W dziecięcej wyobraźni świat ów nabiera groźnego wyglądu, czają się wokół niebezpieczeństwa i zagadki przykuwające ciekawość młodziutkiego umysłu, podsycaną dodatkowo opowiastkami dorosłych. Dzieciństwo w powieści Anny Kajtochowej jawi się jako „tysiące wątpliwości, pytań stawianych sobie. Pytań bez odpowiedzi, jak życie bez początku i końca, jak dzień niezrozumiałych i jak noc groźnych, jak wieczór sennych i monotonnych, niespokojnych, zamykanych nagłym skurczem powiek i ciemnością, która pogrąża wbrew jakiemukolwiek chceniu". I tak już pozostało w życiu narratorki. Świat, który trwa, okazuje się ciągłą emanacją dzieciństwa — jedynie pytania zmieniły charakter. Zaś w chwilach zadumy nad przemijaniem warto z nostalgią pomyśleć o babci, która stworzyła — choć przecież nie potrafiła przekazać go wnuczce — świat doskonale spójny, w którym wszystko tkwiło na swoim miejscu i którego z góry ustalony porządek nie nadawał się do podważenia, w którym słowo życie okazywało się pojęciem precyzyjnym i znaczyło: dom, pole i las, urodziny, ślub, wesele i pogrzeb. Jak to w ogóle było możliwe? — zdumiewa się dziś narratorka. I ogarnia ją nostalgia za takim właśnie światem.

Rekonstrukcja dzieciństwa odbywa się w tej powieści w sposób bardzo prosty i naturalny zarazem, polega na ustawicznej konfrontacji marzeń z rzeczywistością. Myliłby się jednak ten, kto by przypuścił, iż obowiązuje tu zdecydowana, nieprzekraczalna granica. Rzeczywistość przedstawiona jakże często oscyluje na pograniczu baśniowości. Właśnie dziecięca egzotyka pozwala lepiej przyjrzeć się losowi wiejskiej dziewczynki, która miała ambicje skorzystania z kulturalnego awansu, wyjścia poza tradycję uświęconą pamięcią przodków, poza dokuczliwy konkret ubogiej egzystencji. W dziecięcej wyobraźni awans ów symbolizowało „najwyższe w okolicy drzewo. A nad drzewem słońce. Jeszcze parę kroków i dojdę do słońca, a potem do nieba. I wtedy już nigdy nie będzie zimna. Zawsze będzie ciepło". Znamienna to symbolika, wyrażona przy pomocy wartości najprostszych, zmysłowo odczuwalnych.

Prostota i niewymyślność to zalety tej prozy, w której odchodzenie od dotychczasowej wspólnoty nabiera charakteru ponadjednostkowego. Istotną rolę spełnia w tym zakresie szkolna edukacja oraz zachłanne czytanie wszystkiego, co tylko w rękę wpadnie, z brukowymi powieściami łącznie, pokazującymi w sposób ckliwy i kiczowaty istnienie lepszego losu. Obcowanie z książkami budzi świadomość językową, poczucie nieuniknionego acz niezawinionego odejścia od naturalnego otoczenia, od wiejskiego podglebia: — „Język, którego używam, a musi on być śmieszny dla mojego otoczenia, posługującego się li tylko gwarą z mnóstwem łacińskich naleciałości w rodzaju «kurwa» — że łacińskie dowiedziałam się po wielu latach — w naturalny sposób odsuwa mnie od swoich..."

Anna Kajtochowa: „Babcia", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, s. 176, nakład 10 000 plus 283 egz., cena zł 60.—

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Dlaczego odeszli z ŁKS?

Dokończenie ze strony 1

okazało, ludzie szepcący sobie na ucho sensacyjne wiadomostki, mieli niestety rację!

Jak się rzekło, najpierw wybuchła „bomba" z „Tomkiem". Liga kończyła się, chciał więc wiedzieć co dalej oraz jak przyjęto jego wcześniejszą propozycję. Czekał cierpliwie i nie mógł się jakoś doczekać odpowiedzi. Wobec tego, nie namyślając się wiele, składa podanie o zwolnienie. Brzmi ono:

„Proszę o zwolnienie mnie z funkcji szkoleniowca pierwszoligowej drużyny ŁKS i jednocześnie proszę o rozwiązanie ze mną umowy o pracę zgodnie z Kodeksem Pracy".

Podpisane: *Jan Tomaszewski.*

Nie było mowy o żadnych ofertach zagranicznych klubów oraz innych pierwszoligowych zespołów w Polsce. Leszek Jezierski czytał również to podanie, a po meczu z Górnikiem Wałbrzych odbyła się pożegnalna kolacja w gronie ludzi, którzy do tej pory ze sobą współpracowali. Porozmawiali ze sobą i w najlepszej komitywie się rozeszli.

Podanie dotychczasowego asystenta Leszka Jezierskiego wpłynęło na posiedzenie Zarządu. Jan Tomaszewski zaś w tym czasie przebywał w Warszawie, gdzie miał egzaminacyjną sesję. Znakomite gremium przyjęło rezygnację, zaś dodatkowe rozmowy miał z nim przeprowadzić prezes — Zdzisław Kwapisz. Podczas tego samego posiedzenia (proszę to zapamiętać) postanowiono, że Leszek Jezierski zostaje nadal pierwszym trenerem zespołu, zaś Zygmunt Gutowski jego asystentem! I wielokrotny „Trener Roku" udał się spokojnie wraz z drużyną do Finlandii. Popijał tam sobie mleko, wypoczywał i rozmyślał nad czekającym ich nadchodzącym sezonem. W drodze powrotnej do Polski dzielił się nawet planami z towarzyszącym ekipie łódzkim dziennikarzem. Prom przybił do brzegu, Leszek Jezierski wsiadł do autokaru i przyjechał do Łodzi. Było to w pewną niedzielę wieczorem...

2. PO POWROCIE Z FINLANDII

Tymczasem prezes ŁKS — Zdzisław Kwapisz odbył rozmowę z „Tomkiem". Oświadczył mu, że jego podanie zostało przyjęte, ale ŁKS całkowicie nie rezygnuje z jego usług. Prezes zaoferował mu, żeby samodzielnie podjął pracę w trzecioligowym Orle. Jak wiadomo oba kluby łączy stała współpraca. Nie trzeba było jednak czekać długo na rozwój wypadków związanych z osobą Tomaszewskiego. Tuż przed powrotem ekipy ŁKS z Finlandii podjął on treningi z nowym zespołem. Nie zastał zbyt dobrej sytuacji w wojskowym klubie. Ale to już temat na inne opowiadanie. Ważne, że zaczął pracować na własny rachunek...

Następnego dnia po powrocie z Suomi, czyli w czerwcowy poniedziałek rano, Leszek Jezierski znalazł się w klubie. Dzielił się wrażeniami z podróży. Niżej podpisany zastał go w „Czarnym Koniu" przy obiedzie. Razem z nim siedzieli: Paweł Kowalski — trener Boruty Zgierz, kolega z boiska zresztą, Wiesław Gołębiowski — kierownik drużyny oraz Wacław Kaczmarek — były współpracownik Jezierskiego. Nikt z obecnych nie przypuszczał, że nad Jezierskim gromadzą się czarne chmury. Nic przecież nie wskazywało na to. Zygmunt Gutowski był w domu ponieważ lekko przeziębił się podczas powrotu do kraju, zaś do Jezierskiego zgłosili się futboliści Wesołowski i Rojewski, którzy kończyli służbę wojskową w Orle i chcieli wiedzieć co będą robić po powrocie do macierzystego klubu.

— *Trenerze, czy możemy z panem pogadać?* — padło pytanie.

Jezierski wszystkich przeprosił i poszedł z nimi porozmawiać...

Tego samego dnia po obiedzie, w lokalu oddalonym od „Czarnego Konia" o kilkanaście metrów, zebrało się Prezydium ŁKS. O czym panowie Kwapisz, Gliszczyński, Morawiec, Pekacki i inni rozmawiali? Ustalili, że niestety nie będą mogli współpracować również z Leszkiem Jezierskim, który w minionych rozgrywkach nie osiągnął zbyt dobrych rezultatów. Specjalny kurier, czyli kierownik drużyny Wiesław Gołębiowski, udał się do Sokolnik, gdzie trener wypoczywa i zakomunikował mu, że w ciągu najbliższych dni ma się zgłosić do prezesa Zdzisława Kwapisza. Kierownik zespołu nie za bardzo wiedział, o co chodzi. Jezierski zorientował się jednak, że wokół jego osoby nie jest za dobrze.

Następnego dnia zjawił się w gabinecie prezesa ŁKS. Od razu zrozumiał, że przestał być trenerem drużyny. Dowiedział się także, że nikt go z klubu nie wyrzuca. Zapytano go również kogo widzi swoim następcą. Jezierski wskazał na Zygmunta Gutowskiego, najbliższego współpracownika, co nie wywołało zbytniego zdziwienia u prezesa. Następnie przez dwie i pół godziny przekonywał swego asystenta by objął drużynę.

— *Będzie to kontynuowanie wspólnych wysiłków* — to był najważniejszy argument.

W końcu Zygmunt Gutowski przyjął propozycję i zgodził się zostać szefem pierwszoligowej jedenastki.

3. PRZYPOMNIENIE

W ten sposób odeszli z klubu dwaj związani z nim trenerzy — Leszek Jezierski i Jan Tomaszewski. Pierwszy zdobywał z drużyną mistrzostwo Polski i Puchar Polski, jedyne zresztą jak do tej pory liczące się osiągnięcia, następnie był trenerem i po raz trzeci rozstano się z nim w podobny niemalże sposób. Za pierwszym razem dowiedział się o tym, że przestał być trenerem z łódzkiej prasy. Zatrudniono fantastycznego, węgierskiego szkoleniowca, który miał być zbawcą drużyny ŁKS. Zatelefonowano wtedy do Węgierskiego Związku Piłki Nożnej z prośbą o wskazanie odpowiedniego kandydata.

— *Mamy takiego jednego* — padła szybka odpowiedź. — *Przebywa aktualnie w Afryce Północnej i bardzo chętnie skorzysta z ŁKS-owskiej propozycji.*

I cóż się okazało? Był to specjalista od piłki ręcznej i nie miał „zielonego pojęcia" o futbolu! Tak to jest, gdy amatorzy zabierają się do załatwiania ważnych spraw. Coś z tego zostało także do dzisiejszych czasów. Widać tradycji musi się stać zadość.

Drugie odejście Leszka Jezierskiego — to słynny konflikt z Tomaszewskim, Dziubą i Miłoszewiczem. Jest on wszystkim doskonale znany i nie będziemy wdawali się w szczegóły...

Natomiast Jan Tomaszewski ma wiele do zawdzięczenia ŁKS, który w najcięższych dla niego chwilach życia podał mu rękę. Jeden z najlepszych bramkarzy na świecie chce zostać dobrym szkoleniowcem. Miał swoje trenerskie wizje. Widać komuś się to nie podobało, że zbyt szybko chce sięgać po laury jako samodzielny pracownik, robić wszystko na własny rachunek. „Fachowcy" twierdzili, że musi najpierw popracować z młodzieżą, później z zespołem niższej klasy, a następnie musi zająć się pierwszoligową drużyną. „Tomek" powiedział: — *Okey! Wola twoja panie.*

I uczy się, jak sam twierdzi, trenerskiego fachu w Orle...

Żeby całokształt spraw związanych z odejściem Jezierskiego i Tomaszewskiego z ŁKS był pełny trzeba wziąć pod uwagę i to, że panuje pewna rozbieżność pomiędzy informacją „Expressu Ilustrowanego" oraz „Głosu Robotniczego" i „Dziennika Łódzkiego", które podały oficjalną z kolei wersję opuszczenia klubu przez Jezierskiego. Nie wiadomo zatem do dziś czy odszedł bo jest chory czy dlatego, że nie osiągnął dobrych rezultatów?!...

4. DŁUGA ROZMOWA W SOKOLNIKACH

Sokolniki, wypoczynkowa miejscowość pod Łodzią. Przyjechaliśmy wraz z Tomaszewskim do „chorego" Jezierskiego.

— Czy Leszek jest w domu?

— *Oczywiście. Jest niedaleko u sąsiada* — wyjaśnia Henryka Jezierska.

Po wymianie grzeczności przechodzimy do właściwego tematu.

— Po Łodzi krąży fama, że znowu pokłóciliście się. Najpierw „umyto" Tomaszewskiego, a później on „podrobił" ciebie. Była to swoista zemsta z jego strony, a tak odebrało to wielu...

LESZEK JEZIERSKI: — *Kto mógł coś takiego wymyślić! To przecież bzdura. Masz najlepszy dowód, że siedzimy sobie teraz razem i rozmawiamy. Czy tak w stosunku do siebie zachowują się wrogowie? Może gdzieś tam w pierwszym odruchu, kiedy byłem zdenerwowany, mogłem tak pomyśleć. Nie, to jednak w sumie jest niemożliwe. A ponadto proszę cię bardzo byś pokazał mi tę „jamę"? Adres przecież mój znasz.*

JAN TOMASZEWSKI: — *Namawiałem cię do przyjazdu tutaj. Sam naocznie możesz przekonać się, że te wszystkie plotki, stwarzane przez nieodpowiedzialnych ludzi, są po prostu wyssane z palca. W kilka dni po jakcie zwolnienia z ŁKS, przyjechałem do Leszka, do Sokolnik. Pogadaliśmy sobie i zapewniłem go lojalnie, że nie ja byłem sprawcą jego odejścia z klubu. Nie był to akt zemsty. Zresztą Leszek ci to potwierdzi.*

L. JEZIERSKI: — *To prawda. Powoli domyślamy się kto nas „rozprowadził..."*

— Chorujecie na ŁKS?

L. JEZIERSKI: — *Ja już po raz trzeci. Ale czy to ważne? Po prostu pożegnali się z nami w ŁKS i koniec. O czym tu dyskutować? Nadal zresztą jestem pracownikiem klubu i czekam na propozycję wiceprezesa do spraw piłki nożnej — Edwarda Gliszczyńskiego. Wypoczywam. Jak długo to potrwa, to naprawdę trudno mi powiedzieć. Na chorego fizycznie nie wyglądam, ale to już inna sprawa.*

J. TOMASZEWSKI: — *Może podobnie jak Leszek będę musiał nauczyć się dyplomatycznych wybiegów. Wszak to dopiero początek mojej trenerskiej kariery, a już stanąłem przed problemem rozplątania różnych zawiłości. Przez całe życie człowiek uczy się. W każdym razie nie zamierzam „chorować na ŁKS" tyle razy co Leszek.*

— Spróbujmy zatem zastanowić się wspólnie, dlaczego musieliście opuścić ŁKS. Najpierw „Tomek", później Leszek. W lutym przecież dogadaliście się, że wasze drogi rozchodzą się. Podziękowano jednak wam obu. Dlaczego?

L. JEZIERSKI: — *Dowiedziałem się od prezesa Kwapisza, że Prezydium ŁKS nie jest za bardzo zadowolone z wyników mojej pracy z drużyną w ubiegłym sezonie. Było to równoznaczne z moim odejściem. Człowiek teraz myśli o wielu sprawach. Może gdybyśmy przedostatni mecz z Górnikiem Wałbrzych, na własnym boisku wygrali, to najprawdopodobniej bylibyśmy o kilka miejsc wyżej i byłoby „po sprawie"? A tak po raz trzeci zaznałem goryczy odejścia. Najgorsza w tym wszystkim jest dwulicowość działaczy. Po przyjęciu rezygnacji „Tomka" i zatwierdzeniu mnie na trenera pierwszoligowej drużyny, po przyjeździe z Finlandii muszę natychmiast pakować manatki.*

Z drugiej strony rozumiem, że działacze chcieli szybko osiągnąć dobre wyniki, może nawet udział w europejskich rozgrywkach. Szansa taka była nawet na wiosnę, kiedy to wygraliśmy w Pucharze Polski z Lechem Poznań, ale z bilansu obu spotkań musieliśmy odpaść. Nie będę przypominał tutaj afery z sędzią Janem Labusem. Przecież działacze i kibice widzieli jak na dłoni, że zostaliśmy „wyrolowani". Myśmy sami liczyli na więcej.

Gdy na to wszystko spojrzy się chłodno, to trzeba zastanowić się, z jakim zespołem mielibyśmy występować w europejskich rozgrywkach. W ostatnim czasie udało nam się załatwić tylko jeden transfer. Przeszedł do nas Krzysztof Baran z warszawskiej Gwardii. Uważam, że Krzysio ma zadatki na dobrego środkowego napastnika. I to było wszystko. Działacze wymagają od nas dużo, ale czy przez okres naszej pracy w ŁKS wykazali się dobrą robotą organizacyjną? By wiele żądać trzeba coś najpierw zanewnić.

Sam jestem zresztą zwolennikiem osiągania szybkich rezultatów. Świadomie odmładzaliśmy drużynę licząc na efekty pracy po kilku latach. Ponieważ dowiedzieliśmy się w klubie, że na transfery nie ma pieniędzy, to jeździliśmy wraz z „Tomkiem" po okolicznych klubach. Tak m. in. przyszedł do nas Bendkowski, Kasztelan, Gajda, Bako itd.

J. TOMASZEWSKI: — *Leszek ma rację. Doszliśmy do wniosku, że przy braku możliwości finansowych i organizacyjnych trzeba będzie opierać zespół na własnych wychowankach i młodych zawodnikach z okolicznych klubów. Nie mogliśmy pozwolić sobie, tak jak Widzew, na kupno Dziekanowskiego, Wijasa, Wójcickiego. Kiedy odsunęliśmy od drużyny Milczarskiego, Galanta i Bulzackiego, zaraz odezwały się głosy, że „Tomek" rozlicza się ze swymi byłymi kolegami z drużyny, z którymi przez pewien czas występował razem na boisku. W końcu jednak wyszło na moje. Galant nie za bardzo pograł sobie w GKS Bełchatów, zresztą szybko skończył karierę, zaś sprawy Milczarskiego są kibicom doskonale znane. Najpierw nie przeszedł pomyślnie testów w RFN, następnie zgłosił się do Zagłębia Sosnowiec, wystąpił w kilku meczach i w końcu trenerzy powiedzieli mu, by grał w rezerwach. No i co?*

Rozpoczęliśmy przemyślaną pracę z młodzieżą. Z drużyny juniorów, która zdobyła mistrzostwo Polski przeszło kilku zawodników. Chyba dopiero od tego sezonu zaczęłoby wszystko procentować, trzeba było jednak przerwać pracę. Nie ma na to rady!

— Słyszałem jednak o zarzutach, że treningi w ŁKS były zabójcze dla zespołu. Zbyt duża dawka wysiłku powodowała, że forma gasła u schyłku ligowej batalii. Dodatkowo zaś nie wszyscy młodzi zawodnicy mogli wytrzymać taki treningowy reżim, przez co nie robili postępów. Co wy na to?

L. JEZIERSKI: — *Nie zgadzam się. Czy moi przeciwnicy nie pamiętają ostatnich meczów z Górnikiem Wałbrzych (do przerwy prowadziliśmy przecież 2:0) i choćby z Szombierkami Bytom, gdzie wygraliśmy na wyjeździe. A mecz z poznańskim Lechem w Pucharze Polski? Najlepsze spotkanie jedenastki ŁKS na przestrzeni ostatnich lat! Następnie był dobry występ, choć w przegranym meczu z warszawską Legią, a potem przyszło załamanie drużyny.*

Nie chcę fetyszyzować tutaj czynników psychicznych. Weźmy jednak pod uwagę, że zawodnikom przeleciała koło nosa szansa zdobycia Pucharu Polski i związana z tym wysoka premia pieniężna. Mimo dobrego występu w Warszawie, brak było również sportowej satysfakcji. Przyszło zniechęcenie, ale w decydujących meczach, z potencjalnymi kandydatami do spadku, drużyna potrafiła dobrze grać w piłkę. Nie wspomnę tutaj o kontuzjach i kartkach, które są także wypadkową, takich, a nie innych rezultatów. Nie brało się widocznie tego pod uwagę.

J. TOMASZEWSKI: — *Zgadzam się, że gdzieś w środku rozgrywek przyszło lekkie załamanie formy. Chciałbym jednak dodać, że przecież nie ma takiego specjalisty, albo taki się jeszcze nie narodził, który potrafiłby pułap formy utrzymać na wysokim poziomie przez cały cykl rozgrywek. Nikt w futbolu ponadto nie wymyśli lepszej rzeczy, niż dobre fizyczne przygotowanie do ligowych rozgrywek. By zawodnik miał szansę pokazania swych umiejętności technicznych i to nawet w końcowych fragmentach spotkania, musi najpierw mieć siłę, by móc biegać po boisku przez pełne 90 minut. Nie chcę ukrywać, że położyliśmy nacisk na przygotowanie fizyczne zespołu. W tym właśnie widzieliśmy szansę skutecznego rywalizowania z innymi, pierwszoligowymi zespołami. Ponieważ drużyna posiadała ogromne braki techniczne, w takim właśnie treningu widzieliśmy dla niej szansę zdobywania punktów. Tak było źle, a Bako, Bendkowski i Różycki powoływani byli do różnych reprezentacji? Nie bardzo zatem rozumiem tych zarzutów.*

Dodam zresztą od siebie, że wiele nauczyłem się od Leszka Jezierskiego i na pewno wiele rzeczy wykorzystam w swojej trenerskiej pracy. A to że rozeszliśmy się, nie ma nic do sprawy. Nie miało to także wpływu na występy ligowe drużyny. Chciałem po prostu pracować na własny rachunek. Nie wolno mi mieć takich ambicji i zamierzeń? Wolno. Tak samo, jak każdemu wolno chcieć grać w piłkę nożną na wysokim poziomie. Różnica jednak pomiędzy mną a innymi polega na tym, że ja coś w sporcie jako zawodnik już osiągnąłem. Teraz chcę osiągnąć jako trener.

— Nadal, nie za bardzo wiem zatem, dlaczego odeszliście? A może nie podobał się wasz styl życia?

L. JEZIERSKI: — *Licho wie, co człowiek ma myśleć i co robić! Nie przeczę, lubię pograć w karty, a alkohol piję z umiarem. Nigdy jednak nie czyniłem tego podczas treningu i ligowych spotkań. Zawsze po pracy i tylko w gronie przyjaciół, lubiłem pograć w „kierki" i napić się kieliszek koniaku. A co, nie wolno mi było? Nie wpływało to nigdy na moją pracę z drużyną. Czy może to być argument do zwolnienia? W innych klubach, nie będę podawał ich nazw, prowadzi się bardziej „rozrywkowy" styl życia, ale tam nikt z tego powodu do szkoleniowca nie przyczepia się.*

J. TOMASZEWSKI: — *Ostatecznie jestem dorosły i wiem co mam po pracy robić. Przez pewien okres jeździłem po domach zawodników (po godz. 22) i sprawdzałem czy są obecni. To był zapał, nieprawdaż? Czy może sobie ktoś wyobrazić, że mogłem czynić to „na gazie". Ja ich trener? Poza tym wszyscy doskonale orientują się, że jestem członkiem PRON i udzielam się społecznie. Nigdy jednak nie kolidowało mi to z trenerską pracą. Mówię to z całą odpowiedzialnością!*

— Na ŁKS mimo wszystko chyba się nie gniewacie? Jeżeli chcielibyście ponownie podjąć pracę w tym klubie i osiągnąć liczące się wyniki z pierwszą drużyną to...

L. JEZIERSKI: — *„musiałyby się zmienić formy pracy działaczy. Nie można, nawet społecznie pracować po amatorsku. Zawsze twierdzę, że w każdej dziedzinie życia, tak jak i w piłce, muszą działać fachowcy. Nie będę jako szlachetny przykład podawał tutaj Widzewa, którego potęgę również stworzyłem. Mogę chyba tak powiedzieć. W tym klubie jednak prawidłowo podchodzi się do problemu futbolu, który, co tu dużo ukrywać, jest faktycznie zawodowstwem. A takich dżentelmenów jak prezes — Sobolewski z Widzewa, Nowak z Lecha Poznań i Noraz z Ruchu Chorzów nie znajdziesz w całej Polsce, a tym bardziej w ŁKS. Nie ukrywam także, że na dobrą piłkę potrzebne są również odpowiednie środki finansowe.*

J. TOMASZEWSKI: — *...gdyby przyszło mi kiedykolwiek pracować w ŁKS jako samodzielny szkoleniowiec (może się zdarzy?), to byłbym za tym, aby w tak wielosekcyjnym klubie jakim jest ŁKS, stworzyć fachowy, wąski kolektyw działaczy, którzy kierowaliby stroną organizacyjną sekcji piłki nożnej, a szczególnie pierwszego zespołu. Zarząd jako taki powinien tylko pewne rzeczy przyjmować do wiadomości. Podczas jednego takiego posiedzenia, kiedy omawiane były sprawy szkoleniowe, jeden z działaczy zapytał Leszka Jezierskiego, dlaczego obóz przygotowawczy trwać będzie dziesięć, a nie — jak jego zdaniem — siedemnaście dni, bo wtedy właśnie (!) osiąga się dobre wyniki. A ja mógłbym się w tym momencie zapytać, dlaczego np. nie dwadzieścia pięć dni? I na tym tle powstawały w ŁKS konflikty. Podczas tego samego posiedzenia szef szkolenia — Wiesław Augsburg zaczął operować pewnymi fachowymi sformułowaniami, wyjętymi zresztą, prosto ze „Sportu Wyczynowego". Gdyby jego „uwagi" trzeba było przenieść na grunt piłki nożnej, sezon powinien trwać przynajmniej przez 3 lata! A proszę pokazać mi takiego fachowca, który będzie w stanie „doradzać" jako szef szkolenia oczywiście w czterech na raz wiodących dyscyplinach, jakie są w ŁKS, a mianowicie — w piłce nożnej, koszykówce, siatkówce i hokeju na lodzie. I symptomatyczne, że we wszystkich tych sekcjach nastąpiło obniżenie poziomu i zostali zmienieni trenerzy. Czy winni byli tylko szkoleniowcy?*

A po tym wszystkim, co ŁKS zawdzięczam, zawsze jestem do jego dyspozycji.

L. JEZIERSKI: — *Słusznie „Tomek". Szanuję twój zapał. Nawet najzdolniejszy piłkarz po zakończeniu kariery nie od razu staje się dobrym szkoleniowcem. Na to trzeba czasu, przejścia odpowiednich etapów szkoleniowych i trenerskiego dyplomu. I życzyłbym ci spełnienia twoich zamierzeń.*

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

Polemiki • Listy • Opinie

„BRAĆ CZY DAWAĆ?"

Pytanie: „Brać czy dawać?" nabrało ostatnimi laty mocy niemalże słynnego, szekspirowskiego „Być albo nie być". Jedni dają aby być kimś lepszym, drudzy biorą, aby nie być kimś gorszym. Żeby jednak dawać, trzeba samemu mieć trochę grosza, żeby brać nie trzeba mieć nic, oprócz lepkich rąk i pewnych wpływów. Kryzys, jaki zapanował w naszej rodzimej gospodarce sprzyjał i nadal sprzyja rozwojowi i rozprzestrzenianiu się łapownictwa, zjawiska skądinąd znanego już u nas dużo wcześniej.

O ile wierzę, że większość z nas nie bierze, o tyle jestem przekonany, że każdy przynajmniej raz w życiu musiał dać. Czyż nie płaciliśmy portierowi w szpitalu, żeby nas wpuścił, gdy nie ma odwiedzin, czy nie dawaliśmy salowej w kieszeń, żeby podała liścik żonie po urodzeniu dziecka, czy nie dawaliśmy lekarzowi koniaczku za dobrą opiekę nad nami, czy nie płaciliśmy państwowym fachowcom za prawdziwą naprawę, a nie partactwo itd. itp. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Płacimy za to, że ktoś z naszego powodu łamie przepisy, a więc ryzykuje.

Ale najgorsze, że płacimy także za to, co należy do czyichś obowiązków służbowych, wynikających z umowy o pracę i za co ten ktoś już jest raz wynagradzany. Rozpieściliśmy tym dawaniem niektórych do tego stopnia, że bez łapówek nie wyobrażają sobie życia. Z drugiej strony wśród osób, które notorycznie dawały i dają i weszło im to już niejako w krew, jednostka która nie chce brać wzbudza podejrzenie i traktowana jest, jako czynnik wybitnie antyspołeczny.

Opowiadał mi pewien młody lekarz swoje przeżycia podczas pracy na wsi. Otóż w miejscowej przychodni pracowało dwóch lekarzy. On i jego starszy kolega. Była to jego pierwsza praca. Początkowo rzecz jasna, miał pacjentów niewielu, ale z biegiem czasu liczba stale rosła. Był miły, grzeczny, słowem starał się wykonywać swoje obowiązki najlepiej jak potrafił. Po pewnym czasie ludzie zmiarkowawszy widocznie, że jest swój chłop, zaczęli mu przynosić kosze pełne jajek, mięsa, drobiu, pieniądze w kopertach, wódkę lub bimber. Wszystkim bardzo dziękował, ale kategorycznie odmawiał przyjęcia łapówek. To spowodowało, że wkrótce stracił pacjentów zupełnie.

Ten paradoksalny przypadek, choć zapewne często spotykany w życiu, świadczy jak bardzo w ludzkiej mentalności utkwiło samo dawanie czegoś, praktycznie za nic. Nawet umiejętności zawodowe zaczęły być oceniane zupełnie inaczej. Ten jest dobrym fachowcem i będzie się starał zrobić dla nas dużo więcej niż powinien, który bierze. Ten, który nie bierze, niewiele widocznie umie i boi się wziąć, gdyż i tak na nic więcej go nie stać.

Pewien młody człowiek, mający w swojej pracy wpływ na przydział różnych towarów, opowiadał mi historię, która znakomicie obrazuje dawanie dla zasady i z przyzwyczajenia, a także ludzką naiwność. Otóż ten młody pracownik zauważył, że w jego zakładzie pracy branie jest nagminne i należy do dobrych obyczajów. Brzydził się tego strasznie i cieszył jednocześnie, że jego to omija. Radość nie trwała zbyt długo. Po jakimś czasie zaczął dostawać przeróżne prezenty i prezenciki. Walczył z tym jak mógł. Nic nie przyjmował. Wszystko odsyłał z powrotem. Zaczęto więc wykorzystywać do dawania jego imieniny oraz inne okoliczności. Ugiął się, ale postanowił dać tym „dawaczom" nauczkę w inny sposób. Przydzielał im gorsze towary, w dodatku w ilościach mniejszych niż im się to należało. Ryzykował, ale myślał, że to odniesie pożądany skutek. Nic, absolutnie nic! Jeszcze mu dziękowano!

Nie należy jednak zapominać, że bardzo często ci dający są także tymi, co biorą. Niektórzy biorą wręcz nachalnie. Potrafią robić słodkie minki szczerzyć zęby w idiotycznym uśmiechu, obiecując wszystko, jednocześnie żądając bezczelnie pewnego ekwiwalentu.

Parę lat temu Jacek Fedorowicz stwierdził w jednym ze swoich radiowych felietonów, że nie ta praca jest najlepsza, gdzie dobrze płacą. Wprost przeciwnie. Płacić mogą marnie, byleby tylko było to przedsiębiorstwo lub zakład, produkujący (sprzedający) deficytowe artykuły, żeby w tym zakładzie był jak największy bałagan i żeby panował w nim „łapówkowy duch". Wówczas można spokojnie brać i dzielić państwowy towar według własnego uznania, tzn. wśród tych, którzy dali najwięcej. Powstaje w ten sposób cicha forma licytacji.

Lekarz bierze od pacjenta, ale musi dać w sklepie, żeby jeść szyneczkę. Kierownik sklepu też musi dać, żeby mieć lepszy towar. Akwizytorowi z kolei psuje się samochód, więc daje na stacji. Synowi właściciela stacji grozi dwója na koniec roku. Trzeba dać nauczycielowi. Jego dziecko akurat zdaje na studia, więc gotówka się przyda dla profesora. Profesor lubi poczytać dobre książki, ale ich normalnie nie kupi. Gdy jednak coś da, księgarz nie zapomni zostawić paru książeczek. Z kolei księgarz czeka na mieszkanie. Gdy da może będzie czekał krócej. Urzędnik...

Ostatnio występuje łapownictwo w postaci bezgotówkowej. Ma ono cechy wymiany naturalnej, z czasów, gdy jeszcze nie znano pieniędzy. Tylko wtedy, ci co wymieniali byli właścicielami tych towarów. Obecnie własność jest społeczna, ale nikomu to nie przeszkadza.

Problem łapownictwa istnieje już od lat i jest bez wątpienia problemem trudnym do wykrycia jak i do rozwiązania. Trudność polega na tym, że wszystko odbywa się zawsze po cichu, szybko i dyskretnie. Niepisana umowa (poparta odpowiednimi „argumentami") nakazuje obu stronom milczenie. Co jest zresztą zrozumiałe.

Na tytułowe pytanie: „Brać czy dawać?" odpowiedź może być tylko jedna. Nie brać ani nie dawać. W tym miejscu chciałoby się rzec: łatwo powiedzieć, trudniej zrealizować, zwłaszcza gdy życie zmusza nas do czegoś zupełnie innego. Na zlikwidowanie łapownictwa przyjdzie nam zapewne jeszcze długo poczekać. Ma ono szansę zniknięcia dopiero wówczas, gdy wszystkie artykuły na rynku i usługi będą powszechnie dostępne dla wszystkich. Choć nie jestem przekonany, czy i wtedy zmora brania i dawania zniknęłaby z naszego życia całkowicie.

Myślę jednak, że najwyższy już czas skończyć z rozpieszczaniem (czytaj: dawaniem) tych, od których coś zależy. Bo pomóc możemy sobie tylko sami. Tylko od nas i od naszej, zdecydowanej postawy zależeć będzie to, czy rozwój tego niepokojąco szybko rozszerzającego się zjawiska ulegnie zahamowaniu.

WITOLD LEWANDOWSKI

JAK SIĘ ROBI SMRODEK

Oj — dostało mi się od Pani Sobockiej! Choć nie bardzo pojmuję, skąd się biorą Jej podejrzenia (a nie pewność), że ze Spółdzielnią „Polesie" jestem związany skoro nie podpisywałem się np. „Życzliwy" lub podobnie, a pełnym imieniem i nazwiskiem. Sprawdzić łatwo. A co do źródeł informacji? Przecież sama Pani S. pisała „...od marca 1984 r. weszłam w skład Rady Nadzorczej...": Nie rozumiem również dlaczego jako osoba raczej pełnoletnia i wiedząca, co czyni — miałbym być inspirowany i „wpuszczany w maliny" tak jakbym sam nie był zdolny do myślenia. Tajemnicza jest także myśl, iż o właściwym stosunku do spraw Spółdzielni winienem sądzić z wystąpień z czerwca, skoro opierałem się na tekście z maja, zawierającym sformułowania o nielicznych, niekochanych lecz nieugiętych społecznikach i o Radzie, która widocznie uważa, że wszystko trzeba akceptować.

Nic to! Skoro nie odczytano mojego ataku na sposób, a nie meritum oraz przypisuje mi się niezłomną chęć bronienia kogokolwiek — rzeczywiście nic na to nie poradzę.

W tymże numerze „Odgłosów" (z 21 lipca br.) skwitował mnie również Jamnik. W przeciwieństwie do P. Sobockiej — pozytywnie (prawie) i nieco protekcjonalnie. A gdy wróciłem z urlopu z Lądka Zdroju i stwierdziłem, iż prawie cała 11 strona jest w ten czy inny sposób związana z moją skromną osobą — ogarnia mnie przerażenie, czy nie będzie to nowe źródło moich kompleksów? Już i tak co poniektórzy mówią mi: „Afelt — ile ty tych listów do Redakcji piszesz i o co ci właściwie chodzi?"

Rzeczywiście — o co chodzi? A może sam nie wiem (już taki jestem zakompleksiały ekshibicjonista!). Wracam jednak do głównego — jak je odczytałem — zalecenia Jamnika: mimo wszystko czytaj prasę centralną (warszawską).

Otóż — nie jest ze mną tak źle. Poprzednio przyznałem się tylko do nieczytania „Przeglądu Tygodniowego". Ale inne periodyki? Oczywiście —— czytuję. Czego najlepszym dowodem dzisiejsza korespondencja i jej tytuł: „Jak się robi smrodek".

Wychodzi w stolicy tygodnik pt. „Perspektywy". A w numerze 28/84 tegoż znalazłem produkcję Krzysztofa Masłonia pod tytułem „Orgazm w aerozolu".

Pan Masłoń rozprawia się z kolejnym numerem „Rock-Estrady", a konkretnie z autorem tekstów i redaktorem pisma — p. A. Jóźwiakiem. I daj mu Boże, bo ma rację. Teksty p. Jóźwiaka, które budziły moje wątpliwości jeszcze w czasach, gdy drukowano je w „Odgłosach" — to rzeczywiście pokaz i przegląd tematyki pollucyjnej (to słowo powtarzam za Jamnikiem!), podlanej sosem „...gdzie to ja nie byłem z kim się nie widziałem i co robiłem — klękajcienarody...".

Pominąłbym nawet sam tytuł, na tyle pikantny, że zwracający uwagę czytelników. Choć dlaczego „w aerozolu", a nie w pigułce, skoro wiemy o szkodliwości freonu na skład atmosfery (kiedyś o tym pisałem)?

Nie mogę jednak pominąć pewnego drobiazgu. Pisze p. Masłoń: „... popisy hucpy kilku osób, zbliżonych do łódzkiego środowiska estradowego..." Dalej zaś — iż przydałby się rozum w aerozolu, a jeśli tak — to jak go dostarczyć do Łodzi i Lublina? („Rock-Estrada" wydawana jest w Lublinie).

I jak Wam się podoba?

Znów muszę atakować — jak w przypadku p. Sobockiej — nie meritum, a sposób. I znów podpisuję się pełnym imieniem i nazwiskiem, choć p. Jóźwiaka znam osobiście. Bo rzecz w tym, że — o ile się orientuję — redaktor „Rock-Estrady" ma obecnie z Łodzią i łódzkim środowiskiem estradowym (a co to znaczy?) tyle wspólnego, że w mieście tym mieszka. Lat temu kilka — oczywiście! Był osobą w tym środowisku znaczącą. Lecz nie dziś. Pan Masłoń tego raczy nie zauważać, lub jest nie doinformowany. Daje więc powieloną w kilkuset tysiącach egzemplarzy receptę, iż w Łodzi i Lublinie przydałby się rozum, a działanie p. Jóźwiaka wiąże niezwłocznie ze „środowiskiem" i miastem. Prowincjonalnym oczywiście, gdyż jeśli nawet coś się źle dzieje w stolicy — to jest to sprawa niejako wewnętrzna, o której wara mówić postronnym.

Aha — i jeszcze jedno: naprawdę nie jestem związany z „łódzkim środowiskiem estradowym", cokolwiek by przez nie rozumieć. Tym samym nie bronię nikogo personalnie, bo nie mam w tym interesu, gdyby rzecz traktować trywialnie. Tak jak nie miałem interesu w bronieniu kogokolwiek ze Spółdzielni „Polesie" i w ślad za tą „obroną" nie poszły żadne podwyżki czy premie. Proszę mi wierzyć.

Jeśli więc choćby jedna osoba więcej będzie od dziś przekonana o motywach mojej pisaniny — to uznam to za swoje prywatne zwycięstwo, niejako za podsumowanie rocznej, choć niezbyt regularnej działalności.

WITOLD AFELT

WSPOMNIENIE Z WRZEŚNIA 1939 R.

Wtorek 5.IX.1939 r. godz. 5.30 Łódź

Rozwozimy ostatnie meldunki, już ewakuacja miasta, właściwie jesteśmy sami w Starostawie Grodzkim przy ul. Kilińskiego 152 i Komendzie P.P. St. przewodnik P.P. Kazimierz Sarnowski wręczył mi meldunek, który mam zawieźć do Sztabu „Armii Łódź" w Julianowie. Na dziedzińcu jest tylko jeden samochód, a w nim żołnierz, który ma chęć odjechać, ale jednak czeka na mnie. Jadę do sztabu. Na ulicach widać wielu mężczyzn wśród nich młodzież z plecakami, uczniowie z PW, z karabinami, niektórzy na rowerach. Widać także żołnierzy, maszerują grupkami, plutonami, są zmęczeni, zarośnięci oraz przygnębieni.

Jadę ulicą Zgierską, wjazd jest do pałacu jedynie przez bramę pilnowaną przez żandarmerię. Od ulicy Sowińskiego zamknięty. Słyszę potężny huk motorów od strony szpitala. Mignął cień jeden, drugi, trzeci. To niemieckie samoloty. Wyskakuję przed bramę z samochodu i biegnę pomiędzy drzewami, pod którymi kryją się samochody i żołnierze. Świst i huk jeden po drugim oraz słupy ognia, które parzą oczy, wkręcam się w ziemię. W ustach mam piasek oraz dzwony w uszach. Asfalt leci w powietrze i wraz z gałęziami spada na głowy żołnierzy, plandeki samochodów, po których z charakterystycznym świstem zsuwa się na trawę. Przed nami ściana piasku w powietrzu, w niej ginie pałac Heizlów. Poniżej zjazdu od tarasu palą się z hukiem samochody terenowe. Słychać krzyki rozdzierające, skamlanie, płacz, wołanie „O Jezu", strzela karabin maszynowy z wieżyczki pałacu, strzelają od strony cmentarzy. Słychać jedynie pomruk oddalających się bombowców. Artyleria przeciwlotnicza nie otworzyła ognia, gdyż działa były zdjęte ze stanowisk okryte plandekami i gotowe do ewakuacji.

W powietrzu czuć zapach spalenizny oraz szelest ognia i trzask palących się samochodów. Słychać okrzyki „ratujcie rannych". Samochody sanitarne stojące gdzieś w głębi parku nie zbliżają się. Pomoc nadchodzi ze szpitala, wokół pałacu oraz na kwietnikach widać głębokie leje, z wydartym z głębi ziemi żółtym piaskiem. Na trawnikach leżą nasi żołnierze w zielonych mundurach polowych przysypanych piaskiem, pokrytych rdzą krwi. Jedni się podnoszą i idą jakby skołowani do pobliskiej studni z kranem. Inni leżą nieruchomo tylko wokół nich czerwienieje plama krwi. Pod drzewem obok głębokiego leja, klęczy gen. Juliusz Rommel w poszarpanym mundurze z krzyżem Virtuti Militari. Wpatruje się w martwą twarz ppł. Chrząstowskiego, który ochraniając generała otrzymał odłamki z bomby w plecy i serce. Dalej leży sierżant Buss, krępy opalony z widocznymi śladami ospy na twarzy. Nie widać zranienia, jakby spał. Dalej w różnych miejscach wśród kwiatów trawnika oraz betonowego asfaltu leżą nasi żołnierze. Twarze ich zamazane krwią już zakrzepłą, pomocy udzielają lekarze ze szpitala oraz siostry, zjawili się także sanitariusze wojskowi z noszami. Jest 17 rannych, wśród nich cywil przy sztabie „Armii Łódź" redaktor Wyszomirski.

Jęczą ranni, poznaję sierżanta broni pancernej Berendzika — znajomego. Był szefem parku samochodowego 10 baonu Pancernego i dostarczał nam pojazdy do naszej służby. Gen. Rommel jest draśnięty w twarz. Poległy ppł. Chrząstowski jest zawinięty w koc, obok leżą jego dokumenty. Płk. Pragłowski przyjmuje meldunek. Gen. Rommel spojrzał na mnie, miał łzy w oczach, może mi się wydawało. Odmeldowałem się i jeszcze założyłem opatrunek na głowie sierżanta Berendzika.

Biegnę po piasku, na którym widać rdzawe skrzepy. Mijam młodą kobietę pokrytą białym pyłem. Wygląda jak obsypana mąką. Podobno to maszynistka ze sztabu. Opuszczam Park Julianowski tonący w złotoczerwonych liściach jak płomienie. Słyszę żałosny jęk syren opóźnionego alarmu. Przy bramie dwóch żandarmów, jeden w czapce wojskowej z czerwonym otokiem i żółtymi sznurami, drugi w hełmie francuskim. Słychać już warkot zapalanych motorów, samochody powoli wyjeżdżają spoza drzew z Parku Julianowskiego. Niektóre maskowane są gałęziami jak w Zielone Świątki. To ewakuacja.

ZBIGNIEW JAŚNIEWICZ

Z RETKINI LIST PEŁEN NIEPOKOJU

Jestem mieszkańcem najbardziej koszmarnego osiedla w Łodzi, a chyba i w Polsce. Oczywiście jest to Retkinia, która co parę miesięcy staje się Mekką dziennikarzy, władz itd. Jaka szkoda, że po uniesieniach, żalach, planach wszystko cichnie. I tak do następnej tragedii, która znów wstrząśnie, poruszy ludzką serdeczność, współczucie, pomoc. Szkoda, że nie poruszy naprawdę nikim, kto rzeczywiście za ten stan jest odpowiedzialny.

Wiadomo przecież, że za tragedię na ul. Florecistów i tę na ul. Dzierżyńskiego nikt nie odpowiada, winnych brak — wszystkiemu winien przypadek. Co będzie, jeżeli znów dojdzie do następnego wybuchu? Ten kto mieszka na Retkini wie, ile tu nadal awarii sieci gazowej. Gaz czuje się na klatkach schodowych, przy studzienkach, na chodnikach. Owszem, Prezydent wydał rozporządzenie o przebudowie sieci. Gazownikom wręczono laury, że do końca kwietnia przebudowali 1/4 sieci jakoby w rejonie najbardziej zagrożonym. Ale Pan Prezydent nakazał przebudowę w całej Retkini.

Zagrożenie istnieje wszędzie, łącznie z retkińskim Śródmieściem, gdzie tylko część bloków (budowanych już po tragedii na ul. Florecistów) ma reduktory na zewnątrz. Operacja miała być zakończona do końca listopada 1984 roku. Mamy lipiec 1984 i co? Nic, zupełnie nic, cisza! Brak mocy, brak ludzi, a chyba przede wszystkim zdrowego rozsądku. Spółdzielnia „Polesie", inwestor tego osiedla, ma pieniądze na budowę bloku na miejscu tragedii przy ul. Dzierżyńskiego (już stoi), ale nie ma ani grosza na zmianę sieci gazowniczej już istniejącej. Proszę zapytać mieszkańców Retkini, co o tym sądzą? Tam gdzie powinien stanąć swego rodzaju pomnik in memoriam i ku przestrodze — przed ludzką krótkowzrocznością zarządzających i budowniczych, stoi blok. A Pan Prezes „Polesia" z rozbrajającą szczerością oświadcza w „Odgłosach", iż Retkinia to jedna wielka prowizorka. Ludzie uważają, że Spółdzielni tej powinno się zakazać dalszej budowy domów mieszkalnych na Retkini, a zmusić do ratowania tego, co spartolono w sposób niesamowity, do wybudowania choćby podstawowej infrastruktury i dbania, dbania o to, co już stoi. Co będzie, jeżeli to się zacznie sypać z różnych przyczyn? Już to się dzieje, instalacje wodne rdzewieją się, panele zalewają mieszkania.

Jakże małą sprawą wydaje się być pustynny krajobraz wokół bloków, które stoją już 4—5 lat. Wykarczowano retkińską zieleń, nie sadząc nic w zamian, zarzucając wszystko połamanymi płytami betonowymi, żelastwem. Przoduje pod tym względem rejon retkińskiego Śródmieścia.

Od roku stoją nie wykorzystane lokale na parterach czterech bloków (ul. Napierskiego, Tomaszewicza) choć nie mamy gdzie kupić mleka czy pieczywa. Owszem, obdarowano nas sklepem tekstylno-obuwniczym tj. placówką, którą każdy musi odwiedzać codziennie?! A jest to kwartał osiedla zabudowany samymi wieżowcami — tysiące ludzi. Na Boga — kto wreszcie tym się zajmie? — zadajemy sobie pytanie. Do poczty, sklepu spożywczego (nieczynnego zresztą od miesięcy) 500—1000 metrów. A cóż dopiero do apteki, przychodni. To nieprawda, że tu mieszkają ludzie młodzi, którym łatwiej żyć. Proszę porozmawiać z setkami staruszek brnących przez błoto do sklepów. Czasem wydaje się, że wszyscy o tym osiedlu zapomnieli, nawet „Ruch", czy wierzycie, że w obrębie tego naszego Śródmieścia jest 1 (słownie jeden) kiosk „Ruchu".

Nie dziwmy się zatem, że nastroje mieszkańców są takie, iż trzeba niekiedy myśleć o nich w kategoriach nie tylko społecznych, ale i politycznych. Stukamy, prosimy, chodzimy tu i tam i pytamy dlaczego — zmowa obojętności. Dlatego, choć brzmi to niewiarygodnie, ludzie czekają do następnego wybuchu, który wstrząśnie już nie Retkinią, ale ludźmi za to wszystko odpowiedzialnymi. Czy trzeba jeszcze wyższej temperatury? Mieszkańcy (choć może nie wszyscy, ale trudno się temu dziwić) gotowi byli opodatkować się dodatkowo, by przystąpiono do wymiany sieci gazowniczej — nawet tego nie wykorzystano. Co zatem dalej? Czy Retkinia stała się tematem „tabu"?

Na łamach „Odgłosów" ukazywały się reportaże o Retkini. Wydawało się, że „Odgłosy" nie „puszczą" tego tematu. Ale i w „Odgłosach" cisza! A czas biegnie. Do listopada 1984 r. tylko pięć miesięcy. A przecież i tym, co z nami będzie dalej, mierzyć będziemy autorytet władzy.

A.G.
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

OD REDAKCJI: Być może autor przesadza w swoich wnioskach i niepokojach, ale jest to niewątpliwie jakiś sygnał, który powinien zainteresować władze tak Polesia, jak i miasta.

Redakcja ze swej strony też zainteresuje się sprawami osiedla na Retkini.

NAGRODY DLA PIOSENKAREK

W dniach 12—14 lipca 1984 r. w Ustroniu odbyły się finały IX Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Czeskiej i Słowackiej o „Kryształową Lirę".

Reprezentujące nasze miasto solistki-amatorki z Dzielnicowego Domu Kultury Łódź-Bałuty Anna Miksa i Elżbieta Chudy, pracujące pod kierownictwem Tadeusza Mikołajczyka otrzymały wyróżnienia i nagrody wojewody z Bielska-Białej.

W finale konkursu wzięło udział 14 solistów i zespołów z całej Polski.

Samotność Michaela Jacksona

Michael Jackson wśród „przyjaciół". Muzyczny „dreszczowiec"

Ponad milion dolarów za biografię piosenkarza to niemało. Widocznie wydawnictwo „Doubleday" ma inną opinię na ten temat, bowiem bez wahania podpisało kontrakt. Bohaterem książki, redagowanej przez samą Jacqueline Onassis jest gwiazda nr 1 współczesnej muzyki rozrywkowej — Michael Jackson. Trzy konkurencyjne biografie tego wykonawcy są już w sklepach. Do lipca 1984 r. sprzedano ponad milion egzemplarzy każdej z nich.

Michael Jackson urodził się w 1958 roku. Debiutował 15 lat temu. W latach siedemdziesiątych on i jego bracia byli jednymi z najpopularniejszych wykonawców murzyńskich uprawiających muzykę disco-soul. Z tego okresu pochodzi wiele przebojów Michaela. Jeden z nich — „Farewell My Summer Love" — niedawno ponownie dostał się na listy przebojów. Duży rozgłos przyniósł mu album „Off The Wall", który w 1980 roku przez długi czas zajmował czołowe pozycje w zestawieniach najlepiej sprzedawanych płyt. Dopiero jednak z chwilą wydania płyty „Thriller" Michael Jackson na dobre rozpoczął wędrówkę po drabinie sławy, aby wkrótce dostać się na jej szczyt.

Warto parę słów poświęcić temu albumowi, gdyż zarówno pod względem artystycznym jak i komercyjnym stanowi ewenement na skalę światową. Przede wszystkim niezwykle starannie dobrano zespół artystów towarzyszących soliście. Na pierwszy plan wysuwa się nazwisko Paula McCartneya, który wykonuje wspólnie z Jacksonem piosenkę „The Girl Is Mine". Dzięki obecności na płycie jednego z byłych Beatlesów, do produkcji muzycznych Jacksona zaczęli się przekonywać nawet dotychczasowi przeciwnicy czarnych wokalistów. Do popularyzacji „Thriellera" wśród nastolatków przyczyniło się jednak bardziej nazwisko gitarzysty Eddiego Van Halena, członka słynnej grupy Van Halen, uprawiającej muzykę „heavy-metal". Wystarczyło, że wykonał on solo gitarowe w „Beat It", aby piosenkę Jacksona prezentowano w audycjach radiowych zastrzeżonych zazwyczaj dla białych wykonawców rockowych. W nagraniu płyty uczestniczyli m.in. Steve Lukather (gitary), Jeff Porcaro (instrumenty perkusyjne), David Paich i Steve Porcaro (obydwaj grają na instrumentach klawiszowych). Wszystkie wymienione nazwiska to ścisła czołówka amerykańskiego rocka. Wreszcie mózg całego przedsięwzięcia — muzyk, aranżer i producent — Quincy Jones. Nawet bez Jacksona, płyta w takim składzie mogłaby liczyć na sukces Ciemnoskóry piosenkarz spowodował, że był to największy sukces w historii przemysłu płytowego.

Michael Jackson jest autorem czterech z dziewięciu kompozycji na płycie, a także aranżerem niektórych partii instrumentalnych. Po mistrzowsku wykonuje partie wokalne swoim słynnym „szepczącym" głosem, wykorzystując z niezwykłą łatwością ogromną skalę muzycznych zdolności. Od prawie hard-rockowej „Beat It" po nastrojową „The Lady In My Life" wszystkie piosenki zasługują na miano superprzebojów jakimi w rzeczywistości się stały. Aż 7 z nich wydano na singlach. Widać z tego, że zabiegi o dotarcie do możliwie najszerszej grupy odbiorców nie poszły na marne. Michael Jackson nawet poddał się operacji plastycznej, aby jego twarz nabrała bardziej „białych" proporcji. Droga do tak oszołamiającego sukcesu nie była łatwa. Niektórzy twierdzą, że wycisnęła trwałe piętno na psychice młodego wykonawcy. W artykule jaki zamieścił „Rolling Stone", Gerri Hirshey przedstawia Jacksona jako niewolnika własnej sławy. Według Hirsheya jest to człowiek opętany manią prześladowczą, który prowadząc samochód, aby dotrzeć do celu, woli godzinami błądzić po małych, nie uczęszczanych ulicach niż pokazać się wśród ludzi na autostradzie.

W swoim nowym domu Jackson ma zamiar przeznaczyć jeden pokój na kolekcję figur i lalek, z którymi podobno nieraz rozmawia. Bardzo rzadko pokazuje się publicznie, unika wywiadów. Podczas wizyty w Białym Domu w maju br. na krótko ukrył się w łazience, gdyż nie mógł już znieść widoku obcych twarzy. Nie pije alkoholu, nie pali. W każdą niedzielę pości. Jest jedną z najbardziej nieśmiałych i tajemniczych gwiazd rozrywki.

Zupełnie inne wrażenie sprawia na estradzie. W relacji z koncertu, jaki odbył się w Kansas City na inaugurację wielkiego tournée Michaela i jego braci reporter tygodnika „Newsweek" tak pisał o ciemnoskórym piosenkarzu: „tańczył z zapierającą dech werwą, przypominając chwilami swojego słynnego poprzednika Jamesa Browna... z niezwykłą łatwością przechodził od spokojnych ballad do utworów rockowych". Na temat trasy koncertowej braci Jackson mówiono już od dawna, ale dopóki nie zapaliły się kolorowe światła na stadionie w Kansas City, nikt nie był pewien czy dojdzie ona do skutku. Miało to być największe wydarzenie muzyczne od czasu amerykańskich występów zespołu The Beatles. „Nawet moja mama mówi o koncertach — żartował dziennikarz radiowy Bob Case — To jest jak piłkarskie mistrzostwa świata. Nie obchodzi cię kto gra. Chcesz to po prostu zobaczyć". Występy rozpoczęły się w czasie, gdy podniecenie wywołane ponad rok temu ukazaniem się „Thrillera" przemieniło się w ogólnonarodową gorączkę. Mimo iż firmowane są przez zespół The Jacksons, autor „Billy Jean" jest ich główną atrakcją.

Talent estradowy na miarę Freda Astaira i Franka Sinatry. Pod względem popularności porównuje się go z Elvisem Presleyem i Marilyn Monroe. Michael Jackson to dziś również jeden z najbogatszych piosenkarzy. Ogólnoświatowa sprzedarz „Thrillera" dostarczyła mu ponad 45 milionów dolarów, co stanowi tylko część jego rosnących z dnia na dzień dochodów. Powiększy je na pewno nowy album „Victory". Ostatnio wykonawca założył dwa przedsiębiorstwa. Jedno zajmuje się obrotem kasetami video, drugie — prowadzi badania nad nową techniką zapisywania dźwięku. Trzy dalsze są w planie. Nad całością przedsięwzięć czuwa sztab zatrudnionych przez niego specjalistów z wielu dziedzin.

Jackson nagrywa płyty z wieloma czołowymi postaciami muzyki rockowej. Na płycie Mc Cartneya „Pipes of Peace" wspomaga głosem swojego sławnego kolegę m.in. w „Say, Say, Say". Niedawno na listach przebojów znajdował się utwór „Somebody's Watching Me" wykonywany przez duet Rockwell — Jackson. Dużym zaskoczeniem była współpraca z Mickiem Jaggerem, która zaowocowała piosenką „State Of Shock". Tegoroczne uroczystości związane z przyznawaniem nagród „Grammy" i „The American Music Awards", a także targi MIDEM, gdzie królował, oglądany również u nas, video-clips z Jacksonem w roli Wilkołaka, potwierdziły prymat piosenkarza wśród wykonawców muzyki rozrywkowej. Niedawno ukazał się w sprzedaży godzinny film o powstawaniu „Thrillera". Nie przestają znikać z półek sklepowych koszulki, znaczki, lalki i inne towary reklamujące album piosenkarza i rozpoczęte niedawno tournée.

Przyznając „księciu muzyki pop" nagrodę honorową „Award of Merit" krytycy amerykańscy stawiają Michaela Jacksona na równi z takimi „nieśmiertelnymi" wykonawcami jak Benny Goodman i Irving Berlin.

GRZEGORZ WALENDA

Spojrzenie na Kołobrzeg

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Gdy się stanie na balkonie piątego piętra hotelu „Skanpol" widać jak z roku na rok rozrasta się i nowocześnieje Kołobrzeg. Panorama jest coraz bardziej imponująca: od strony morza, tuż za spacerową promenadą, pną się na dziesięć pięter w górę nowoczesne ośrodki wczasowe, w głębi lądu zaś przesłaniają widok charakterystycznych kamieniczek z czerwonymi dachówkami masywne bloki mieszkalne. Prawie znikła za nimi wieża starego kościoła, której spłaszczony wierzchołek ogrodzony został barierką i służy jako punkt widokowy. Niejedno pamiętają te stare mury.

Blisko czterdzieści lat minęło od chwili, gdy kapral Franciszek Niewidziało wypowiadając zaślubinową formułę rzucił rubinowy pierścień w fale Bałtyku. Niełatwy był ten powrót do Kołobrzegu w 1945 roku. Różne są opinie na temat celowości zdobywania miasta, które odcięte i tak po pewnym czasie musiałoby się poddać. Niemniej jednak większość historyków przyznaje, że w momencie ogłoszenia Kołobrzegu, nazwanego przez Niemców Kolbergiem, twierdzą stał się on niezwykle ważnym punktem obrony w operacji zdobywania Wału Pomorskiego. O tym, że istotnie miasto przekształcono w twierdzę, mieli się tamtej wiosny przekonać polscy żołnierze zajmujący w krwawej walce dosłownie dom po domu. Zdziesiątkowane pułki — szesnasty, osiemnasty — otworzyły drogę do morza. Już tylko nieliczni pamiętają tamte dziesięć dni, choć niektórzy ze zdobywców miasta osiedlili się tu po wojnie na stałe. Wielu innych Kołobrzeg zatrzymał w ich marszu na Berlin — pozostali tu na zawsze.

W miejscu zaślubin stoi dziś pamiątkowy obelisk, a w wodzie Bałtyku odbija się biel i czerwień polskiej flagi powiewającej na umocowanym w dnie maszcie. Oto pomnik zaślubin. Inaczej tu dzisiaj — mówią kombatanci. Istotnie, miasto zmieniło się do tego stopnia, że nawet pierwszym powojennym osadnikom trudno określić miejsca w szczegółach. Tymczasem w sezonie władze miasta i wojsko starają się przypominać, iż w zasadzie cały Kołobrzeg jest symbolem walki o polskość. Obok pomnika zaślubin jest tu także pomnik sanitariuszki i wiele innych miejsc oznaczonych pamiątkowymi tablicami, których rodowód sięga 1945 roku.

Liczba mieszkańców Kołobrzegu zdaje się być płynna. Naczelnik miasta w sezonie urlopowym bywa prezydentem z uwagi na to, że nagle Kołobrzeg liczy sobie około stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi biorąc pod uwagę przyjezdnych. Zresztą prawdopodobnie nastąpi w tym przypadku stała zmiana nomenklatury. Turyści rzeczywiście od lat walą do Kołobrzegu jak w dym. Wypoczywa tu również wielu łodzian a prawdziwą inwazję łodzian przeżywa to miasto w roku bieżącym. Nie tylko miasto, ale i okolice: Ustronie Morskie, Grzybowo, Dźwirzyno, Mrzeżyno... Jadąc do Łodzi spoglądałem na rejestracyjne numery mijanych samochodów pędzących w kierunku Bałtyku — na dziesięć dwa, trzy miały rejestrację łódzką. Będę szczery: i ja, po prostu, lubię Kołobrzeg.

Historia wyznaczyła Polakom kilka spotkań z morzem w tym właśnie miejscu. Pierwsze, do którego często odsyła nas tradycja, sięga XII wieku, kiedy to swoich wojów przyprowadził tutaj król Polski Bolesław Krzywousty. Po trudnych bojach Pomorze zostało przyłączone do królestwa, Kołobrzeg, a wraz z nim i Bałtyk, były polskie. Mówi o tym także stara piastowska pieśń, znana — między innymi — z wykonania Czesława Niemena, której fragment warto przypomnieć:

„Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące, my po świeże przychodzimy w oceanie pluskające".

Ten dwuwiersz znajduje się na pamiątkowych medalach przyznawanych podczas Festiwalu Piosenki Żołnierskiej.

Kiedyś na festiwalach kołobrzeskich laureaci głównych nagród — Złotych i Srebrnych Pierścieni — otrzymywali, poza określoną ilością banknotów, wykonywane przez miejscowego metaloplastyka ozdobne sygnety w nie mniej ozdobnych szkatułkach. Od paru lat jednak zdobywcom Pierścieni wręczane są medale koloru złotego lub srebrnego ze wspomnianym napisem na rewersie.

Niespełna dwa tygodnie temu odbyła się w kawiarni „Morskie Oko" w Kołobrzegu uroczystość wręczenia nagród laureatom XVIII Festiwalu Piosenki Żołnierskiej. Kawiarnia mieści się w niewielkim drewnianym budynku usytuowanym na palowym pomoście nad plażą. Z tarasu można niemal bezpośrednio schodzić do morza. Żeby było ciekawiej, kiedy Kołobrzeg był miastem niemieckim, a przynajmniej przez Niemców zamieszkałym, w dzisiejszym „Morskim Oku" mieścił się klub garnizonowy.

Tam właśnie, tuż nad polskim Bałtykiem, organizatorzy tegorocznego FPŻ wyznaczyli spotkanie z laureatami w przedostatnim dniu festiwalu. Nagród było dużo. Jeszcze nigdy w historii nie przyznano aż dziewięciu Pierścieni za estradowe produkcje w amfiteatrze. Ponieważ i tak wiadomo, że wziąłem udział w pracach festiwalowego jury, muszę to jakoś skwitować. Obradowaliśmy rzetelnie po jedynym konkursowym koncercie premier do godziny drugiej w nocy, aby znaleźć wypadkową gustów i indywidualnych odczuć jedenastu jurorów (dwunastym miał być prof. Antoni Poszowski z gdańskiej Akademii Muzycznej, ale nie dojechał). Nie jest to zadanie łatwe o czym mogłem się już wielokrotnie przekonać zasiadając w różnego rodzaju składach jurorskich od paru lat. Każdy ma przecież własne spojrzenie, jest przekonany do tych utworów, które właśnie na nim zrobiły najbardziej pozytywne wrażenie a z dyskusji, czasem wzajemnego przekonywania się, powstaje później werdykt. Czy jest zawsze sprawiedliwy? Niestety — choć należałoby powiedzieć raczej: na szczęście — sztuka jest niewymierna w gramach i centymetrach, stąd też każdy ma prawo pozostawać przy własnym zdaniu. Werdykt jury jest oceną ostateczną i nawet jeśli nie zostanie przyjęty z aplauzem przez publiczność, to tez będzie obowiązywał przy podziale nagród. Jeśli zaś — jak to było w tym roku w kołobrzeskim amfiteatrze — wielotysięczna widownia przyjmuje informację o wynikach wręcz entuzjastycznie jurorom może być miło, ale równocześnie nie znaczy to, że gdzieś tam nie zapodziała się jeszcze jedna jakaś piosenka, którą warto byłoby umieścić w protokole. Taka jest specyfika konkursów i z tego trzeba sobie zdać sprawę siedząc nie tylko w ósmym rzędzie wśród jurorów, lecz na jakiejkolwiek innej ławce w amfiteatrze.

Oczywiście, zdarza się, iż na estradzie pojawia się wraz z wyjściem tego czy innego wykonawcy absolutny „pewniak", przysłowiowy „strzał w dziesiątkę", co do którego nikt praktycznie nie ma wątpliwości, że zostanie nagrodzony. W tym roku tak jednak nie było. To prawda, że poziom piosenek w koncercie premier był wyższy niż — na przykład — w roku poprzednim, ale też stawka była tym razem wyjątkowo wyrównana, stąd nie można było uhonorować jednego utworu nie nagradzając równocześnie innego, jeśli był między nimi układ „remisowy". Z tego powodu werdykt jury był taki długi. Rzecz jasna, gdyby nie znalazło się tylu fundatorów trzeba by listę laureatów skrócić, jednakże pieniędzy wystarczyło...

Jestem wielokrotnie pytany przez różnych ludzi, jaką sumę otrzymują zdobywcy festiwalowych nagród, gdy po formalnym wręczeniu dyplomów udają się do księgowości czy kasy. W Kołobrzegu nigdy nie robiono z tego żadnej tajemnicy. W porównaniu z rokiem 1978 wysokość nagród finansowych wzrosła — generalnie rzecz biorąc — więcej niż dwukrotnie. Aktualnie Złoty Pierścień „kosztuje" 60 tysięcy złotych do równego podziału pomiędzy kompozytora, autora tekstu piosenki i jej wykonawcę — czyli nagroda główna wynosi 20 tysięcy na głowę. Analogicznie — Srebrne Pierścienie wiążą się z globalną sumą 45 tysięcy, a wyróżnienia — z sumą 21 tysięcy złotych.

Nie były to jedyne nagrody w Kołobrzegu. Zazwyczaj, i ten rok nie był w tej mierze wyjątkiem, istnieje jeszcze pula nagród specjalnych. Podczas uroczystości w „Morskim Oku" pani Katarzyna Szlęk udzielała wywiadu dla radia, a ponieważ stałem akurat obok poprosiła mnie o potrzymanie „Złotych Ostróg" — nagrody redakcji „Żołnierza Wolności", którą otrzymała jako najlepsza debiutantka na XVIII Festiwalu Piosenki Żołnierskiej. Jakież było zdziwienie moich znajomych, gdy zobaczyli mnie z tym pudłem pod pachą. Wyjaśniłem wówczas, że przyznano „Ostrogi" właśnie mnie za... udany debiut w jury.

„Gwiazdą" festiwalu okazała się Danuta Morel występująca w tym roku w roli „Miss Jednostki": zdobyła Srebrny Pierścień od jury, nagrodę publiczności (co ja szczególnie uradowało), tytuł „Miss Obiektywu" (fotoreporterzy przyznali go jej już po raz drugi, kryształowy puchar od... Towarzystwa Przyjaźni Dzielnicy Podgórze w Krakowie.

Spory sukces odnotował też Janusz Jędrzejczyk interpretujący dwie piosenki twórców-weteranów kołobrzeskiego festiwalu — Adama Hetmana i Krystyny Pac-Gajewskiej — bowiem oprócz dwóch wyróżnień dostał nagrodę dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu i nagrodę redakcji „Za Wolność i Lud" w postaci „Złotej Manierki" przyznaną za najlepsze wykonanie piosenki o tematyce kombatanckiej.

Nie ulega wątpliwości — co dało się z pewnością zauważyć także podczas oglądania telewizyjnych retransmisji — że w zestawie premierowych propozycji dominowały piosenki lekkie i pogodne, usuwając nieco w cień obrazy dramatyczne. Podobały się publiczności „Letni ragtime" czy „Poszukajmy lata". Notabene: twórcy tej ostatniej — Janusz Kępski i Janusz Szczepkowski — byli bodaj najbardziej uhonorowanymi autorami na tegorocznej imprezie. Interesująco wypadła przypowieść zawarta w utworze „Życia nigdy dosyć", rytmicznym marszem odcisnęła się w pamięci „Czwarta uparta" Benedykta Konowalskiego i Janusza Przymanowskiego. Zawiodłem się natomiast na utworze z muzyką Katarzyny Gaertner i Jerzego Skokowskiego „Złoty deszcz" w dobrym — jak zwykle — wykonaniu Iwony Niedzielskiej.

Niektóre z Pierścieni przyjechały do Łodzi. Listę laureatów otwiera spółka autorska: Bogdan Domagała i Zofia Czerwińska, którzy napisali dla Ireny Woźniackiej „Różowy kasztan w Kołobrzegu". Od dziesięciu lat występująca na kołobrzeskiej estradzie łodzianka — Elżbieta Jagiełło ma powód do zadowolenia: w 1974 roku walnie przyczyniła się do zdobycia przez „Pro Contre" Srebrnego Pierścienia, a teraz za wykonanie piosenki „Przyjaciel sen" otrzymała „złoto". Tradycyjnie zwrócił też na siebie uwagę inny łodzianin — Jerzy Rynkiewicz otrzymując wyróżnienie.

Skoro mowa o łodzianach, krótki cytat z protokołu: **„Jury występuje do Komitetu Organizacyjnego Festiwalu z wnioskiem o szczególne uhonorowanie zasłużonej dla Festiwalu Piosenki Żołnierskiej Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi oraz osobiście jej dyrektora i dyrygenta Henryka Debicha, wyrażając równocześnie całemu zespołowi Orkiestry swoje uznanie i podziękowanie za znaczący wkład w osiągnięcia artystyczne tegorocznego Festiwalu".**

Były kwiaty i brawa.

Mówi się często o tym, że lata lecą, a w Kołobrzegu niezmiennie ten sam garnitur wykonawców. Trudno się z tym zgodzić. Jak w każdej cyklicznej imprezie następuje i tutaj rotacja: jedni piosenkarze przestają tutaj śpiewać, inni wracają na estradę amfiteatru po paroletniej przerwie, jeszcze inni śpiewają tu po raz pierwszy. Tym, którzy forsują tezę o „żelaznym garniturze" przypomnę nazwiska laureatów (Krzysztof Cwynar, Kazimierz Kowalski, Mieczysław Święcicki czy też bardzo lubiana przez widownię Regina Pisarek), którzy już od paru festiwali nie przyjeżdżają do Kołobrzegu. Mówi się także, iż „Kołobrzegi" bywają hermetyczne i nie każdy wykonawca chce tam występować, a gwiazdy piosenki rezygnują z udziału jeszcze przed otrzymaniem zaproszenia. Jest to również dość absurdalne podejście. Nie sięgając do żadnych dodatkowych źródeł, mogę przypomnieć, że przez scenę amfiteatru, który wyrósł w miejscu starego fortu kołobrzeskiego, przewinęły się m. in. takie nazwiska: Maryla Rodowicz, Anna Jantar, Irena Jarocka, Andrzej Rosiewicz; występowali tu przecież „Skaldowie" i „Trubadurzy", grały „Czerwone Gitary"... A trzeba dodać, że wykonawcy ci mieli już wówczas ustaloną renomę. Ilu zaś debiutantów pojawia się w Kołobrzegu, debiutantów, którzy po udanym starcie tutaj torują sobie drogę do krajowej czołówki. To właśnie na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej swoją pierwszą znaczącą nagrodę zdobyła dzisiejsza „gwiazda" młodzieżowego rocka — Małgorzata Ostrowska, solistka zespołu „Lombard".

Tym razem festiwalowej publiczności zaprezentowało się kilkunastu wykonawców — nowych twarzy. Zdarzały się artystyczne nieporozumienia, ale ogólnie rzecz biorąc paru spośród debiutantów ma szansę zadomowić się w Kołobrzegu także na lata następne. Niektórzy z nich nie są bez szans w zdobywaniu nie tylko festiwalowej publiczności. Oczywiście, wymienię tutaj nazwisko Katarzyny Szlęk, krakowianki, która parę lat temu zdobyła w Zielonej Górze „Złoty Samowar", a w Kołobrzegu śpiewając po raz pierwszy wywalczyła jedną z głównych nagród.

Rozpisałem się o premierach, jak chyba nigdy dotąd, choć na Festiwale Piosenki Żołnierskiej jeżdżę dziewiąty rok. Takie już moje jurorskie „przegięcie" — nigdy wcześniej tak drobiazgowo nie analizowałem poszczególnych pozycji. Koncert premier — jako się rzekło — był jedynym ocenianym i punktowanym w programie „Kołobrzegu 84". Pozostałe zaś koncerty — poza tradycyjną „galówką", która okazała się prawdziwym maratonem — to widowiska pokazane w obszernych fragmentach przez Telewizję Polską. W tym roku trochę jakby nie wypaliły, o czym trudno mi szerzej się wypowiadać, gdyż przed rokiem sam byłem autorem widowiska „Nie tylko dla wojska" i wychodziłoby na to, że jak nie moje, to od razu niedobre. Dziennikarze i obserwatorzy twierdzili jednak zgodnie, że ubiegłoroczny festiwal pod względem widowisk był lepszy. A ja z przyjemnością odnotowałem wykonania kilku piosenek z tamtego swojego programu podczas koncertu będącego paradą wojskowych zawodowych zespołów estradowych.

Nie była to jedyna parada wojskowa. Jak co roku, w przeddzień zakończenia XVIII Festiwalu Piosenki Żołnierskiej, przed hotelem „Skanpol" odbył się konkursowy przemarsz śpiewających pododdziałów Ludowego Wojska Polskiego. Paradowały kompanie różnych formacji. I znów zrobiło mi się przyjemnie gdy usłyszałem z daleka narastający śpiew: „To był szesnasty pułk piechoty, szesnasty — zwany kołobrzeskim...", bo to był refren mojej piosenki.

Stałem na balkonie swojego pokoju na piątym piętrze. W górze świeciło z pogodnego nieba lipcowe słońce. Jak na zamówienie towarzyszące przez tych kilka dni festiwalowi. W odległości kilometra, może trochę dalej, połyskiwały fale Bałtyku, Polskiego morza.

I jeszcze raz spojrzałem na Kołobrzeg. I pomyślałem — jak oni wtedy, w czterdziestym piątym, mieli do niego daleko.

XXIII Olimpiada w Los Angeles

Pod brudnym niebem Kalifornii

BOGDA MADEJ

„Wielu sądziło, że przyznanie nam prawa organizacji igrzysk było błędem z uwagi na kryzys i oddalenie Kalifornii od Europy. Wszyscy znali wówczas Hollywood. O Los Angeles mało kto słyszał. Wielu z przyjeżdżających sądziło, że jest to po prostu „mała dziura" na pustyni" — wspomina dzisiaj 87-letni Gwynn Wilson, jedyny żyjący jeszcze członek komitetu organizacyjnego Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles w 1932 r. Ówczesnym organizatorom udało się zapewnić 1400 sportowcom reprezentującym 37 państw dobre warunki do startu.

Pod datą — 20 lipca 1932, lekkoatleta i szermierz, członek drużyny szablistów, którzy na olimpiadzie w Los Angeles wywalczyli brązowy medal — mjr Władysław Dobrowolski, tak notuje w swoim pamiętniku:

„Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy do Los Angeles. (...) Miasto aniołów. Zupełnie tu inny widok niż w Chicago czy Nowym Jorku. Nie ma drapaczy chmur. Pełno małych, parterowych domków. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, kwiaty drzewa, zieleń, stosy owoców. Nic dziwnego — Kalifornia, kraina miodem i mlekiem płynąca. Nigdy nie ma zimy. Odległości potworne. Los Angeles liczy około półtora miliona mieszkańców (...)".

Dziś Los Angeles liczy 12,5 miliona mieszkańców i aczkolwiek trudno przewidzieć jaki obraz tego miasta wyniosą sportowcy, którzy 28 lipca 1934 r. rozpoczęli zmagania na XXIII Olimpiadzie, to jednak wiadomo, że prócz walki z przeciwnikami, z własnymi słabościami, z upałem (o tej porze roku w Los Angeles temperatura sięga nawet powyżej 40 stopni), czeka ich także walka ze smogiem. W mieście zarejestrowane jest blisko 6 mln pojazdów spalinowych, a 40 tys. zakładów przemysłowych systematycznie zanieczyszcza powietrze. Toteż kalifornijscy lekarze przestrzegają przed podejmowaniem wysiłku fizycznego o tej porze, kiedy zanieczyszczenie powietrza jest najsilniejsze. Wprawdzie informacje z 32 stacji mierzących stopień zanieczyszczenia atmosfery podawane są zarówno w prasie jak i w radio, ale i tak już wiadomo, że „poziom pierwszego alertu", który nie dopuszcza do podejmowania jakiegokolwiek wysiłku fizycznego bywa najczęściej przekraczany w Pasadenie, Santa Anita, Monterrey Park. A przecież właśnie na tych terenach mają być rozgrywane konkurencje jeździeckie, mecze piłkarskie i hokeja na trawie. Wprawdzie komitet organizacyjny igrzysk przy ustalaniu programów zawodów brał te dane pod uwagę, ale i tak zadowolić wszystkich pewnie się nie uda.

I tak, mecze piłki nożnej będą się rozpoczynały o godzinie 19, bo wtedy powietrze jest najczyściejsze. Interweniował również książę Filip, przewodniczący Międzynarodowej Federacji Jeździeckiej i wytargował z organizatorami tyle, że konkurencje jeździeckie będą rozgrywane w odległości 140 km od Los Angeles. Trudno tu powiedzieć, o czyje zdrowie bardziej tu chodzi. Koni czy jeźdźców? Faktem jednak jest, że w ostatnich dniach w Los Angeles padło już kilka koni.

Przegrali natomiast z organizatorami igrzysk biegacze. I to, można powiedzieć, jeszcze wcześniej niż w przedbiegach. O czyste powietrze upominali się najgłośniej maratończycy — co dla każdego orientującego się w trudzie tej konkurencji — jest oczywiste. Chodziło im oczywiście o przełożenie godziny rozpoczęcia biegu. Nie pomógł nawet protest Australijczyka Roberta de Castella, mistrza świata z Helsinek. Zawody, tak jak przewidziano pierwotnie, rozpoczną się o godzinie 17,15. Zmienić nie można było, bo takie były pierwotne umowy z telewizją.

— No cóż — może sobie powiedzieć Gwynn Wilson — myśmy na szczęście takich kłopotów nie mieli.

— No, cóż — mogą sobie powiedzieć biegacze — będzie ciężko, ale za to ilu kibiców będzie nas mogło podziwiać na swoich telewizorach.

Warto również zacytować jeszcze inny fragment wspomnień Gwynna Wilsona z olimpiady w Los Angeles w 1932 roku:

„Nie było wówczas żadnych problemów z zapewnieniem bezpieczeństwa. Zaangażowaliśmy zaledwie 200 policjantów do nadzorowania publiczności. Na bezpieczeństwo nie przeznaczaliśmy żadnych dodatkowych funduszy. Wioska olimpijska pilnowana była przez 50 kowbojów na koniach, którzy budzili powszechne zainteresowanie".

Dziś wypada tylko pomarzyć o tamtych czasach. W specjalnie wydanej broszurze dla kibiców wybierających się na XXIII Olimpiadę, przez biuro turystyczne i policję zawarto takie oto rady:

— nie nosić przy sobie dużych sum w gotówce,

— nigdy nie zostawiać bagaży bez opieki;

— zamykać drzwi w pokoju hotelowym, gdy jest się na zewnątrz;

— wychodząc wieczorem zawsze zostawiać w pokoju zapaloną lampę i kilkakrotnie sprawdzać czy drzwi są dokładnie zamknięte;

— unikać samotnych spacerów wieczorem i nocą;

— po zmroku unikać miejsc nie oświetlonych;

— przed otwarciem drzwi samochodu sprawdzać, czy nikt nie ukrył się w środku;

— ukrywać za wszelką cenę wszelkie oznaki tego, że jest się turystą;

— nawet najsympatyczniejszych i pozornie bardzo pomocnych nieznajomych nigdy nie zapraszać do swojego pokoju;

— nie otwierać drzwi bez sprawdzenia identyfikacji pukającego.

Olimpiada się zaczęła. Jak to dobrze, że będziemy ją znali tylko z komunikatów radiowo-telewizyjnych. Spokojnie to i bezpiecznie.

■

JEAN LOUP REVERIER

Sędzia śledczy przy pracy

Kobieta zamordowana przez męża, kierowca samochodu ciężko ranny w strzelaninie, policjant, który śmiertelnie zranił jakiegoś chuligana, samobójstwo aresztowanego, kilku topielców, napad na bank i cała seria różnego rodzaju przestępstw — oto codzienny żywot sędziego śledczego z sekcji kryminalnej prokuratury paryskiej. Tydzień w jego życiu to cały film wydarzeń kryminalnych.

— *Ósma sekcja* — mówi Laurent Davenas — *to coś w rodzaju ekipy pogotowia ratunkowego. Ktoś znalazł zwłoki, ktoś powiadamia o wzięciu zakładników albo też o działaniu terrorystów i sztab paryskiej policji kryminalnej natychmiast informuje nas o tym. Do nas należy nadzorowanie policyjnych działań i dlatego też musimy utrzymywać stały kontakt z policją kryminalną, bądź żandarmerią. Na ogół ktoś z nas udaje się na miejsce przestępstwa. Dlatego właśnie musimy pełnić stałe dyżury w dzień i w nocy przez 365 dni w roku.*

Sędzia Laurent Davenas — szef sekcji, wspólnie z komisarzem Claude Cances, stojącym na czele brygady antygangowej, doprowadził do złożenia broni przez niebezpiecznego bandytę Lionela Cardona.

Jakiś 56-letni urzędnik znalazł swą 34-letnią żonę leżącą bez ruchu. Davenas wskakuje do służbowego samochodu. Pośród policjantów małżonek załamany siedzi w pobliżu zwłok. W przyległym pokoju — dwoje dzieci w wieku 4 i 2 lata. Davenas prosi by wyjaśniono mu okoliczności i stawia kilka pytań. Przed powrotem do biura każe przywieźć zwłoki do instytutu medycyny kryminalnej dla dokonania autopsji. Małżonek ofiary zwlekał z powiadomieniem policji, a to nie wygląda całkiem jasno.

Davenas włączył do swojej ekipy kilku ekspertów. Mamy więc 5 lekarzy, 5 radiologów, 3 toksykologów i 2 specjalistów z zakresu anatomopatologii. Dlatego też bardzo szybko może otrzymać potrzebne mu ekspertyzy. Potwierdzają one diagnozę lekarza: kobieta zmarła w wyniku ciosów, które złamały jej krtań.

Urzędnik, będący do tej pory świadkiem, teraz staje się podejrzanym. Załamał się i powiedział ludziom prowadzącym śledztwo w jaki sposób rozpadła się jego rodzina. Przed 2 laty żona pogrążyła się w alkoholizmie. Wieczorem, kiedy doszło do dramatu synek powitał ojca słowami: *„Mama jest jeszcze pijana i dozorczyni dała mi jeść"*. Rozpacz, gniew, a potem ciosy. Śmierć żony, rozbicie rodziny, koniec kariery.

Sobota jest spokojniejsza. Sztab sygnalizuje dwójkę kierowców i strzały z broni myśliwskiej. Na szczęście nie ma ofiar. Trochę później ktoś znalazł nagie zwłoki mężczyzny wyłowione z kanału w La Villette. Autopsja wykazała, że było to samobójstwo.

W niedzielę rano dzień zaczyna się nie najlepiej. Tuż po godzinie ósmej doszło do dzieciobójstwa w czternastej dzielnicy.

— *Policjanci i sędziowie najbardziej obawiają się zabójstw dzieci* — wyjaśnia Davenas kierując swym samochodem, na którym umieszczona jest błękitna sygnalizacja.

Przed kamienicą samochód pogotowia ratunkowego blokuje jezdnię.

Policjanci i fotograf ze służby kryminalnej kręcą się po mieszkaniu, podczas gdy młody komisarz przedstawia nam fakty. W fotelu siedzi mężczyzna w pidżamie, załamany i pokryty krwią. Przed dwiema godzinami, kiedy obudził się zobaczył zwłoki swej dwuletniej córeczki. Jego przyjaciółka w kryzysie nerwowym zadusiła dziecko, a następnie otworzyła sobie żyły. Z trudem zdołał powstrzymać ją przed skokiem z okna. Musiał z nią mocować się i to wyjaśnia dlaczego wszędzie są ślady krwi. Zanim przybył tutaj Davenas pogotowie ratunkowe odwiozło już kobietę do szpitala.

W południe — nowe wezwanie. Podejrzana śmierć młodego człowieka, którego brat znalazł zwłoki na skwerze w dwunastej dzielnicy. Davenas telefonuje do brygady kryminalnej i poleca, aby jeden z inspektorów towarzyszył mu.

Policyjny samochód stoi na środku jezdni, a na skwerze gromadzi się tłumek. Komisarz z tej dzielnicy i paru policjantów stoją w pobliżu zarośli, za którymi znajdują się zwłoki. Zmarły ma na sobie bluzę i dżinsy. Ten młody człowiek jeden z ośmiorga dzieci pewnej rodziny mieszkającej w pobliskim domu, miał już do czynienia z policją. Wszystko wskazuje na to, że zażył zbyt dużą porcję narkotyków. Potwierdzi to sekcja.

Laurent Davenas pozwala sobie na krótką przerwę w czynnościach, ale ma przy sobie radiostację polową, dzięki której może utrzymywać stały kontakt ze sztabem. Kiedy dopijał kawę — kolejne wezwanie. Tym razem jakiś policjant postrzelił kierowcę w pobliżu bramy Saint Denis. Zaraz po przybyciu na miejsce, Davenas poleca odtworzyć przebieg wypadków z udziałem wspomnianego policjanta, od którego pobrano krew, by stwierdzić czy znajduje się pod działaniem alkoholu. Policjant ten ścigał taksówką kierowcę jakiegoś samochodu, który mimo nakazu nie zatrzymał się. Zdołał dogonić tego kierowcę w chwili, gdy parkował na ulicy. Podczas gdy policjant obmacywał automobilistę, trzymając w ręku odbezpieczony pistolet, doszło do strzału. Był to strzał przypadkowy.

Kilkanaście metrów dalej w karetce pogotowia ratunkowego lekarz przeprowadza ranniemu transfuzję. Sędzia śledczy wzywa do siebie dyżurnego komisarza z Generalnej Inspekcji Służb Policyjnych. Jest to swego rodzaju policja w policji, kompetentna w tego rodzaju sprawach.

Podczas weekendu przy pomocy jednego tylko prokuratora będzie zajmować się osobami kierowanymi doń przez komisarzy z całej stolicy. Są to w większości różnego rodzaju złodzieje pochwyceni na gorącym uczynku. Mamy także włamywaczy, ludzi oskarżonych o udział w bójkach i cudzoziemców bez dokumentów, głównie Afrykanów. Jeśli oskarżenia nie są podbudowane dowodami to sędzia śledczy zamyka sprawę. Najczęściej jednak decyduje się na przekazanie tych ludzi do kolegiów orzekających. Może także skierować sprawę do sądu — niezależnie od przypadku. Jeśli przestępstwo zagrożone jest karą wyższą niż 5 lat więzienia, to prokurator musi wszcząć postępowanie. Tak np. będzie w przypadku urzędnika, który zabił swą żonę i policjanta strzelającego do automobilisty.

Nadchodzą kolejne wezwania. Dziennikarze chcą znać nowe szczegóły. Policjanci domagają się instrukcji. Jest także wiele wezwań w rodzaju następującego: *„Panie prokuratorze, tutaj drugi oddział. Złapaliśmy 20-letniego Algierczyka, kiedy starał się ukraść radioodbiornik z samochodu. Nie ma przy sobie żadnych dokumentów. Najwyraźniej to narkoman. Co mamy z nim zrobić?* Odpowiedź sędziego: *„Przyślijcie go do mnie"*. Jeśli zatrzymany ma jakąś pracę i stały adres, a wykroczenie, którego dopuścił się nie jest zbyt poważne, to zapada decyzja *„Wypuście go, a potem prześlemy mu wezwanie"*.

Daniel L. 20-letni młodzieniec, został zatrzymany o godzinie 2.25 nad ranem w chwili, gdy rozbijał kabinę telefoniczną na rue de Rennes. Znaleziono przy nim łup — 350 franków — w drobnej monecie. Policjanci przesłuchali go o 5.15. Nad ranem przewieziony został do aresztu w Pałacu Sprawiedliwości. Davenas wezwał go do siebie o 17.00. Zatrzymany przyznał się do zarzucanych mu czynów.

— *Musiałem to zrobić, bo inaczej nie mógłbym kupić sobie porcji heroiny.*

Rzut oka na jego kryminalną przeszłość. Już od dawna znany jest policji.

— *Już chyba czas, żebyś się wziął w garść* — mówi sędzia. — *Zostaniesz zaraz postawiony przed sądem po spotkaniu z adwokatem, którego przydzielimy ci z urzędu.*

O godzinie 19.00 zapada wyrok. Trzy miesiące więzienia.

To prawda, że wymiar sprawiedliwości działa wolno, ale jest tak w przypadku spraw cywilnych, sporów o pracę, czy bardzo skomplikowanych kwestii. Nie jest tak natomiast w przypadku drobnych wykroczeń. Wbrew utartym poglądom połowa zatrzymanych na gorącym uczynku w Paryżu, otrzymuje wyrok w kilka godzin później. Ostatnie reformy pozwoliły usprawnić tę procedurę szybkiego działania, zwłaszcza przez wzmocnienie gwarancji obrony. Aby wreszcie skończyć z nadmiernym postępowaniem proceduralnym, które przed Robertem Badinterem pozwalało grać na zwłokę, obecny minister sprawiedliwości wprowadził szereg postanowień. Swego czasu Alain Peyrefitte także starał się zreformować wymiar sprawiedliwości w przypadku osób zatrzymanych na gorącym uczynku. To on był autorem mocno kwestionowanej ustawy „Bezpieczeństwo i wolność", która ostatecznie została anulowana. Na razie nowy system nie budzi większych sprzeciwów i funkcjonuje poprawnie.

Niedziela, godzina 18.00. Sędzia śledczy kończy kolejny dzień pracy. Przejrzał protokoły przesłuchań dotyczące spraw 43 osób, które na jego polecenie zostały przywiezione do Pałacu Sprawiedliwości. Teraz przekazuje sprawy innym wyspecjalizowanym sekcjom. Ledwie zdał relację prokuratorowi ze swej dzisiejszej działalności *kiedy zakomunikowano mu, że właśnie przywieziono trzech drobnych złodziejaszków jugosłowiańskich.* O tej godzinie nie ma już sędziego do spraw młodocianych. Dziewczyna zostanie przesłana zakonnicom, które mają ośrodek opieki dla kobiet, a dwaj chłopcy spędzą noc w ośrodku La Chapelle.

Wreszcie Laurent Davenas wraca do siebie. O godzinie 22.20 policjant w obronie koniecznej zastrzelił jakiegoś przestępcę koło komisariatu w dziewiątej dzielnicy. Ten policjant, jeszcze po cywilnemu, dopiero przybywał na służbę i ledwie zaparkował samochód, kiedy dwu młokosów zaczęło mu grozić pistoletem i domagało się, by oddał im kluczyki od wozu. Policjant skoczył ku temu, który trzymał pistolet, a równocześnie wyrwał swój pistolet zza pasa. Drugi z młokosów natychmiast uciekł, podczas gdy opryszek z pistoletem zaczął strzelać do opornego „automobilisty". Policjant, uskakując w bok, sam strzelił. 19-letni przestępca, nie notowany jeszcze przez policję, został trafiony. Nie udało się go przywrócić do życia.

Dyżur sędziego śledczego będzie trwał jeszcze przez cztery dni, w czasie których będzie miał do czynienia z topielcami, włamaniami i porwaniami. Będzie musiał udać się do więzienia Sante, gdzie jakiś młody Marokańczyk powiesił się na koszulce. Recydywista — odbywał karę piętnastu miesięcy więzienia.

Przed opuszczeniem Sante, Laurent Davenas wymienia kilka zdań z dyrektorem więzienia.

— *Mamy tu osiemset cel na 1800 więźniów, co jest już maksimum jakie można tolerować* — mówi dyrektor. — *Jeśli przekroczymy tę liczbę, to powstaną natychmiast ogromne problemy. We wrześniu mieliśmy tu już 2 tysiące więźniów i regularnie trzymamy tu 1900.*

Dyrektor mówi także o kłopotach związanych ze stałym wzrostem liczby toksykomanów, którzy często są bardzo agresywni. Chciałbym, aby sędziowie i prokuratorzy zwiedzili Sante, aby sami mogli się przekonać, jak wygląda rzeczywistość.

(„LE POINT")

■

Do Ameryki Południowej droga wiodła przez Rzym 4

Profesor Krunoslav Draganovic i Klaus Barbie

HANSJACOB STEHLE

Właściwie nie o Niemców, ani tym bardziej nie o emigrantów nazistowskich miała troszczyć się podkomisja „Papieskiej Komisji Pomocy", która gromadziła swoich podopiecznych na Piazza Augusto Imperatore, w „Iliryjskim Kolegium San Girolamo". Byli to przede wszystkim, ale nie tylko — dawni działacze i zwolennicy „Niezależnego Państwa Chorwacji" o krótkotrwałym żywocie, stworzonego przez faszystę „ustaszowca" i katolika Ante Pavelicia z łaski Hitlera. (On sam zbiegł w 1949 r. przez Rzym do Argentyny, a zmarł w 1959 roku w Hiszpanii).

Wielu znajdowało się na listach zbrodniarzy wojennych Tito, ale również alianckich, nie zawsze słusznie. Za piętnastoma spośród nich, którzy znajdowali się w więzieniu w Rzymie i mieli być wydani Jugosławii, wstawił się 28 kwietnia 1947 roku papieski sekretariat stanu, przekazując ich prośbę, żeby na Zachodzie wytoczono im proces przed „bezstronnym trybunałem międzynarodowym". Nie przykładali do tego żadnej wagi oczywiście ci, którym udało się przebić aż do „Kolegium Iliryjskiego": tu troszczył się o nich nie tylko rektor, Dziuro Madzereć, lecz przede wszystkim profesor Krunoslav Draganović (1903-1983), teolog i historyk.

Raport wywiadu amerykańskiego (CIC) z 1950 roku mówił o nim:

„Draganović jest znany jako faszysta i zbrodniarz wojenny, a jego kontakty z dyplomatami południowoamerykańskimi podobnego pokroju nie zawsze są aprobowane przez Departament Stanu USA.."

Nie przeszkodziło to jednak bynajmniej CIC do zawarcia z Draganoviciem osobliwej „transakcji": starał się on o paszporty emigracyjne i wizy dla ludzi, których zniknięciem z Europy CIC był zainteresowany. W zamian za to Amerykanie przymykali oczy, kiedy Draganović przemycał swoich faszystów — „ustaszowców" przez Rzym i Genuę do Ameryki Południowej. Ponieważ CIC płacił Draganowiciowi od osoby kwotę 1000 do 1400 dolarów za pośrednictwo (była to wówczas fantastyczna suma, zwłaszcza na czarnym rynku), duchowny pomocnik w ucieczkach mógł za to sfinansować paszporty i bilety okrętowe także swych własnych podopiecznych.

Draganović załatwiał przez jakiś czas dokumenty podróży za pośrednictwem „Międzynarodowej Organizacji Uchodźców", której Organizacja Narodów Zjednoczonych zleciła w 1948 r. zapewnienie powrotu do domów osobom deportowanym (Displaced Persons), a więc do jej kompetencji należały ofiary wojny hitlerowskiej, a nie byli naziści i byli faszyści. (Dlatego paszporty IRO nie odgrywały żadnej roli w aktywności Hudala i Beyera). Draganović miał jednak w biurze IRO w Rzymie „swego" człowieka, Amerykanina, który mu przez lata całe dostarczał dokumentów; dopiero kiedy ten „stracił nerwy", Draganović musiał korzystać z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, co prawda nie z jego centrali w Rzymie, gdzie Draganoviciowi nie ufano, lecz z jego filii w mieście portowym Genui.

Tu, na wniosek nowego, wówczas czterdziestoletniego arcybiskupa Genui, Giuseppe Siri powstał specjalny oddział „Papieskiej Komisji Pomocy", który miał w nagłówku listów wiele mówiącą nazwę „AUXILIUM" (Pomoc) i prowadził własne „Centro Nationale Emigrazione Argentina". Draganović kręcił się tam bez przerwy; w drażliwych wypadkach starał się także o „rekomendacje" biskupa Hudala. Jednakże w biurze Czerwonego Krzyża i w konsulatach południowoamerykańskich wystarczał jego podpis — nawet jeśli poświadczał fałszywe nazwiska.

I właśnie to stało się, kiedy 12 marca 1951 roku niejaki „Klaus Altmann" przybył z rodziną do Genui. Był to Klaus Barbie, osławiony szef Gestapo Lyonu, który do tego czasu — nie zmieniając zawodu — nadal pracował dla amerykańskiego wywiadu CIC w Augsburgu. Nie łamano tam sobie zbyt długo głowy, gdy chodziło o załatwienie ucieczki do Boliwii „solidnemu" współpracownikowi, który znajdował się na wszystkich listach gończych organów wymiaru sprawiedliwości, nie tylko francuskich. Czyż już nie istniała i tak „rat-line of father Draganović"?

Raport śledczy wydziału kryminalnego amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości ujawnił niedawno bez osłonek, w jaki sposób Barbiego wyprawiono do Genui i powierzono opiece chorwackiego profesora. Draganović nie wiedział przypuszczalnie dokładnie, o kogo rzeczywiście chodzi, kiedy na kwestionariuszach Czerwonego Krzyża („podać, za pośrednictwem jakiej odpowiedzialnej komisji następuje emigracja") stawiał swoje nazwisko. Wiedział jednak bardzo dobrze, dlaczego nie wymienił przy tym „Papieskiej Komisji Pomocy", której podkomisją chorwacką kierował. Sprawa „Altmann-Barbie" należała do jego własnych ponurych „transakcji" z Amerykanami.

W pięć lat później, w 1956 roku, Draganović został Austriakiem, przeniósł się do Wiednia i pracował jako historyk. Nie zajmował się wprawdzie krwawymi masakrami dokonywanymi przez faszystów ustaszowców, ale... przez partyzantów Tito. W 1967 r. zniknął nieoczekiwanie — porwany do Jugosławii, jak sądzili jego przyjaciele, obawiając się pokazowego procesu. Wkrótce jednak Draganović pojawił się w rodzinnej Bośni, gdzie zupełnie spokojnie wykładał w Sarajewie teologię. Z uporem milczał o tym, co się stało. W 1983 roku policja jugosłowiańska „odziedziczyła" jego pisemną spuściznę. W „San Girolamo" w Rzymie uczczono jego pamięć mszą żałobną...

(„DIE ZEIT")

■

W kręgu fantastyki

ILJA WARSZAWSKI

Leniuch 1

Antropoid miał fasetowy, panoramiczny wzrok. Rustan Iszymbajew widział poprzez powieki przykryte tarczami zwrotnego sprzężenia uchodzący daleko podziemny chodnik i dwie ściany z różowymi, porowatymi naroślami.

Wysokość chodnika to zwiększała się to zmniejszała i trzeba było cały czas regulować długość nóg antropoida tak, by jego ręce uzbrojone we frezy, znajdując się na wysokosci ramion cięły przynajmniej półmetrowy słój skały na sklepieniu.

Chmury niebieskiego pyłu spowijały głowę antropoida i Rustanowi zdawało się, ze ten pył przenika i w jego, Rustana płuca, osiada na gałkach oczu, drapie w nozdrzach.

Wciągnął nosem powietrze i niespodziewanie kichnął. Promień reflektora umocowanego na głowie antropoida, wzbił się ku górze i szybko spełzł na dół.

„Diabelska małpa!" — pomyślał Rustan.

Zdjął z oczu tarcze zwrotnego sprzężenia, przesunął drążek na pulpicie na sterowanie automatyczne, włączył ekran i uniósł ku górze kaptur. Ulżyło. Teraz widział korytarz w normalnej perspektywie.

Od kabiny do antropoida było około pięćdziesięciu metrów. Rustan spojrzał na zegarek. Do końca zmiany pozostawało dwie godziny, a norma była wykonana w niecałych dziesięciu procentach. Dwadzieścia pięć metrów szesciennych ściany dla kilku niebieskich okruszyn!

Oparł się o oparcie fotela i poruszył pokrętłem powiększalnika. Dwaj sortownicy zręcznie zbierali buldożerami stosy pyłu spod nog antropoida, przepychali przez sito i rozsypywali równą warstwą na dnie.

Rustan skierował ekran na skrzynki znajdujące się niedaleko od pulpitu. Jedna z nich do połowy była wypełniona kośćmi — produkt uboczny, zdobycz biologów, druga — pusta.

Splunąwszy, Rustan posłał kwiecistą, piętrową wiązankę przekleństw. Tak bywa zawsze. Innym dostają się odcinki, gdzie w ciągu jednego dnia można dobyć dwieście, trzysta gramów, a tu nic, jałowa skała i te głupie kości ni to ptaków, ni to kotów...

Znów skierował ekran na antropoida. Kłęby pyłu już nie zasłaniały przezroczystej kuli wypełnionej gęstym, mętnym płynem. Odmierzając kroki antropoid ciął frezami pustkę.

Rustan w pośpiechu naciągnął na głowę kaptur i przesunął drążek na telesterowanie.

„Stój!".

Kula zapłonęła jasnym blaskiem i zgasła. Antropoid zatrzymał się.

Rustan westchnął i umocował na oczach tarcze zwrotnego sprzężenia...

Teraz korytarz tworzył półkole i trzeba było cały czas trzymać pole widzenia antropoida dokładnie na jego środku. Kilka razy gubił kierunek i frezy wgryzały się w ścianę. Wówczas przed oczami Rustana wszystko zaczynało drżeć. Korpus antropoida wibrował od przeciążenia.

Rustan nie raz słyszał o Sylfie, ale zobaczył ją po raz pierwszy. Wyskoczyła z bocznego korytarza z szybkością ekspresu. Metrowe zlociste jajo na sześciu owłosionych nogach-słupach. A za moment przed jego oczami mignęła wyszczerzona paszcza na długiej, żmijopodobnej szyi.

Rustan rzucił się na oparcie fotela. Niewybaczalny błąd kierującego antropoidem. Zrozumiał to natychmiast, poczuwszy miażdżący cios w potylicę przesłany kanałem telekinetycznej łączności. Powtarzając jego ruch antropoid wyrżnął głową w ścianę.

Zamiast klarownego obrazu przed oczami Rustana przesuwały się rozmyte, szare kontury. Zdjął tarcze zwrotnego sprzężenia i włączył ekran. Dzięki Bogu z oczami wszystko w porządku, ale antropoid prawdopodobnie utracił orientację. Bez celu kręcił się w miejscu wymachując rękami. Sylfa zniknęła. Sortownicy kręcili się obok nóg antropoida. Nie otrzymując poleceń nie mogli nic robić.

Rustan przesunął gałkę telekinetycznej łączności na maksymalne wzmocnienie.

„Stój!".

Szara figura na ekranie kręciła się nadal.

„Stój, mówię do ciebie!".

Antropoid zatrzymał się, stając na baczność. Sortownicy także przerwali swoją bieganinę.

„Wyłącz frezy!".

Ekran nie dawał możliwości sprawdzenia, czy polecenie zostało wykonane.

„Chodź tu!".

Antropoid obrócił się twarzą do ekranu i odbijając się od ścian, ruszył ku kabinie.

„Stop! Obróć się!".

No tak na potylicy spore wgniecenie. Pod wciśniętą powłoką, w płynie kłębią się iskry.

Rustan westchnął i uniósł słuchawkę telefonu.

— Halo, dział remontowy? Mówi siódmy odcinek. Przyślijcie montera.

— Co tam u ciebie, siódmy? — zapytał niezadowolony kobiecy głos.

— Antropoid rozrabia.

— Proszę dokładnie. Co mu jest?

— Uszkodzona głowa. Zakłócenie orientacji, nie ma sprzężenia zwrotnego na wideotarczach.

— Tak... Mam nadzieję, że to wszystko?

— A co, jeszcze mało?

— Proszę posłuchać, siódmy, nie jestem pańską koleżanką i żarty na bok. Kto was tam tak urządził?

— Jakoś tak... — Rustan zająknął się. — Kawałek ściany.

— Zagapiliście się?

— Proszę posłuchać, panienko — głos Iszymbajewa rwał się ze złości. — Czy nie mówiła ci mama, że nie należy wtykać nosa w nie swoje sprawy? Twoim obowiązkiem jest przyjąć zlecenie, a przyczynę będą wyjaśniać ludzie dorośli i mądrzejsi.

Trzask! Ti-ti-ti..

— Idiotka — otarł czoło z potu. — Co teraz? Trzeba do dyspozytorni...

Ponownie wykręcił numer.

— Dyżurny dyspozytor, słucham.

— Mówi Iszymbajew z siódmego odcinka.

— A, Iszymbajew, no jak tam? Wykonasz normę?

— Nie wiem. Antropoid nawalił.

— Wzywałeś montera?

— Nie. Dzwoniłem do remontówki, ale tam siedzi jakaś taka... Wyzywa, odkłada słuchawkę...

— Poczekaj przy telefonie.

Rustan usłyszał trzask przełącznika, odłożył słuchawkę na pulpit i przymknął oczy.

„Boże — pomyślał. — Ale wymyśliłem sobie pracę, nie ma co. Bałwan jestem i tyle".

Ze słuchawki docierały doń oderwane wyrazy.

— ...wszystko jedno, nikomu nie pozwolę...

— ... nie jest pani na potańcówce. Wróci pani na Ziemię, wtedy proszę kaprysić ile dusza zapragnie, ale tu obowiązuje grafik...

— ... zachowuje się po chamsku!...

— ... Daję pani dwie godziny...

— ... takie uszkodzenie...

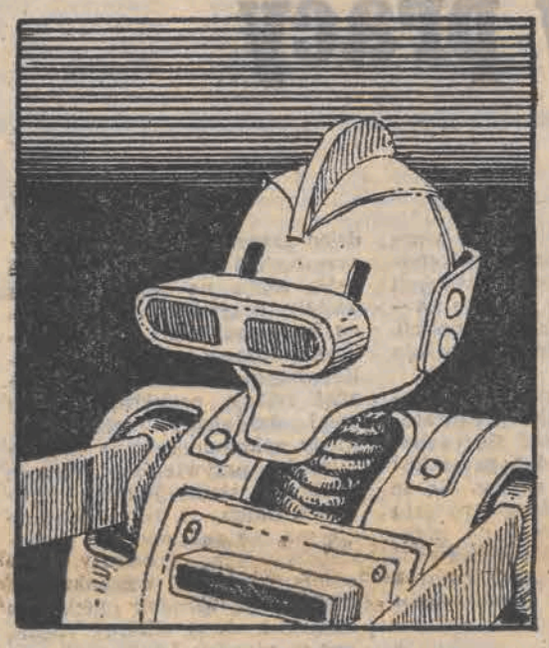

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— ... proszę wziąć z głównego składu...

— ... nie można w strefie...

— ... to zróbcie w pracowni... Tak, to rozkaz... Halo, Iszymbajew!

Rustan otworzył oczy i uniósł słuchawkę.

— Iszymbajew.

— Twój antropoid jest na chodzie?

— Chodzi... Źle chodzi.

— Pędź go do remontówki.

— Nie mam sprzężenia zwrotnego.

— To nic, dobrnie. Masz kartę wydobycia?

— Mam.

— A więc pędź go główną sztolnią do okrągłego szybu, a tam przejmie go remontówka. Na jakiej częstotliwości pracujesz?

— Psi trzydzieści sześć.

— Dobrze, przekażę im: psi trzydzieści sześć. Ile zrobiłeś metrów sześciennych?

— Około dwudziestu pięciu.

Dyspozytor gwizdnął.

— A to dlaczego?

Rustan poczerwieniał.

— Jakoś tak... Cały czas nawalał antropoid.

— Hm, a wydobycie?

„A niechże cię" — pomyślał Iszymbajew. Nie podobała mu się ta rozmowa. Wygląda na to, że będzie musiał jeszcze pisać wyjaśnienie.

— Nie wiem — skłamał. — Nie zdążyłem sprawdzić... Myślę, że bardzo mało... Prawie nic.

— Posłuchaj, Iszymbajew — w głosie dyspozytora pojawiły się nutki, które zmusiły Rustana, żeby z całej siły zacisnąć rękę na słuchawce. — Twój odcinek psuje nam całą statystykę...

— Dobrze już... — przerwał Rustan. — Już to słyszałem. Lepiej załatwcie remont. Nie mogę przecież gołymi rękami. Wróci antropoid, wówczas nadgonię. — Do diabła! Rustan sam nie mógł pojąć skąd u niego takie słowa. Najbardziej ze wszystkiego nie chciało mu się wracać dziś na szychtę. Ale było już za późno.

— Dobrze, Iszymbajew — głos w słuchawce jakby odtajał. — Za dwie godziny twój antropoid będzie gotowy, wydałem polecenia. Mam nadzieję, że dziś zrobisz trzysta metrów sześciennych. Umowa stoi?

— Niech będzie. — Iszymbajew odłożył słuchawkę.

* * *

„Unieś prawą rękę!".

Obraz na ekranie nie poruszył się.

Iszymbajew przełączył kontur radiacji.

Polecenie zostało wykonane, lecz uniesiona ręka chwiała się bezradnie niczym szmata na wietrze.

„Opuść. Dwa kroki do przodu!".

Antropoid poruszył się i wykonał dwa niepewne kroki. Telekinetyczny emanator pracował z niedopuszczalnym przeciążeniem. Pod kapturem było gorąco jak w piecu. Rustan przesunął go ku górze i rozłożył na kolanach schemat sztolni.

Aha, oto główny korytarz. Ależ labirynt! A przecież spenetrowano nie więcej niż dwiescie metrow górnej warstwy. Po tamtej historii opuszczać się na niższe chodniki nie pozwalano nawet geologom. Brrr! Nie ma co, rajska planetka. Sam pejzaż wystarczy.

Na górze zdarzyło mu się przebywać raz jedyny, po drodze z kosmodromu, ale i tego wystarczyło by raz na zawsze odebrać mu ochotę na powtórny tam pobyt. Niech to diabli, już lepiej wytrzymać rok tu, nie oglądając dziennego światła.

Ponownie naciągnął kaptur na głowę.

„Iść prosto do pierwszej ściany, skręcić w prawo, iść do okrągłego przejścia, zatrzymać się, czekać na rozkaz! To twój program. No, idź!".

Antropoid podreptał chwilę w miejscu i z ociąganiem się ruszył. Sortownicy poszli za nim.

Dotarli do skrętu.

„W prawo!" — polecił Rustan.

Antropoid posłusznie skręcił. Śledzić go dalej bez sprzężenia zwrotnego było niemożliwe. Iszymbajew wyłączył urządzenie.

„Co za dzionek!" — ścisnął głowę w rękach. — „A niech to wszyscy..."

Zapragnął zasnąć, ale klaść się na dwie godziny nie było sensu.

„Idiota — pomyślał o sobie. — Sam wyprosiłem godziny nadliczbowe. Mało mi było, czy co?"

„Przecież nie będę tu sterczeć przez dwie godziny" — wstał z fotela, przeciągnął się i wyszedł na ciąg komunikacyjny.

Przekrój otworu był mały i musiał iść zgięty, pokonując silną strugę powietrza przesyconego mdłym odorem amoniaku.

„Ale zapaszek" — myślał, zaciskając nos i oddychając ustami przez chusteczkę zmoczoną w cieczy neutralizującej. — „Mija rok jak zabierają się za wybicie połączenia z prawdziwego zdarzenia. Widać za krótkie ręce, albo myślą tylko o tym swoim wenocecie. Też mi coś: eliksir nieśmiertelności!"

Na wprost były drzwi kabiny piątego odcinka. Nacisnął rygiel i wszedł. Tu przynajmniej mniej cuchnęło amoniakiem, każda kabina miała urządzenia oczyszczające.

Duszanow stał z oczami przysłoniętymi tarczami zwrotnego sprzężenia. Telekinetyczny kaptur zsunął na potylicę, ręce wyciągnął do przodu jakby trzymał w nich frezy.

Odwrócił się słysząc szmer otwieranych drzwi.

— A, to ty!

— Ja. Można? Posiedzę chwilę z tobą.

— Siadaj. — Przełączył pulpit na kierowanie automatyczne. — Chcesz czegoś?

— Awaria.

— Coś poważnego?

— Godzina, dwie. Ile dziś zrobiłeś?

— Siedemset kubików.

— Bujasz!

— Po co miałbym bujać? — Duszanow włączył ekran i pokazał skrzynkę wypełnioną do połowy kulkami wenoceta.

Rustanowi oczy wylazły z orbit.

— Będzie z pół kilo.

— Ale masz fart!

— Ile tego?

— Trzeba pracować. Wszystkie odcinki są jednakowe.

— Z tego wniosek, że brak mi zdolności — westchnął Rustan.

— Bzdura. Nikt nie rodzi się ze zdolnościami telekinetycznymi. Trzeba je dopiero wykształcać.

Rustan podniósł się z fotela.

— Słyszałem już o tym. Na kursach.

— No, już dobrze — Duszanow spojrzał na ekran. — Horyzont się obniża, muszę przejść na sprzężenie zwrotne. Wybacz.

— Wybaczam. Ale powiedz: czy ta praca daje ci satysfakcję?

— Oczywiście.

— Dlaczego?

— Jakby ci to wytłumaczyć — Duszanow nasunął na oczy tarczę sprzężenia zwrotnego. — Już w dzieciństwie marzyłem o tym, by za pomocą myśli kierować maszynami. Rozumiesz? Siedzisz sobie w tym oto fotelu, a całe twoje doświadczenie i wiedza jest tam, w antropoidzie.

— A ja, nie.

— Co, nie?

— Nie marzyłem o tym.

— A o czym?

— O niczym. Teraz marzę o jednym: wyspać się.

— Leniuch z ciebie, Rustan.

— Może i leniuch — powiedział Iszymbajew.

* * *

Mały, wąski pokoik był wypełniony dźwiękami. Z prawej strony rozlegało się chrapanie, nad łóżkiem darł się głośnik, z lewej słychać było przytłumioną rozmowę.

Rustan zdjął buty, wyłączył radio i położył się na łóżku.

— Szukać należy w dolnych horyzontach — mówił baryton z lewej strony. — Stamtąd idzie silne psi — promieniowanie.

— Ale mówią, że tam są te, jak ich tam... Sylfy — odezwał się głos kobiecy.

„Zapewne parka geofizyków — pomyślał Rustan. — Tacy, co to przylecieli przedwczoraj." Widział ich w kawiarni. Mężczyzna miał gesta czuprynę i mięsisty nos. Kobieta nosiła spodnie i czarną narzutkę. Włosy do ramion.

— Nonsens! — autorytatywnie powiedział baryton. — Dysponując takimi środkami rażenia...

„Jełop — pomyślał Rustan. — Dureń do kwadratu. Pokazać by ci Sylfę!"

— Nie żałujesz, żeś tu przyleciała?

— Nie, przecież od czegoś trzeba było zacząć. Tylko pachnie tu przeokropnie.

— Amoniak. Atmosfera planety zawiera dużo amoniaku, a oczyszczalnia powietrza nie spełnia swego zadania. Przecież opanowanie planety jeszcze się na dobre nie zaczęło.

„Nie spełnia swego zadania!" — Rustan zakrztusił się ze złości przypomniawszy sobie ciąg komunikacyjny. — „Pożyjesz tu, a przekonasz się jak to jest z tym „zadaniem".

— A mnie się zdaje, że dodatkowo cuchnie tu kotami.

— To merkaptan. Nasącza się nim skafandry przed wyjściem do strefy.

— Widzę, że wiesz o wszystkim.

Rozległ się odgłos pocałunku. Rustan zerwał się i włączył radio.

„... podstawa telekinetycznego kierowania polega na absolutnie identycznym zestrojeniu długości fali psi pola kierowanego przedmiotu z podmiotem kierującym. Maksymalną skuteczność uzyskuje się przy pełnym psychicznym przełączeniu na wykonywaną przez przedmiot pracę. Kierujący antropoidem winien nie tylko wydawać polecenia, lecz korzystając ze sprzężenia zwrotnego, samemu w myślach wcielać w antropoida..."

Rustan pomacał potylicę. Wiedział przecież aż za dobrze, co znaczy wcielanie się za pomocą sprzężenia zwrotnego.

„... biorąc pod uwagę fakt, że natężenie psi — pola jest wprost proporcjonalne do kwadratu odległości, należy regulować obwód zasilania w zależności od intensywności recepturalnej percepcji..."

Iszymbajew wyrwał wtyczkę z gniazdka.

— Odkrycie terapeutycznej aktywności wenocetu praktycznie rozwiązuje problem długowieczności — mruczał baryton z lewej strony. — Osobiście jestem zwolennikiem biologicznej teorii pochodzenia, choć twierdzenie, że wenocet to nic innego jak skamieniałe poczwarki owadów...

„O, Boże, tu także wenocet!" — spojrzał na zegarek, włożył buty i powlókł się do kawiarni. Miał jeszcze około godziny wolnego.

* * *

W kawiarni było pusto, jeśli nie liczyć Grave'a. Ten jak zwykle siedział za stolikiem obok bufetu.

„Szczęściarz — pomyślał Rustan. — Dwa miesiące na chorobowym".

— Siadaj — Grave przysunął krzesło.

— Co żujesz? — Rustan zajrzał do menu.

— Możesz nie czytać — powiedziała bufetowa. — Mielonka, kawa i nic więcej.

— Ho, ho, ależ zdrowo tu karmicie.

— A co, chorujesz? — spytał Grave.

— Nie przerwa na remont.

— Jutro obiecali podrzucić mięso — powiedziała bufetowa. — Na Nowy Rok komendant zamierza przygotować kotlety z makaronem.

— Przydałoby się — oblizał się Grave.

— Do tego po kieliszku spirytusu na twarz.

— Ba, po kieliszku! — uśmiechnął się Rustan.

— Jeśli się nie podoba, możesz nie pić — powiedziała bufetowa. — Chętni zawsze się znajdą.

Rustan w milczeniu żuł mielonkę.

Grave moczył suchar w kawie i nadgryzał małe kąski.

— Wykonałeś normę? — zapytał.

Rustan machnął ręką.

— Diabli z nią. Obrzydło mi już to wszystko do potęgi.

— Romantyk — pogardliwie powiedziała bufetowa. — Przez te cztery lata przewinęło się tu ich sporo. Naczytali się opowieści fantastycznych, a tu, jak zobaczą Sylfę, to całe miesiące łażą z wytrzeszczonymi gałami. A ty, czego się spodziewałeś, kiedy się werbowałeś?

— Przecież nie wiedziałem...

— Nie wiedziałeś? A teraz już wiesz! Czego wam potrzeba? Siedzi taki w miękkim fotelu i przez cztery godziny na dobę rozkazuje. Postałby tak za bufetem. Telekinetyka! Też mi praca! Chętnie bym was karmiła telekinetycznie!

— To nic, przywykniesz — powiedział Grave.

— Zrozum, Grave — Rustan z trudem szukał słów. — Mówi się że jestem leń. Być może leń, nie wiem. Jednakże nie leży mi ta robota... Jestem przecież starym górnikiem. Fedrowałem młotem pneumatycznym, a nawet kilofem... Ale tu... Tu jest co innego.

— Dziwak z ciebie — powiedział Grave. — Przyjemniej ci było machać oskardem niźli prowadzić antropoida?

— Żebyś wiedział, przyjemniej. Tam była autentyczna praca, nawet męczyłeś się jakoś po ludzku, a tu formalnie... — urwał spojrzawszy na bufetową.

— Trzeba trenować — powiedział Grave. — Kiedy się oswoisz, zrozumiesz, że maszynę nie możesz ganiać z kilofem.

— Być może, ale pod kilofem czułem skałę. A skała bywa różna: twarda albo miękka. Pracujesz i zastanawiasz się gdzie uderzyć, a gdzie sama odpadnie. — Rustan westchnął, spojrzał na zegarek. — Niech tam, starczy tego mielenia jęzorem. Nalej mi kawy.

Pozostawało dwadzieścia minut. Gdyby wiedzieli jak mu się nie chce iść na szychtę!

c.d.n.

Przełożył: IWA

1

Wiara i słoma

Wiara czyni cuda — powiadają. — Wiara przenosi góry. Nie każdy człowiek do końca uświadamia sobie swoje możliwości. Ponoć tkwią w nas takie siły, że nie potrafimy sobie nawet tego wyobrazić. Skąd o tym wiemy? Ano wiemy stąd, że jeden ma fenomenalną, fotograficzną nawet pamięć. Był taki facet, który potrafił przeczytać tylko raz gazetę i następnie powtórzyć ją całą z pamięci. Występował w kawiarniach i teatrzykach budząc powszechny podziw.

Kto inny potrafi wzrokiem łamać łyżeczki i przesuwać różne przedmioty. Celują w tym szczególnie dzieci. Ponoć każde dziecko w wieku dojrzewania by to potrafiło, tylko nie każde sobie to uświadamia i potrafi taką energią w nim tkwiącą posługiwać się.

No i wreszcie są tacy, którzy potrafią uzdrawiać innych. Z tym uzdrawianiem jest wszakże najwięcej kłopotu. Nie każdy przecież, kto usiłuje uzdrawiać posiada ku temu właściwe możliwości. Niektórzy w ogóle nie wierzą w to całe uzdrawianie, różdżkarstwo i inne bioprądy. Powiadają oni, że to „wszystko pic i fotomontaż", czyli bzdura i nabieranie ludzi. A ludzie są naiwni i we wszystko gotowi uwierzyć.

Ale też ludzie poważni, traktujący wszystko z należytym dystansem i sceptycyzmem właśnie wierze przyznają ogromne znaczenie. Kiedy człowiek chce być zdrowy, kiedy wierzy, że *mu coś pomoże*, to — powiadają *lekarze — łatwiej go leczyć* i wyleczyć. *Pewien starszy* człowiek — a więc i *doświadczony*, choć nie lekarz — powiedział mi, że jak człowiek w coś silnie uwierzy, na przykład, że wyzdrowieje, to mu i wywar ze słomy pomoże.

Wiara czyni cuda.

Spróbowałem. Głęboko uwierzyłem, że jak pójdę do znajomego młyna łowić ryby to złowię wielkiego szczupaka. Sam kiedyś widziałem, jak facet wyciągnął trzy takie „basiory". Wziąłem sprzęt średniej klasy, ale przecież nie najgorszy i poszedłem. Pod młynem siedziało, chodziło i łowiło już kilku facetów. Sprzęt mieli różny, ale każdy chciał mieć lepszy od konkurencji i niektórym to się udało. Sporo dolarów na to wydali. Skąd oni je biorą?

Siedzieliśmy, chodziliśmy i łowili. Ale bez większych rezultatów. Aż przyszedł taki sobie mizerak Klij miał z leszczyny, kołowrotek jakiś powyginany, żyłkę powiązaną na końcu której miał uwiązany kawałek aluminiowej łyżeczki i przynitowanym hakiem. Wszystko własnej roboty I ten chudzina, prymityw techniczny wędkarstwa, na naszych oczach wyciągnął cztery pękate bolenie i poszedł jakby nigdy nic do domu. A my siedzieliśmy, chodziliśmy i łowili. Ktoś tam wyciągnął żarłocznego okonia, komuś coś się urwało. Wszyscy byli wściekli. A ja wierzyłem głęboko. Nawet widziałem oczyma wyobraźni te trzy piękne szczupaki. Wiara mi nie pomogła. Łowić ryby trzeba też umieć.

Ponoć jednak w innych dziedzinach wiara pomaga. Specjaliści Katedry Medycyny Społecznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie zainteresowali się wynikami uzdrawiania przez Clive'a Harrisa. Dawno już ten i ów domagał się w piśmie i mowie, aby tym fenomenem zainteresowali się lekarze i nie tylko. Rozpisano więc w Szczecinie ankietę wśród tych, którzy byli u Clive'a Harrisa w 1978 roku. Na ankietę odpowiedziało 507 osób. Ciekawe są wyniki tych badań. 71 procent ankietowanych uznało, że dotyk Clive'a Harrisa im pomógł. Wśród nich 17 procent uznało się za wyleczonych. Ale 25 procent ankietowanych uznało, że dotyk Clive'a Harrisa im nic nie pomógł, a 4 procent — że nastąpiło... pogorszenie.

Taka jest samoocena badanych. Poddano więc ich kontroli lekarskiej i wtedy okazało się, że wyniki samooceny pokrywają się z wynikami badań lekarskich. Ten, kto czuje się lepiej, temu rzeczywiście stan zdrowia się poprawił, a temu, kto czuje się bez zmian, nic nie pomogły zabiegi Clive'a Harrisa. I wreszcie ci, którzy uznali, że im się pogorszyło, mają rzeczywiście widoczny postęp choroby. Te wyniki uzyskane w Szczecinie pokrywają się z wynikami badań przeprowadzonych w innych krajach.

Ale mało tego. Ludzi ankietowanych w Szczecinie poddano skomplikowanym badaniom psychologicznym. Wykazały one mianowicie pewną zależność między skłonnością do sugestii u badanych a dobrymi wynikami uzyskanymi po spotkaniu z Clive Harrisem. Właśnie wiara w jego pomoc — oczywiście w niektórych wypadkach — przynosi pozytywne rezultaty. Jeśli więc wiara czyni cuda, to właśnie w sprzyjających okolicznościach.

Można tu zastosować zasadę: pomogę ci jeśli pomożesz sobie sam. Albo inaczej: pomogę ci, jeśli chcesz i wierzysz, że ci pomogę. Jeśli ta wiara pomoże organizmowi zwalczyć chorobę. Wtedy — jak powiadał pewien doświadczony człowiek — i wywar ze słomy pomoże.

LUCJAN BOGUSZ

2

Spojrzenie znad szachownicy

Trener Górski i kret na działce

1.

Dziś będziemy znów ględzić o szachach, ale nie tylko. Będziemy również ględzić o krecie, który buszuje na naszej działce, nie chcąc — bydle jedno — stosować się do żadnej z zasad szacownej gry wojennej, którą szachy były w swoich pradziejach i którą, mimo różnorodnych reform, w gruncie rzeczy pozostały.

Zaczniemy jednak od trenera Górskiego. Zanim jeszcze zdążyliśmy dać odpór ludziom z telewizora, którzy określenia „piłkarskie szachy" używali w charakterze ciężkiej obelgi, ozwał się Kazimierz Górski na łamach sobotnio-niedzielnej „Trybuny Ludu". W interesującej wypowiedzi „Diabelski zawód", poświęconej w zasadzie pracy trenera, pan Kazimierz również zahaczył o szachy, choć jednak nie faulował, to — mówiąc delikatnie — przestrzelił.

„Niektórzy lubią porównywać piłkę do szachów — powiada popularny trener — *Ja twierdzę, że prawdziwy futbol ma z tą grą niewiele wspólnego. Bo szachy to chłodna kalkulacja, oparta przeważnie na zasadach prosto z podręcznika. Jak ktoś zrobi udane odstępstwo od teorii, słychać o nowince. W piłce kalkulacja też jest potrzebna, ale liczą się głównie improwizacja, impet, fantazja, śmiałość i rozmach. Gra asekuracyjna, defensywna, obliczona na utrzymanie wyniku, zabija indywidualność i pozbawia inicjatywy".*

2.

Święte słowa, doprawdy, tyle tylko, że to, co pan Kazimierz mówi o piłce nożnej, można do szachów odnieść w całej pełni, natomiast to, co mówi o szachach — można odnieść co najwyżej do wstępnej fazy gry, czyli do debiutu.

Gdyby szachy istotnie dało się oprzeć na podręczniku, wystarczyłoby zlecić komputerowi przeżucie kilku czy kilkunastu książek i mielibyśmy cyfrowego arcymistrza. Wszelako komputery — aczkolwiek niepomiernie przewyższają człowieka pojemnością pamięci — ani w ząb nie potrafią grać twórczo, improwizować, słowem poczynać sobie tak, jak poczyna szachista. I dlatego wciąż przegrywają, nie wychodząc poza miałką poprawność; prawdziwie celnym, głęboko erudycyjnym przytykiem, który polecam łaskawej uwadze PT Komentatorom Telewizji, byłby tedy okrzyk: — Doprawdy, proszę państwa, drużyna RFN rozgrywa dzisiejszy mecz z polotem szachowego komputera!

To byłoby po pierwsze, choć może być jeszcze po drugie, po trzecie i po diabli wiedzieć które. Na przykład ów sławny „podręcznik", o którym sympatyczny trener wspomina, nie jest bynajmniej pismem objawionym wręczonym zdumionym szachistom na jakiejś tam podniosłej górze. Podręcznik — to zbiór wybranych przykładów z partii praktycznych, zbiór posunięć wypróbowanych kiedyś tam przez jednego czy drugiego mistrza. Znajomość podręcznika zwalnia nas w rezultacie od nieustannego odkrywania szachowej Ameryki i wymyślania szachowego prochu, debiut kończy się jednak na którymś tam ruchu i dalej trzeba już grać samemu. Z dwóch szachistów o równym przygotowaniu teoretycznym jeden ma jednak większy talent, a drugi mniejszy. I dlatego padają rozstrzygnięcia, ktoś często wygrywa i zostaje mistrzem świata, ktoś raz za razem przegrywa i przestaje liczyć się w czołówce.

Decydują — tak, tak, drogi panie Kazimierzu — *„...improwizacja, impet, fantazja, śmiałość i rozmach".*

3.

Przynajmniej taki impet i rozmach, jakie cechują mojego kreta (albo moje krety, bo jest ich, zdaje się, cała spora rodzina, która do tego miewa niekiedy gości).

Otóż mój kret — dla uproszczenia pozostańmy przy liczbie pojedynczej — przede wszystkim jest stworzeniem upartym i mało komunikatywnym. Trudne były rozmowy Polaka z Polakiem, ale rozmowy działkowicza z kretem okazały się całkiem beznadziejne jako że negocjacje na zasadzie „gadał dziad do obrazu" przedłużały się nad wszelką rozsądną miarę.

Rozeźlony spróbowałem takiego syna straszyć korzystając ze ściśle naukowych tudzież szamańskich receptur. Lałem w krecie korytarze rozmaite świństwa, od których mnie robiło się mdło, ale jemu ani trochę. Wbijałem tu i ówdzie pręty z przywiązanym metalowym ciężarkiem, iżby to dzwonienie i łomotanie przeistoczone w tak zwaną wibrację niosło się po podziemnych czeluściach. Zbrojny w szachową wiedzę nie robiłem tego ot tak, ale planowo. Kiedy kret łaził po skosie, wykonując ruch gońca, ja atakowałem go ruchem wieży — po liniach pionowych. Gdy rozgrzebał mi grządki tu, tam i tam, co przypominało ruch skoczka, wyliczałem jego następny ruch i w podejrzane miejsca wbijałem butelki z przetrąconym denkiem, żeby draniowi gdy się tylko pojawi, w uszach zaczęło gwizdać. Może i zaczęło, ale on gwizdał sobie na to gwizdanie i dziwacznym slalomem przenosił się, dajmy na to, w kapustę.

Już Szekspir musiał coś wiedzieć o tej chyżości kreta, nie przypadkiem bowiem w usta młodego Hamleta włożył pamiętne słowa skierowane do Hamleta — ojca, czyli tak zwanego Ducha:

Ha, krecie!
Tak prędko umiesz szybować pod ziemią?
Wyborny z ciebie minier!

Może i wyborny, ale mnie to nie cieszy. Stanowczo muszę coś wymyślić na te krecie podchody, jakiś kontr-gambit kreta powiedzmy. Jeżeli więc coś huknie i błyśnie na dalekim Teofilowie — nie martwcie się przesadnie, będzie to po prostu znaczyć, że odkryłem ten kontr-gambit. Mogę wprawdzie zamilknąć potem na czas dłuższy, podobno bowiem milicja nie lubi zabaw z dynamitem, jednak, nie martwcie się i wówczas — być może w odosobnieniu uda mi się dociec, czym szachy od piłki nożnej różnią się naprawdę.

JERZY P.

3

Sposób na lato

To był najbrzydszy kawałek wiosny: lało, wiało, przylaszczki, które już dawno powinny pojawić się w pęczkach na rogach ulic ani myślały rozkwitać. Ponuro było, paskudnie i smutno. Przypomniałam sobie radę mojej babci, która twierdziła, że na rozmaite małe i większe babskie smutki najlepszym lekarstwem jest nowy kapelusz. Po co mi kapelusz? Ale przecież coś zrobić trzeba! Przekonana o konieczności działania pewnego deszczowego poranka usiadłam przed lustrem na fotelu, owinięta w kolorową pelerynkę, w salonie Mistrza Hirka. Szczękały nożyczki, migały kolorowe wałki i grzebienie. Na nieodłączne w takiej sytuacji pytanie „jak czeszemy" nieinteligentnie odpowiedziałam „a bo ja wiem?". Wkrótce zamiast włosów do pasa miałam kilkucentymetrowe kosmyki. Dobiegające zza pleców westchnienia pań oczekujących na swoją kolejkę upewniły mnie, że te kosmyki — to jest właśnie to.

Po godzinie wyszłam na ulicę w nowej fryzurze. Deszcz padał nadal, ale nie była to już paskudna szaruga. To był śliczny, wiosenny deszcz. W domu pojawiły się nowe, bardzo przyjemne zmartwienia: gdzie odpruć falbankę, co skrócić, a co podłużyć, bo stare ciuchy do nowej fryzury nie pasują. Jednym słowem — działo się to, co powinno dziać się wiosną. A wszystko zasługa Mistrza Hirka. I to był mój — udany — sposób na wiosnę.

A teraz mamy brzydkie lato: leje, wieje itd. Co robić z takim latem w mieście? Wszyscy, którzy nie wyjeżdżają w tym czasie na wczasy, próbują różnych sposobów.

Wiele pań, które sens wakacji widzą w ciemnej opaleniźnie, poświęca wszystkie wolne chwile na tropienie słońca. Mieszkam prawie na końcu Łodzi, niedaleko torów kolejowych. Tory od ulicy oddziela kilkumetrowy pas trawy. Gdy tylko na chwilę pokaże się słońce — panie rozkładają kocyki na zaśmieconej trawie, wśród potłuczonych butelek, papierów i pustych puszek po konserwach. Z kolejowego nasypu leci piach, od ruchliwej jezdni wieją gęste obłoki spalin. Po godzinie panie są ciemne. (To nie opalenizna — to kurz) ale zadowolone. Można i tak.

Pewna moja znajoma, dla której największą udręką jest racjonalne żywienie rodziny, latem wydziela każdemu odpowiednią ilość gotówki, z zaleceniem „żywcie się sami". W efekcie — dziecko zamiast obiadów opycha się lodami i ciastkami, ona sama — dba o linię, jedząc truskawki, a mąż, głodny po barowej-pomidorowej, po powrocie do domu smaży jajecznicę, głośno chwaląc własny talent kulinarny i świętą cierpliwość do „takiej baby". I wszyscy są zadowoleni — bo jest inaczej niż przez pozostałe 10 miesięcy, wakacyjnie. Też dobry sposób.

Najbiedniejsze są dzieci, które z różnych przyczyn muszą część wakacji spędzić w mieście. Uwolnione od szkolnych zajęć, całymi dniami okupują place zabaw przed domami.

Jeden taki plac mam pod oknem. Wyposażony typowo — zjeżdżalnie, huśtawki, karuzela, ścieżka zdrowia. I fajnie by było, gdyby wszystkie te przyrządy ustawiono na trawie. Ale nie. Stoją na wysypanym żużlem placu. Każdy upadek kończy się rozbiciem kolana, zjazd z lądowaniem na siedzeniu paskudnym upaprańem spodni. Po pół godzinie zabawy dzieci, zwłaszcza te młodsze, przypominają małe Murzyniątka. Starsze, mądrzejsze, przenoszą się z żużlowego placu na pobliskie trawniki, grając w piłkę tuż obok tabliczek z napisami „szanuj zieleń". I bardzo dobrze. Przynajmniej one wykazują rozsądek, którego brakło projektantom osiedla, skazującym dzieci na żużel.

Jeszcze inny sposób na lato wymyśliła pewna pani wychowawczyni, która wraz z 30-osobową grupą kolonistów w wieku od 7 do 12 lat wtargnęła do „Centralu". To, co się działo, przypominało Apokalipsę. Dzieciaki rzuciły się między stoiska, obmacywały sukienki, zdejmowały z lady zabawki. Ktoś tam miał loda, inny lizaka. Panie ekspedientki rzuciły się bronić towarów przed wymiętoszeniem brudnymi rękami, pomagały wychowawczyni zebrać w grupę rozproszone stadko. Udało się. I wtedy zaczął się drugi akt zabawy.

Pani wychowawczyni, „trzymająca kasę", zaczęła wypłacać dzieciom pieniądze na zakupy. Temu 200 zł, innemu 1000. Dzieci ustawiły się w kolejkach. Niektóre przy stoisku z zabawkami, inne kupowały rzeczy dziwne: haleczkę dla mamusi, skarpetki dla taty, jeden maluch targał nawet sporą emaliowaną miednicę. Można przypuszczać, że ten sposób na lato, który wymyśliła wychowawczyni był gorąco popierany przez niektóre mamy, wyposażające dzieci w sumy, przekraczające znacznie kolonijne potrzeby. Jak mają wolne — to niech postoją w kolejkach dla dobra rodziny. Im wcześniej odczują na własnej skórze, że mamy kryzys, tym lepiej dla nich.

A mój własny sposób na brzydkie lato? Wybieram się wkrótce do Mistrza Hirka. Kosmyki już odrosły, zresztą może tym razem nie strzyc, tylko ufarbować na słoneczny, letni kolor? Może zrobić trwałą? Ale o tym niech już zadecyduje fryzjer, który — jako fachowiec — lepiej wie, co trzeba zrobić z włosami, aby było ładnie i zupełnie inaczej. Że ten sposób wykorzystałam już wiosną — to nie szkodzi. Jest dobry na wszystkie pory roku, jeżeli tylko robi się ponuro, ostatni kawałek mięsa zniknął z lodówki i na dodatek leje i wieje...

Oczywiście polecam go tylko paniom. Panowie sami potrafią sobie poradzić. A jeśli któryś na czas lata w mieście nie potrafi znaleźć sobie nowej żony — niech odnowi starą, wydając stanowcze polecenie „idź coś zrobić z tą głową".

AGATA

4

Lewym okiem

Napastnicy zza biurka

Czytałem o ankiecie, jaką w RFN przeprowadziła tamtejsza partia „zielonych", czyli tych, co za główny punkt programu przyjęli ochronę środowiska naturalnego. W ankiecie tej zajęli się ochroną kobiet, co zapewne należy także do najszerzej pojętej ochrony przyrody. Mianowicie postanowili zbadać, na jakie niebezpieczeństwa narażona jest kobieta pracująca.

No i wyszło na jaw, że 18 procent pracujących kobiet napastowanych jest seksualnie w miejscu zatrudnienia, i to tak natarczywie, że 8 procent z nich (z tych napastowanych) czuje się zmuszona zmienić z tego powodu pracę. Pewnie ankietę rozesłano urzędniczkom, a jej wyniki zgeneralizowano na całą rzeszę 11 milionów kobiet. Myślę tak dlatego, że są i takie wnioski ankiety: co drugim napastującym jest **kolega zza biurka**, co trzecim — własny szef, w 11 procentach interesant, a w 6 procentach — podwładny. Kolega zza biurka napastuje, ale widać kolega zza sąsiedniej maszyny w hali fabrycznej nie napastuje. Szef napastuje, ale majster — nie. A może majster nie jest szefem? W każdym razie „szef" i „interesant" to są pojęcia biurowe, a skoro tak, to nie można mówić o jedenastu milionach, o wszystkich zatrudnionych paniach: modelkach, konduktorkach, sprzątaczkach i włókniarkach.

Co do mnie to uważam, że ośiemnaście procent napastowanych to bardzo mało. Czyżby aż cztery piąte (z górą) pracujących pań nie zwracało w ogóle na siebie uwagi panów? Bo co to jest „napastowanie seksualne"? Gwałt przy użyciu wykręcania rąk, z żyletką na gardle, z szantażem finansowym i innym, czy na przykład czynione z przyśmieszkiem „propozycje", zaproszenia na nowe płyty, na weekend, na małą czarną?

Myślę, że ten drugi rodzaj „napastowania seksualnego, zwany modnie „podrywaniem", odbywa się nieustannie, bez przerwy, wszędzie bez wyjątku. Byłoby bardzo dziwne, a nawet nienormalne, gdyby takim wyjątkiem było miejsce zatrudnienia. Tam się przecież spędza większą część dorosłego życia i właśnie tam kojarzy się najwięcej małżeńskich (i pozamałżeńskich też, to jasne) par. Jakże by się skojarzyły bez uprzedniego „napastowania"?

Czy „napastowanie seksualne" w miejscu pracy jest czymś bardziej nagannym niż napastowanie w lesie, albo na ulicy, albo w pociągu? Można by przeprowadzić i takie ankiety. Wyszłoby z nich znowu po kilkanaście procent, z jakimś tam rozróżnieniem, na przykład:

napastowanych w lesie — 15 procent,
z tego w lesie sosnowym — 8 procent,
w lesie mieszanym — 2 procent,
przez służbę leśną — 5 procent,
przez własnego męża — pół procent,
przez kolegę zza biurka — 3 procent
i tak dalej. Albo na ulicy:
przez przechodniów — 20 procent,
przez panów, z którymi się idzie pod rękę — 30 procent,
przez innych — 10 procent.

No i co z tego wynika? Nic. A raczej wynika to, że niektóre panie są napastowane wszędzie, a niektóre — nigdzie. Ale to jest charakterystyka pań, a nie — środowisk. Myślę, że dla scharakteryzowania środowiska kobiet pracujących należałoby stawiać inne pytania, a nie takie o „seksualnym napastowaniu".

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 29

O tym, jak doktor Niegłowicz wybrał się w podróż

— Pasażerowie: Kurt Kersten i Jan Niegłowicz, odlatujący do Kopenhagi, rejs numer dwadzieścia siedem, proszeni są o przyśpieszenie załatwiania formalności paszportowych i celnych...".

Głośnik powtarzał tę samą informację jeszcze w trzech językach, doktor jednak nie słuchał. Znowu przymknął powieki, przywołując z pamięci obraz wioskowego cmentarza, który mijał powracając z Trumiejek. Między grobami kręciło się kilka kobiet — grabiły zeschnięte liście, wycinały krzaki, prostowały drewniane krzyże, tak jak to zwykły czynić na długo przed świętem zmarłych. Na płycie grobowej chorążego Niegłowicza nawet z drogi widać było pęk białych chryzantem. Kto je tam położył? Jakaś kobieca czy męska ręka? W czyim ogródku rosły białe chryzantemy? Chyba jedynie u sołtysa Jonasza Wątrucha, bo na pewno nie u Gertrudy Makuch. Ona tuż przed Dniem Zadusznym uplecie wieniec ze świerkowych gałązek, przewiąże go czerwoną wstążką i zaniesie na grób chorążego. Dla Jana Krystiana przygotuje kilka małych wianuszków z rozchodnika i nieśmiertelników, aby w ów dzień poświęcony zmarłym zaniósł je do alabastrowej urny, położył delikatnie na płycie grobu ojca, matki, brata, stryja. Będą też oczywiście kolorowe lampki i duże znicze — kupiła je Makuchowa w Bartach, ona zawsze o takich sprawach pamięta. Białe chryzantemy na płycie chorążego mogły świadczyć, że między chorążym i Jonaszem Wątruchem istniały w przeszłości jakieś bardzo silne więzi, coś się między nimi zdarzyło, coś ich złączyło i pozostawiło po sobie wdzięczną pamięć. A może ktoś kupił te kwiaty od Wątrucha, albo po prostu zerwał za jego zgodą i zaniósł na cmentarz? Nie będzie o to nikogo pytał, o wielu sprawach, które działy się w tej wiosce i tak się nie dowie, nie przeniknie nigdy do ludzkich serc i do ludzkiej pamięci. Przecież to dopiero teraz usłyszał, że Anemarie Miller była jego przyrodnią siostrą. Również i dla Joachima wiele spraw o jego ojcu pozostanie na zawsze tajemnicą. Każdy, kto dłużej żyje wśród innych ludzi, wiąże się z nimi niewidzialnymi dla obcych oczu, niemi przyjaźni i wrogości. Nikt nie zdoła tych nici wypleść z przeszłości i nawinąć je na motek, bo będą się raz po raz rwały, plątały, aż się znechęci. Jaka zresztą korzyść byłaby z takiego motka? Jak można ocenić i zrozumieć więzi oraz uczynki tych, co żyli przed nami, w zupełnie innym czasie? Otto Szulc zabił człowieka dla kromki chleba, Ruth Miller kładła się pod każdym, kto jej palcem pogroził, chorąży Niegłowicz był sprawiedliwy, ponieważ zapinał na brzuchu wojskowy pas z wielkim pistoletem i szedł zabić złodzieja dwóch kur, koń był cenniejszy od kobiety, futrzane rękawiczki odbierały dumę.

„Zabij go — prosiła Ruth Miller. — Uczyń sprawiedliwość. Weź strzelbę i zabij go w młodniku. Nikt we wsi nie powie o tobie złego słowa, ludzie zakopią go bez świadków. Tak uczyniłby twój ojciec".

Niegłowicz uśmiechnął się lekko. Ruth Miller nie rozumie, że wszystko się zmieniło, w wiosce mieszkają teraz inni ludzie: leśniczy, Turlej z żoną, malarz Porwasz, pisarz Lubiński i pani Basieńka. Co powiedziałby pisarz Lubiński, gdyby dowiedział się o zastrzeleniu Antka Pasemki? Na jakich szalach odważałby ciężar winy doktora i ciężar winy Pasemki? Dla niego doktor byłby takim samym zbrodniarzem jak krwiożerczy Antek. Co powiedziałby Joachim o uczynku ojca? Na grób doktora nikt nie przyniósłby pęku białych chryzantem, gdyż zapanowało prawo, a ten co je łamie, czy może być człowiekiem sprawiedliwym?

„Zabij go — prosiła Ruth Miller. — Chyba nie zapomniałeś o połamanych kościach mojej Haneczki? A o tej dziewczynie, którą znaleziono w dole po sadzonkach? Pomyśl o moim bólu i o cierpieniach rodziców tamtej dziewczyny. On przecież będzie dalej zabijał, dopóki mu nikt winy nie dowiedzie. Powiadam ci, Janku, że jeśli nie uczynisz sprawiedliwości i będziesz go widywał tak, jak mnie teraz widzisz, nie potrafisz jeść i spać, przestanie ci smakować ciało kobiety. Czyż nie staje się zbrodniarzem także i ten, który zbrodniarza ochrania? I czy na świecie istnieje tylko prawo zawarte w książkach, a nie ma żadnego innego, takiego, które jest w nas samych i każe czynić sprawiedliwość".

Doktorowi przypomniała się pobladła twarz Antka Pasemki, widział jego wykrzywione drwiące usta, słyszał szyderstwo w głosie: „Panu wyjawię, że leży tam, gdzie deszcz na nią nie pada, słonko jej nie przygrzewa, lisy jej kości nie rozwłóczą. Mogę ją zobaczyć w każdej chwili, ale już nie ma co oglądać". Co mogło pozostać przez półtora roku z dziewczynki, która chciała się ochłodzić w jeziorze z dala od oczu kolegów i koleżanek? Dokąd zaciągnął jej ciało? Gdzie było takie miejsce, na które nie padał deszcz, słonko nie przygrzewało, lisy nie mogły rozciągnąć kości, a on w każdej chwili był w stanie je zobaczyć?

Wydawało się doktorowi, że szybkim krokiem idzie przez las drogą do swego domu. Przedziera się przez krzaki, rękami rozgarnia gałęzie i coraz bardziej zagłębia się w mroczny gąszcz. Niemal czuł na swej twarzy bolesne uderzenia ostrych witek. Dlaczego zapomniał o miejscu, gdzie przed dwudziestu laty chował drygawicę, z którą jako chłopak kłusował na jeziorze? Pozostała tam jeszcze, spróchniała, rozsypująca się. Pewnego dnia przestał kłusować, więcej po nią nie poszedł.

— Pasażer Jan Niegłowicz, odlatujący do Kopenhagi rejsem numer dwadzieścia siedem proszony jest o natychmiastowe zgłoszenie się do odprawy paszportowej i celnej. Powtarzam pasażer Jan Niegłowicz...

— Tamten drugi się znalazł. A ten zapewne siedzi w ubikacji i trzyma się za brzuch. To się zdarza przed odlotem. Ale samolot nie będzie na niego czekał. Maszyny „Lufthansy" odlatują bardzo punktualnie.

To mówiła dziewczyna, która przysiadła się do stolika Niegłowicza. Jak długo już tu była? Nie zauważył jej podobnie jak uszedł jego uwadze fakt, że zniknęła kobieta w szynszylach, podobna do sztucznie wyhodowanego kwiatu. Nie pachniało też cygarami i piżmem. Od dziewczyny zalatywało tandetnymi perfumami.

— Nie musiał przecież lecieć samolotem, pociąg też dobry prawda, proszę pana? Zresztą może przed odlotem upił się i leży w domu? Bo przecież chyba nie zapomniał, że miał lecieć do Kopenhagi?

— Może być niezliczona ilość przyczyn, dla których ktoś rezygnuje z lotu, albo się spóźnia — powiedział Niegłowicz.

Głośnik znowu oznajmił w trzech językach:

— Pasażer Jan Niegłowicz proszony jest...

Dziewczyna miała chyba nie więcej niż szesnaście lat. Mimo zbyt płaskiej i szerokiej twarzy wydawała się ładna. Nie była umalowana, ale tani lodenowy płaszczyk, który rozpięła ukazując przykrótką spódniczkę i kolana w cienkich rajstopach, nieco wyzywający sposób, w jaki siedziała, uwidaczniając także uda, nie pozostawiał wątpliwości, czym się zajmowała.

— To może być jakiś wariat, proszę pana — założyła nogę na nogę, jedno kolano wystawiając poza powierzchnię stołu. — Chciał lecieć do Kopenhagi, kupił bilet i nagle mu się odwidziało. Pan nawet nie wie, ilu na świecie jest wariatów, którzy wyglądają na normalnych ludzi. Załatwiają sobie paszporty, kupują bilety, chcą gdzieś lecieć. Ale nie lecą. O, samolot „Lufthansy" już się szykuje do startu. To ten, tam, trzeci po prawej stronie...

— Pani tu pracuje? — zapytał uprzejmie.

— Nie. Ale często kogoś odprowadzam. I lubię tu przychodzić. Na dworcu lotniczym można spotkać ciekawych ludzi. Dlatego tak się znam na samolotach. Wiem nawet co dają jeść na linii niemieckiej, holenderskiej, francuskiej, indyjskiej...

— Latała pani?

— Nie. Jeszcze nie — dodała, ostrożnie, dotykając palcami ciemnoblond włosów krótko uciętych i chyba dopiero co ułożonych u fryzjera. — A pan?

— Chciałem lecieć do Kopenhagi właśnie tym samolotem. Zabrakło miejsc...

— To przez tego wariata, którego szukano przez głośnik. Gdyby się był od razu zdecydował nie lecieć, pan dostałby miejsce i teraz siedziałby pan w tamtej maszynie. O, niech pan patrzy. Odjeżdżają schody, włączono silniki. Siedziałby pan teraz przy którymś z tych okrągłych okienek. I on nie poleciał, i pan także. Wariat, prawda?

— Niekoniecznie.

— Nie kupuje się biletu na samolot jak na seans do kina.

— Mógł mu ktoś bliski nagle zachorować...

— No tak. Ma pan rację.

— Albo okazało się, że musi pozostać, aby załatwić jakąś bardzo ważną sprawę.

— Owszem. Ale mógł to być także wariat. Pan nawet nie domyśla się, ilu wariatów chodzi po świecie. Mężczyźni mało o tym wiedzą. Co innego dziewczyna. Poznaje człowieka i myśli, że jest taki jak wszyscy, bo wygląda jak wszyscy. Potem okazuje się, że to wariat. Zamyka drzwi na klucz, bije dziewczynę, szarpie za włosy. Albo każe się bić. O, niech pan spojrzy. Już kołuje na pas i będzie czekał na pozwolenie odlotu. I co pan teraz zrobi? Kiedy ma pan następny samolot?

— Nie wiem. Jeszcze nie pytałem.

— A dolary pan ma?

— Tak.

— To możemy gdzieś razem pójść.

— Gdzie?

— Do hotelu. Choćby do tego tutaj, przy dworcu lotniczym.

— Nie ma miejsc. W innych hotelach też brakuje wolnych pokojów. Przyjechałem tu z głębi kraju. Uprzednio telefonowałem do kilku hoteli, żeby sobie załatwić nocleg. Odpowiadali odmownie.

— Bo pan nie ma znajomości. O, dostał pozwolenie na start, rusza. Coraz szybciej, pan widzi? Jeszcze trochę po pasie i już... niech pan spojrzy...

Przeszklona ściana zabrzęczała od huku wznoszącego się samolotu.

— Ma pan dolary i paszport?

— Tak.

— No to o co chodzi? Niech mi pan da paszport, a załatwię dla pana pokój w hotelu obok. Mam tam znajomego. Ja biorę tylko w dolarach. Chce pan?

Podniósł się od stolika, ona także. Wziął do ręki mały neseser.

— To cały pana bagaż? — zdziwiła się.

— Walizkę mam w przechowalni.

— To jasne — kiwnęła głową. — Na jak długo załatwić panu pokój?

— Na trzy doby.

Była drobna i niewysoka, sięgała mu zaledwie do ramienia. Wyszli przed dworzec i poprowadziła go do pobliskiego dwupiętrowego budynku z napisem „Hotel". W holu było dość tłoczno, gromadka podróżnych oblegała kantor recepcji. Dziewczyna wzięła od doktora paszport i zniknęła w bocznych drzwiach do kantoru. Doktor znalazł samotny i pusty fotel i rozsiadł się w nim wygodnie. Zapalił papierosa i zabawiał się myślą, że oto dziewczyna uciekła z jego paszportem. Na pewno istniał czarny rynek handlu ukradzionymi paszportami i chyba wiele płacono za taki dokument.

Po dziesięciu minutach wróciła. Gdy szła ku niemu w swoim rozpiętym lodenowym płaszczyku, stwierdził, że ma trochę za grube nogi. W paszporcie była już karta hotelowa, podała mu także klucz z numerem 104.

— Załatwiałam tak długo, bo od razu pana zameldowali. Pan jest pasażerem, który nie odleciał do Kopenhagi.

— Tak.

— Wyczytałam nazwisko z paszportu. I ma pan wizę duńską. Dlaczego pan nie poleciał?

— Boję się lotu. Może pojadę pociągiem? A może przywyknę tutaj do samolotów.

— Pan kłamie. Ale mnie jest wszystko jedno.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wzięła go pod rękę i po niskich schodach weszli na pierwsze piętro. Jego pokój był czwarty po lewej stronie. Krótki korytarzyk z wejściem do łazienki z muszlą klozetową. Wąski pokoik z niskim tapczanem i biureczkiem pod oknem, szafą w ścianie.

Neseser postawił na biurku, zdjął z siebie futrzaną kurtkę i powiesił ją w szafie. Dziewczyna nie zdejmowała płaszcza, jak gdyby czegoś się obawiała.

— Może pan jest też trochę wariatem — powiedziała.

— Nie ma obawy — z roztargnieniem spojrzał w okno, które wychodziło na ślepą ścianę dworca lotniczego. Na chwilę szyby zabrzęczały — na pobliski pas startowy siadał chyba jakiś potężny odrzutowiec.

Doktor pomacał się po kieszeniach welwetowego garnituru.

— Nie mam prezerwatyw — stwierdził. — A bez nich tego nie zrobię. Jak ci na imię, mała?

— Nazywają mnie „Pszczółką". Bo nie hulam, ale oszczędzam. Kiedyś kupię sobie duże ładne mieszkanie. Pójdzie pan po prezerwatywy? Są w kiosku na dworcu.

— A może ty to zrobisz? Jestem trochę zmęczony — zaproponował.

Kiwnęła głową, że się zgadza. Wręczył jej złożony we czworo banknot. Zacisnęła go w dłoni i wyszła, ale na korytarzu rozwinęła banknot i stwierdziła, że to pięćdziesiąt dolarów. „A jednak wariat" — pomyślała. Wyszła przed dworzec i gwizdnęła na taksówkę. „Wariat, oczywisty wariat" — przekonywała samą siebie.

Była godzina jedenasta rano.

O tym, jak na polanie pojawił się brat snu

W środku nocy Antka Pasemkę obudził łoskot odrzutowca, który leciał bardzo wysoko. Był to jakiś bardzo wielki samolot, najpewniej ogromny pasażerski odrzutowiec, bo mimo że znajdował się tak wysoko, szyby w oborze leciuteńko zabrzęczały i to właśnie obudziło Antka. Ostatnio zresztą sen miał bardzo lekki, podobny do rozrzedzonej mgły; to wchodził w nią i na krótką chwilę tracił świadomość tego, co się wokół niego dzieje, to znów raptownie budziła go jawa, rozumiał, gdzie jest, słyszał każdy szelest za ścianą, westchnienia i stęknięcia krów, które od kilku dni matka na noc zaganiała do obory. Po raptownym wyjściu na jawę zazwyczaj nie mógł długo zasnąć, niekiedy czuwał aż do świtu. Do pracy w lesie szedł zmęczony i otępiały.

Słysząc łoskot samolotu Antek pomyślał, że to doktor Niegłowicz leci w świat, aby posłuchać koncertu syna. Zapowiedział to podczas ich ostatniego spotkania na polance przy starym dębie; mówił, że powróci za cztery albo pięć dni, ale wówczas Antka już chyba nie będzie, więc to jest pożegnanie. Nietrudno było zgadnąć, co miał na myśli — Antek sam się powiesi na drzewie koło Świńskiej Łąki, albo też zatłuką go gdzieś w lesie jacyś ludzie, uprzednio kastrując, łamiąc żebra i palce. Przedwczoraj koło południa zobaczył Antek na drodze obok młodnika dwóch mężczyzn w waciakach: stali i rozmawiali, rozglądając się na wszystkie strony. To mogli być bracia tej dziewczyny z południa albo tej z Bart. Antek porzucił robotę i krzakami nad brzegiem jeziora przedostał się do wyrka w oborze. Powiedział o tych ludziach matce, gdy mu przyniosła kolację, ale mu nie uwierzyła. „Pokazały się zielonki i teraz dużo ludzi zacznie łazić po lesie" — tak mu tłumaczyła. Nie dał się przekonać, bo nie wyglądali na takich, którzy szukają gąsek. Nie miał zaufania już nawet do matki. Czasami odnosił wrażenie, że i ona ma go dość, męczą ją wyrzuty sumienia, ponieważ ukryła prawdę. Dlatego może w głębi duszy pragnęła, żeby zniknął spośród żywych. O umarłym łatwiej się zapomina, po jakimś czasie można patrzeć ludziom w oczy, nie tak jak teraz. Wiele razy skarżyła się, że jego bracia, ojciec, ona sama nie chcą z powodu wstydu chodzić do sklepu, pokazywać się na wsi. Gdyby Antek umarł, wszystko by się po roku lub dwóch odmieniło na lepsze. Miał prawo podejrzewać, że go nie ostrzeże przed niebezpieczeństwem, choćby wiedziała o takich, co przyjechali do wsi z daleka, aby go zatłuc na śmierć. A że się pojawią prędzej czy później — tego był pewien. Doktor wspominał coś o listach, które z pytaniem o niego przychodziły do sołtysa Wątrucha. Zresztą czy potrzeba obcych? Dochodziły go wieści — mówiła mu o tym matka — że Ruth Miller burzy ludzi przeciw niemu, o pomstę woła za Haneczkę. Sam widział białe chryzantemy na płycie grobowej chorążego Niegłowicza, a to znaczyło, że ktoś we wsi modli się o sprawiedliwość. Inna mogła być jego sprawiedliwość, a inna ludzi z wioski, ale oni byli silniejsi, liczniejsi, więc w końcu ich sprawiedliwość musiała się któregoś dnia dopełnić.

Słysząc nocą łoskot odrzutowca zatęsknił Antek Pasemko za doktorem, tak jak się tęskni za śmiercią lekką jak piórko łabędzie. Podczas ostatniego ich spotkania ukląkł przed doktorem i błagał o taką śmierć, gdyż bał się gromady ludzi, którzy go będą ścigać, kastrować, łamać żebra. Podobnie straszną i hańbiącą wydawała mu się śmierć w pętli na drzewie koło Świńskiej Łąki. Niegłowicz mógł mu dać śmierć szybką i lekką — nabić breneką lufę strzelby. Mógł też sprawić mu śmierć lekarską — trucizną działającą jak piorun i bez bólu. O to błagał na klęczkach, lecz doktor odepchnął go od siebie i tłumaczył, że tak mu postąpić nie wolno, bo zabrania tego prawo. Oskarżał go o śmierć Antka, gdyż wiele razy odgrażał się, że to uczyni. Truciznę milicja rozpozna. Pętla — to jedyne co radził, lecz Antek słuchać go nie chciał. Na co liczył, trudno powiedzieć. Może czekać, aż tamten jednak go uśmierci w jednej bezbolesnej sekundzie? Aż dowiedział się, że nazajutrz doktor odlatuje w świat i teraz właśnie leciał przez mroczną noc ku swoim sprawom, pozostawiając Antka w największej samotności. Bo przez te ich romowy na polanie doktor stał się jak gdyby jedynym przyjacielem, który wysłuchać potrafi, powiernikiem najbliższym, tym, który przynajmniej usiłował go zrozumieć, choć nie chciał wybaczyć. Dlatego płakał cicho Antek, kiedy umilkł łoskot na niebie i nastała znajoma cisza wypełniona westchnieniami i stęknięciami krów, pobrzękiwaniem ich łańcuchów. „Nie pójdę dziś do lasu" — postanowił. Lecz natychmiast zdał sobie sprawę, że jego obaw i lęków nie zechce zrozumieć ani matka, ani bracia i ojciec, a on nie może być w domu darmozjadem. Więc albo odejdzie w świat, gdzie go oczy poniosą, albo pójdzie do roboty w lesie. Czemu zresztą miałby być właśnie dzisiaj zabity? Skoro tamtych dwóch mężczyzn widział przedwczoraj i nic złego mu się nie przydarzyło. W lesie naprawdę pokazały się zielonki.

c.d.n.